

Jerzy
Centnerszwer

Piotr
Czawski

Powieść



Janusz Lesfeldor: Kłusownik labow.

*Autor
26.11.917.*

JERZY CENTNERSZWER

PIOTR CZARSKI

POWIEŚĆ

WARSZAWA

*Skład główny w księgarniach:
Towarzystwa Wydawniczego w Warszawie
Mazowiecka 12, Rynek Starego Miasta 11, Marszałkowska 143.*

1916



II - 4031

DRUKARNIA NAUKOWA
Miasto Stołeczne Warszawa, Rynek Starego Miasta 11.

*JEDNOSTKOM,
KTÓRE WALCZĄ I ZWYCIĘŻAJĄ,
KSIĄŻKĘ SWOJĄ POŚWIĘCAM.*

WYDZIAŁ
HISTORII I SPOŁECZNAJ
KATEDRA HISTORII

NOWY TRYB ŻYCIA.

Piotr Czarski siadł pod wielkim dębem.

Na krągłym stole, zbitym z szarych desek, położył rękopis.

Był cichy, spokojny, pewny mocy swojej.

Złota pogoda letnia, słońce obfite, perliste, pieśń lasów litewskich i bieg rzek rozlewnych wpływały na nastrój elizejski ducha.

Znalazł nareszcie spokój i samotność.

A cisza owa była pełna życia, samotność zaś — uśmiechem twórczej jaźni jego.

Zewsząd płynęła pełnia sił ukrytych, rozmach prosty i jasność myśli promienista.

Chęć wielka, by wszystko ze siebie wydobyć, by własne „ja“ wszystkim stać się mogło, obejmując najszerszej wszechistość sztuki, stała się celem.

...A z największych myśli kręgów można było opaść martwym lotem, zwinąć skrzydła, by patrzeć z wewnątrz ducha swego.

A w chwilach odpoczynku dość było tylko spojrzeć poza siebie, by podziwiać swój dworek biało tynkowany, porosły dzikiem winem—owo zacisze litewskie, zaszyte w lasach dębowych.

Piotr pragnął teraz tego.

Odgradził się zwartą ścianą borów od reszty świata, usunął się w kąt zapadły Litwy, by dać pełnomocnictwo swej twórczej istocie.

Teraz należało osiąść, skupić się w sobie i wziąć się do pracy.

Jeszcze jednak zdarzenia, niedawno przeżyte, nie dawały zupełnej równowagi duszy.

Czuł, że budzi się w sercu coś niespokojnego, gdy w przeszłe lata spogląda.

— Kto są ci ludzie, z którymi wiązę swoją przeszłość, — pytał się siebie samego i rozumiał, że są to szczeble, po których się wspinał, że są to stopnie do doskonałości — jestto szkoła, w której rozum dojrzewa.

Ale i ludzie owi stawali się tłem tylko.

Wyłaniała się konieczność twórcza z coraz większą siłą i odpornością.

W imię owego foliału, który leżał przed nim, iść mógł przeciw wszelkiej słabości własnej, gotów był się wyrzucić tego, co miało bodaj tworzyć upojenie, a od sztuki oderwać mogło.

I teraz właśnie, kiedy litewski las strzegł ciszy i skupienia, kiedy strażnicze dęby i sosny kudłate tłumiły wszelki szum „wielkiego“ świata, miał nastąpić okres zupełnie nieznan — okres wielkich przemian.

Do tej pory wszystko, co w ramę twórczą zamykał, było dorywczym porywem — silnym, entuzjastycznym zachwytem bólu nad prostotą.

Teraz to wszystko znikło precz.

Teraz śmiesznym się wydał entuzjazm, zapał olśniewający, lub młodociane przejęcie.

Czekał teraz twórczy mus, spokojnie wypływał, a naraz dawał niewiele i skąpo.

Ale umiał zamykać w małym bardzo wiele.

Umiał kochać skromnie, a silnie, cenić cicho, a głęboko, cziść wielce, a umiejętnie.

A nadewszystko nauczył się ostatniego.

Ile też razy porównywał swój sąd, który żywioł cenił, z obecną oceną, która, uznawszy własną wielkość, inne rozumieć począła.

Często jednak idąc śladem koniecznej drogi przystawać musiał.

Olśniewająca reminiscencya — gest, lub czyn ukochanego człowieka, wkładały syntezę swoją w cel jego istnienia.

Kobieta z całym zasobem krytej czułości, intuicji i słodkiej zaciętej zmysłowości, potrafiła wzbogacać materiały, różnorodnić go, a często nawet wzruszać siłą, która dzięki niej właśnie subtelną bywała.

A nieraz również inne zjawiska władały.

Niespodziewanie spływał czyn przyszły — chęć wielkiej reformy, parcie do zmian bezwzględnych i pragnienie zwalczania pionierów wsteczności.

Wszelka uległość bądź w życiu, bądź w sztuce istnieć przestała.

Surowość i ciągła bezwzględność wiary w jedność własnej prawdy, obejmującej naraz wszechstronne pojęcie istoty zjawisk, dostępną się stała.

Nie mogło zmódtz chęci twórczej żadne dążenie do wzbogacenia ducha w rozkosze niszczące.

Napraszający się uśmiech kobiety, aczkolwiek wdzierał się nieraz do wewnątrz, nie zdołał uspić najważniejszych myśli.

Pozostawił Piotr poza sobą całą treść duszy kobiecej w jej pierwotnym stanie.

Nie chciał jej dać zbyt łatwej przewagi nad wolą.

Tkwiały już tęsknota i tragizm najdojrzalszej sztuki w mózgu mężczyzny, wstępowały z brzemieniem ogromnego bólu w duszę słoneczną, szerzyły wytrwałość, a nieraz w skurczu serdecznym rodziły nowe pomysły szerokie i mężne, jak lot olbrzyma.

Tragizm wykluwał się z radości elizejskiej, z cichego szczęścia, z płodów zamyślenia istoty ludzkiej.

System myślowy jędrny, wyrazisty począł uzależniać to, co dygresją się zwało w przeszłym okresie, a było bardziej wybitne i silne, niżli pień twórczy, na którym powstało.

System ów w chwili obecnej wskazywał na różne drogi, po których można było iść w ostatnim czasie.

Z odległości dopiero widać było konieczność tej, która wybraną została.

Widział Piotr teraz ową małą, filigranową kobietę o ciemnych włosach i oczach szerokich, czasem dziecińczych, czasem skupionych i przeczuwających.

Przypominał sobie jej gesty, chęci, jej słowa zawsze rozważne, nieraz zimne nawet, w których on tylko ogień wykryć umiał, w których on widział iskrę niemal twórczą w odgadywaniu stanów subtelnych.

Chętnie rozwijał jej słowa, które wypowiadała z wyjątkową skromnością, z prostotą, która znała swoją wartość, a która nigdy sztuczną być nie chciała.

Było w kobiecie owej coś niespokojnego, coś co ją pchało zawsze do odrodzeń, do zrzucenia ze siebie przestarzałej skóry i ukazania się nagle i gwałtownie w nowym stanie ducha.

Dziwił się jednak, że mógł dać się związać przez nią, że blizkim był, by z całą siłą własnego impetu zżyć się z kobietą.

To była jedna droga. Droga napozór najnaturalniejsza, najprostsza i najłatwiejsza.

Często jednak siła niezależna spycha z niej człowieka, by wybrał drogę większego oporu.

Wiedział Piotr, że rozmyśla o Annie Sten z pewnym bólem i ulgą zarazem dlatego tylko, że nie wziął z niej wszystkiego, co mu oddać mogła.

Kojarzył ją ze swoją twórczą jaźnią, często nawet ona rzucała nowe światło na minione fakty.

Nie żałował, że rozszedł się z nią, że czegoś nie dociągnął, czegoś nie zakończył...

Czuł, że tak być musiało, że była ona dla niego poto jedynie, by kształcić ból, by z surowej rudy hartować metal nieugiętej woli.

Kochał w niej różnorodność, olśniewającą radość i promiennosc.

Czuł, że trudno mu myśleć spokojnie o altowym dźwięku jej głosu, w którym mieściła się pewna powaga i jednocześnie odwieczne pragnienie.

Rozumiał, że uczucie ku niej było jedyne jemu przyrodzone i że jeśli nawet przerodzi się w inne, będzie jego odmianą wyłącznie.

Znał dobrze jej delikatną figurę tanagryjską, białe ręce i spojrzenie niespodziewane tajemniczych oczu równocześnie ze słowem zimnem, obojętnem.

Znał również rumieniec zmysłowy, rozpalony na jej policzkach i słaby grymas ust.

I rzucił to wszystko, rzucił na długo, choć wierzył, że nie na zawsze.

Teraz uczynił ruch jakby zapomnieć chciał o niej i przymknął oczy.

Po chwili otworzył foliał swej pracy.

Ciągnęła go ona więcej, niż kiedykolwiek.

Mimowoli przysłała mu silna, jędrna dewiza na myśl, którą w przeszłym stworzył okresie:

— „Wszystko ze siebie“.

Przypomniała mu ona naraz bardzo wiele.

Ożywca fala ognista, paląca, wskrzesiła wielki rozmach i polot szeroki.

Duma własnej siły, niezmacona i niezachwiana rośła i parła, aż wreszcie zbudziła stan ducha, który z elizejskiej radości w tragizm się zmieniał.

Był to dalszy ciąg i konsekwencya rozwoju twórcy.

Tragizm rósł w piersi męźnej, chwycił w żelazne pierścienie myśl wolną, rzeźbił ją i cyzelował, jak rzeźba skalne łożysko.

Szeroką rył szczelinę w głąb duszy, przenikliwie z oczu spoglądał, tlił się już w słowie każdym, a nieraz płonął w tytanicznej sile.

Ból tkwił w nadziei wszechobejmującej, w planach wielkich, które istoty całej sił żądały.

Czasem mała część jego ucieleśniała się w zewnętrzznem życiu, w uczuciach przyrodzonych, w instynktach bezkarnych.

Były one jednak tak przemijające jak wszystko, co nie z własnego jest łona poczęte.

Myślał teraz Piotr, jak chciał ze siebie zwykłego urobić człowieka, jak blizkim był, by zagrzebać w obowiązkach męża — konieczność twórczą.

Pamiętał, jak brutalnie zwałił chęci pospolite, jak

zdusił w sobie tęsknotę za dzieckiem, któreby jego dalszym ciągiem było.

A może uczynił to wszystko przez wypadek, może fakt ważny oświecił jaskrawo wszelką bezpłodność współżycia.

Wolał podciągnąć drogę wybraną pod pręgierz woli, chciał liczyć ją za jedną z konieczności swoich.

To też spoglądał na przeszły okres stodyczy kobiecej, głębi intuicyi i całej nieraz tragicznej woli kochania Anny Sten, jak na sen, jak na długie godziny, którym sam nadał ruch szybkiego biegu. A gwałtowne wybuchy, iskry, w których płonęła myśl ważka, które wygryzały krytyczność oczu i możność mądrą słowa, posądzał teraz o instynkt półludzki, napół zwierzęcy, silny w pierwotności swojej i żywiołowości.

Wolnym był zresztą obecnie od więzów wszelakich sił niezależnych.

Czuł już moc twórczą.

Chciał być sam jeden i władać sobą bezwzględnie i despotycznie.

Otworzył zeszyt i jął czytać dzieło.

Zaczynał po raz trzeci najpierwsze stronicę, a wciąż jakaś nowa myśl, nowe wrażenie, nowe otoczenie nie dawały się skupić.

Miał ochotę zacząć nową pracę, ale czuł, że mu nie wolno, póki nie powie, że skończył poprzednią.

Rozumiał, że uczynił wielki krok naprzód, że to, co było mu blizkie przed rokiem, teraz stało się tylko znajomem.

Wszędzie widział jeden brak wielki, brak twórczego tragizmu.

Widział go w zarodku w swych dawnych pracach,

ale jasnym mu było, że sił nie stało owym koncepcyom, by się rozwinąć należycie mogły.

Wyczuwał w pierwszych wysiłkach tętno i jędrne pragnienie prostoty, ale nie było ono doprowadzone do końca tam właśnie, gdzie radość zgłębia ból tragiczny.

Wszędzie zresztą było za mało wszechobjęcia rzeczy.

Osobiste uczucia wiązały moc szczerą, która łączy wszystko, co godne jest tego, a przez duch ujarzmionem zostaje.

Piotr w ciszy, na uboczu, w kącie nieznanym światu, miał wyłuszczyć kompletnie swoją doskonałość.

I wiedział co to znaczy.

Jednak myśl przerwał nagle i spojrzął wokoło.

Wzrokiem silnym, płomiennym spoglądał przed siebie, obrzucił uroczyska i barwne kotliny, wzgórza okalające i bezbrzeżne łąki.

Z radością muskał spojrzeniem ów bezmiar ziem litewskich, ów wielki płat gleby, który we mgłę porannej krył swoje granice.

— Tak, jednak nie wyzbyłem się wszystkiego—mówił do siebie—jednak to, co było tak silnem dążeniem, nie całkowicie urzeczywistniłem.

Pragnąłem zupełnej izolacyi, nawet nieco sztucznej.

Chciałem odgrodzić się murem od gwaru miasta, od ludzi i wszystkiego, co spokój odbiera.

I pewny byłem, że tu właśnie, w ciszy szczęśliwej nie pochłonie mnie żadna myśl, obca twórczości.

Tak jednak nie jest.

Znaczy, że zbyt wczesnie przedsięwzięłem trudne zadanie.

I zdawało mi się, że potrafię zagłuszyć w sobie ludzkie chęci, a zaogniłem jedynie pragnienia.

Istnieją zatem dla mnie zbyt obfite różnorodności.
Zbyt łakną jeszcze wszystkiego, miast chcieć go
tylko.

Skłamałbym, gdybym wierzył, że się wyparł wszyst-
kiego dla nowego dzieła, że wreszcie zamknął w niem
wszystkie pierwiastki istnienia.

Praca twórcza jest dla mnie wszystkim, ale dla
niej właśnie muszę żyć, chłonąć i patrzeć.

A może tylko chcę się usprawiedliwić w ten
sposób?

Może mi brak siły wielkich samotników?

Ale czy się urabiałem kiedykolwiek na wzór
innych?

Po co mi takie sprawdziany?

Jestem sobą.

Jednak wczoraj, onegdaj, już trzeci dzień, jak nie-
pokoi mnie myśl, iż się rozdaję, że mi brak sił
skupienia.

Trzeba koniecznie znów zabronić sobie szukania
łatwej drogi... A jednak, jednak po wykazaniu takiego
napięcia woli, teraz z oddalenia zdaje mi się, że jeśli-
bym miał wybierać... wybrałbym to właśnie, co od-
rzuciłem.

A może zresztą tu na tem pustkowiu urasta sła-
bość, gotowa nawet stać się despotyczną.

Muszę pilnować siebie.

Tak rozumując wszedł Piotr do swego mieszkania,
siadł wreszcie w „gabiniecie“ gdzie zwykle pracował.
Był to spory pokój, biało tynkowany o belkowaniu dę-
bowem ze staroświeckim kominkiem.

Na ścianach o niebieskawym odcieniu, wisały
półki z różnemi książkami.

W rogu, obok pieca, stała biblioteka niewielka. Po przez jej szyby błyskały bogate grzbiety ksiąg starych, antycznych, w pergamin oprawnych.

Piotr jednak rzadko je wyjmował. Wolał swoje dzieła ulubione, które czytywał nieraz, zawsze z upragnieniem.

Rozejrzał się wokoło i rzekł:

— Dawno już książki nie brałem do ręki. Praca moja nie daje mi być czujnym na piękno, które inni tworzą.

Zatem raz jeszcze jestem egoistą.

To mówiąc, wyjął pierwszą książkę z brzozy. Była czarno oprawna, cienka i niewielka. Otworzył pierwszą kartę i zamknął ją zaraz. Na chwilę przymknął oczy i zamyślił się.

— Jeszcze dzisiaj książka ta czyni na mnie tak dziwne wrażenie. I wiem, że nie przez treść swoją ile przez jej samego autora... Johanna Hoffa. Tak, to jest obecnie jedyna pamiątka po nim. Upłynęło już chyba dobre lat kilka, od dnia jego śmierci, a jednak, jednak jak żywo widzę przed swemi oczami tę straszłą chwilę...

— „Ueber Kraft“ — czytał Piotr tytuł książki. Uśmiechnął się nieco.

— „Ueber Kraft“, jak to mądrze nazwane, jak to chytrze obmyślane przez człowieka, który przez własną słabość skończyć ze sobą musiał?!

Jakże jednak rzadką jest książka owa i jak silną naprawdę.

Znaczy, że ludzie tworzą udatniej swoje antytezy, niżli autobiografie.

Nazywa się to nieszczerością, ale co komu teraz

do Johanna Hoffa? Czy kto teraz namyśli się i wniknie w fałsz jaki się mieści między imieniem jego, a dziełem.

Każdy czyta „Ueber Kraft“ i siłę ową w książce tej odnajdzie.

Ile razy zresztą sam czytałem to dzieło. Wiem, co na jakiej stronie się znajduje i kiedy mogło powstać...

Szczególna rzecz — Johann Hoff za życia i Johann Hoff po śmierci, to dwóch sprzecznych ludzi. Kiedym go znał, trudno mi było ująć hart i wolę, a kiedym go po śmierci częstokroć wspominał, wszystko stało się jasnym.

Johann Hoff był słabym człowiekiem, przytem jednak mądrym wybitnie.

Sprawiedliwie osądzając wypadki, przyznaję, że był on pierwszym i ostatnim nauczycielem moim, który mi wskazał głębię wszelkiej treści i nauczył ją tworzyć jaknajprościej i jaknajskromniej.

Ta rzecz napozór łatwa, najtrudniej się osiąga.

I dla przykładu wyjął Piotr swoje dziełko pierwsze, dawno już bardzo wydane.

„Contra Omnes“ czytał tytuł swej pracy.

Lekki, nieznaczny uśmiech przebiegł po twarzy i zniknął natychmiast.

„Contra Omnes“ — powtórzył. — Jakim tu byłem burzycielem żywiołowym i mimo to jakim nieodrodnym uczniem Hoffa. Rzeczywiście dokazałem sztuki—będąc zapaleńcem, byłem uczniem rozumnego człowieka.

I w czem właściwie czuć tu wpływ Johanna?

Piotr przewrócił parę kartek i znalazłszy miejsce, którego szukał, cytował je:

— „Dążę uparcie teraz, by zniszczyć w sobie wszystko piękne, lub odstręczające, jeśli ono nie jest w najprostszej zależności od celu.

Nie ukrywam, że dążę, jak barbarzyńca ku niemu. Z zamkniętymi oczyma przedzierać się będę przez istotę wszelkiej subtelności.

Gotówem deptać wszystko, co mi wpoprzek stanie, by tylko naprzód się suwać każdego dnia, każdej godziny.

Trudno mi odrzucić wszystko, co dygresją nazwałem, trudno mi wyrzec się takiej wielkiej dziedziny, o tak potężnej treści, ale muszę, muszę dla zadośćuczynienia hartu swego, to właśnie uczynić.

Wyzbywanie się nieraz najistotniejszych potrzeb, jest zyskiwaniem głębi tragicznej człowieka.

Ustalenie zależności wyłącznej od siebie samego daje kompensatę za wszystkie ofiary, jakie się dla niej ponosi.

Stałem się fanatykiem w dążeniu — człowiekiem pewnym w czynie.

Nie przestrasza mnie myśl, że cel mój może się zachwiać kiedykolwiek.

Tkwi on we mnie już we krwi i uczy ciągle trzech ważkich słów: „Wszystko ze siebie“.

Sądzę, że jeśli będę mógł wierzyć w to zdanie, mając poza sobą ogniwa czynu, będę dostatecznie szczęśliwym.

Potrzebny mi zatem ów pochod barbarzyński, ów krok niszczycielski, bo w innym wypadku będę na dwóch drogach ku celom różnorodnym.

To byłoby zniszczeniem mego talentu“.

— Tak i to już mam poza sobą — pomyślał Piotr.

— Ta najistotniej pojęta metoda Hoffa w tak znacznej modyfikacji, dała mi możność szybkiego rozwoju.

Fanatyzm—tego nie było u Hoffa. Johann posiadał systematyczność tylko.

Systematyczność została przetransponowana na fanatyzm.

Jego spokój stał się we mnie pewnością.

Jego chęć sztuczna brutalności—we mnie się stała szczerą, naturalną.

Wreszcie jego dążenie niedoścignione do doskonałości i do postawienia ostatecznego punktu w każdej pracy—u mnie znalazło swe istotne miejsce.

Każda rzecz Hoffa sprawia wrażenie niedokończonej.

W końcowych stronach czuć, że obcą się stała teza początkowa i że straciła dla niego pierwotny charakter.

Podobny jednak prąd tak swoiście pojęty, mógł wpłynąć na zupełny brak obiektywności.

Mogłem świadomie zwęzać swoją drogę, aż do przesady.

Tu właśnie rozbiły się wszystkie wpływy. Od tej chwili świadomej sam tworzę moją sztukę.

Piotr zamknął swoją książkę. Obrzucił ją raz jeszcze wzrokiem spokojnym, poważnym i wstawił na miejsce.

Usiadł przy stole.

Nie zaraz jednak mógł chwycić pióro do ręki.

Myślał o przeprowadzeniu teraz zupełnie odrębnej idei.

Uczniowski krok barbarzyński był już zbyt znaczny. Grunt był pewny. Podstawa była oparta na wie-



dzy, którą nie dzięki rutynie posiadał, lecz dzięki mocy swego intelektu.

Możliwe, że w ścisłym języku nie była to wiedza, ale źródło pojęć, zrozumianych odrębnie i szczerze.

Teraz wolno już było przystawać na drodze dążenia, wolno było rozejrzeć się uważnie, zbierać nowe szczegóły, albowiem duch był już mniej czuły i na zjawiska reagował stosownie do ich siły, lub ekspresyi.

Obecnie zaczęła się prawdziwie artystyczna twórczość nie tylko o wielkim rozmachu, ale i o szerokim zakresie.

Sprawdzało się już jedno, o czym dawno wspominał Piotr, a mianowicie, że nie zasklepi się w ciasnocie specjalności. A abstrakcyjne parcie znalazło ujście w produkcyjnej pracy.

Tworzył idee, które wcielał w życie, dawał pomysły, które w sztukę wkładał.

A nadewszystko kochał swój rozwój, każdy ruch ożywczy silnego ducha.

Pracę, jaką miał teraz ukończyć, (jako ostatnią) uważał za najlepszą i najgłębszą ze wszystkich dzieł swoich.

Włożył w nią trzy lata usilnej pracy. Usiłował od pierwszej strony do ostatniej przeprowadzić ideę czynu.

Zaćmił refleksyie własne rozkoszą, jaką daje stan dokonywania.

Chwiejnym nigdy nie był. Jedynie wyzbycie się zbyt szerokiego rozgałęziania się koncepcyi — sprawiło mu ongi ból wielki.

Pewne ubóstwo formy zewnętrznej na korzyść prostoty, wyzyskanie pewnej monumentalności w ujarz-

mieniu żywiołu — oto były trudne do przebycia przepawy, które przebrnął nie bacząc na mniejsze zło, jakie mógł wzamian otrzymać.

Dzieło jego wystrzegało się bodaj olśniewających faktów, pomijając już to, że gardziło wszelkiem efekciarstwem i łatwą tandetną filozofią, do której brali się współcześni jemu.

O ile w zaraniu swojej twórczej pracy nakładał na siebie ciężkie niemal pseudo-klasyczne przepisy, teraz, zyskawszy formę, mógł być swobodniejszym.

To też nie był doktrynerem nigdy i w niczem.

Piękno pojmował we wszystkim, umiał je znaleźć wszędzie, gdzie go szukał.

Ono jedynie w przebłyskach swoich mogło go nawet entuzjazmować, mogło go unieść do granic ekstazy.

Często też potrafił mówić o niem jak młodzieniec, a czuć jak dziecko.

Jego postać silna, barczysta, oczy błyszczące ogniem namiętności, mogły się nieraz zapalać iskrą żywiołu — przebrzmiały, aczkolwiek nie zagasły mocą.

Nie obchodziło go wówczas, jakie wrażenie czynił.

Kpił sobie zawsze z sądów wszelkich o sobie. A ludzi, których cenił, wołał sam poznawać, niżli im dać się poznać.

Pamiętał, że kiedy nieraz nie mógł spokojnie mówić o rzeczach najdroższych, a które streszczał w jedynej twórczości, nawet Anna Sten, owa mądra kobieta, pragnąca wyrachowaną zawsze się wydawać, musiała uleźć największym zachwytom.

Jego nonszalancya względem wszystkiego przeciętnego i uśmiech pogardy dobrotliwej dla partyi mu wrogiej (którą niżej był od siebie stawiał), nie zużywały

nawet jednej lichej części energii, którą jedna rzecz piękna wywołać mogła.

Kiedy po ukazaniu się „Contra Omnes“ wyłoniła się piana, jaką nawet najczystsza woda nosić musi, postanowił na wszystkie zaczepki osobiste odpowiadać dalszą twórczością.

Nie chciał kalać swej ręki piśmiennictwem gazeciarskim, którego szczerze nie znosił.

Kiedy o wiele później, schowane dokumenty krytyczne, pokazał Annie Sten, oburzyła się ona więcej na nie, niż sam Piotr, nawet w początkach działalności swojej.

Nie chciała mu wierzyć, że wyszukiwanie różnych drobiazgów, przekręcanie całych zdań i wykazywanie możebnych złych wpływów „prawdy“ i „prostoty“ (ironicznie podkreślanych) nie wzbudziły w nim chęci, by walczyć tą samą bronią.

Jej kobieca zawziętość była mu obca, aczkolwiek pociągająca.

Nieraz też lubił przepędzać wraz z nią godziny pomiędzy rupieciami tworów krytyków — de facto nieuków, lub też zmartwiałych, starych doktrynerów, którym wszystko było jednako obojętne, prócz ich własnych ocen.

Nie było między nimi ani jednej cośkolwiek wartej, ani jednej oryginalnej i niezdawkowej.

Piotr spokojnym tonem, czytywał Annie Sten owe brednie bezmyślne, a nieraz potrafił tak plastycznie uwydatnić ich nieład mózgowy i brak myśli przewodniej, że Anna mimo swego wzburzenia, śmiać się musiała.

Nieraz też mawiała do niego:

— Nie pojmuję — zaczynała — skąd ci ludzie, których ty nie znasz zupełnie, o tobie tyle wiadomości mają.

— Albowiem jestem dla nich ciekawym—odrzekła— ja zaś ich tem nie zaszczycam.

— Gniewa mnie twój spokój. Jak można nie reagować na paszkwile?

— Widzisz, naszym dziełem jest tworzyć piękno, ich zaś je brukać — brzmiała odpowiedź.

— A kiedyś, kiedy Anna Sten męczyła Piotra swą zawziętością, wyjął jej numer najpoczytniejszego pisma i rzekł:

— To wszystko, coś już tu wyczytała, poszło w niepamięć. Pozwoliłem tym bajaniom przejść koło mych uszu i zginąć gdzieś w śmietnikach ulicznych.

Ale widzisz, to co ci teraz pokażę, drasnęło mnie.

Znaleźli tchórzliwi miejsce, którego dotknąć nie wolno, rzecz, do której wtrącać się wzbroniono.

Obudzili we mnie wówczas wrogość i odtąd nie śmieli napomykać mi o tem.

...Widzisz, chodzi o to, że matka moja włoszka, której zupełnie nie znałem, opuściła mnie, kiedy miałem trzy lata. Wychowany byłem przez macochę, którą do pewnego czasu brałem za matkę. Oszukali mnie.

Reszty domyśl się sama.

I oto wytykają mi pochodzenie moje, brak patriotyzmu!

Ci durnie, którzy na tyle uznają sami własną miłość ku ziemi ojczyściej, jeśli się wznieść przez nią mogą do fortuny lub stanowiska, to ordynarne bestyalstwo, pozbawione wogóle wszelkich dążeń szlachtetnych, mnie

śmie wytykać brak miłości wówczas, gdy ja daję istotę
prawdy moich uczuć całych!

Szkodnicy i demagodzy bez czci i honoru skorzy-
stali z okazji i chcieli mnie położyć tym faktem, że
nie jak oni — zwierzę czystej krwi, lecz że człowiek
wyżej od nich stojący!

To wszak śmiechu warte, a jednak to mnie wzbu-
rzyło.

To jedno, że do mojej sztuki idą wtłaczać nędzę
własnych czynów, że ją zepchnąć pragną w marność aktu-
alności — to już wystarcza.

Brzydzę się nimi, jak wszelką większością.

Ale powtórzę raz jeszcze.

Naszem dziełem jest piękno tworzyć, ich zaś je
brukać.

Gdy skończył, Anna spojrzała spokojnie na Piotra.

W jej ciemnych, głębokich oczach stłumił się ogień
i smutek począł wyzierać.

— „Oni“ cię tem głupstwem zmódz mogą — rzekła
niepewnym głosem.

— Nigdy i niczem — odparł — a cóż dopiero tem,
co ze sztuką niema nic wspólnego.

Jestem wciąż twórczym i to jest bronią moją.

Dla tych zaś, którzy się wrogami mymi sami okrzy-
czeli, mam kpiący uśmiech.

Nie uznaję ich wrogości.

Wróg równym mi być musi...

Wypisują mi tutaj ci nędzni styliści zgrzyty w mo-
im języku.

Nie widziałem jeszcze niczego bardziej ułomnego
jak ich wzór stylu.

Jest w nim bezosobowość, beztreściwość, a nade-
wszystko starzyzna zatęchła.

Nauczyli się ledwo sami pojmować starożytność,
a chcą tworzyć wzory dla innych!?

Wszystko, com uczynił zupełnie świadomie, com
zreformować chciał, lub użyć raz pierwszy, jest mi za
błąd policzone.

Na zapytanie „ich“ jakim winien być język „do-
brego stylisty“, odpowiadam zawsze, że tylko długi,
mój zaś treściwym być musi.

Anna Sten uśmiechnęła się i oczy jej się załśniły.
Odtąd już rzadziej poruszali kwestyę stosunku innych
względem dzieł Piotra.

Anna Sten zrozumiała, że są one we wszystkich
przejawach równie bez znaczenia.

DWAJ BRACIA.

Do cichego kąta, w którym Piotr przeżył już parę miesięcy, przyjechał brat jego.

Przybył niespodzianie i bez zaproszenia.

Te nagłe odwiedziny, bez uprzednich wieści, kazały się domyślać, że Jan przejść musiał coś bardzo ciężkiego, że się pragnie skupić tu, na odludnym ziemi kawale, by wytchnąć i odpocząć.

W samej rzeczy Jan Czarski zdradzał pewien niepokój, a na bladej, kościstej twarzy jego ból położył piętno.

Widać było, że zagospodarował się on w skrytej duszy, choć nieraz w napół świadomym wyrazie wyłonić się pragnął.

Piotr przenikliwie badał jakie spustoszenie czyni cierpienie w nadwątlonej jaźni, ale nie pytał, jak ono powstało w najskrytszej duszy.

Wiedział, że Jan nie znosi wszelkiej troskliwości, a zapytanie jego dotyczące, zbywał pustem słowem.

Zjadliwy uśmiech rozwierał mu usta, gdy widział innych czułość lub opiekę.

Piotr uśmiechu tego nie lubił.

Nie cenił nigdy ironii i ostrej krytyczności, które z słabości swój początek brały.

Nieraz też męczył się słowami brata. Czuł, że ciągle dopatrywanie się niedoskonałości, ciągle naprężenie uwagi, by spostrzedz słabą stronę wszelkiego porywu i zedrzeć zeń wszystko własne i doniosłe, musi z człowieka uczynić wzór ułomności.

Musi go zniszczyć zresztą.

Nie chciał Piotr głębszej rozmowy wszczynać, by nie dać dostępu sprzeczkom gorączkowym, które urażę zobopólną rodzą.

Pragnął by Jan znalazł w domu jego spoczynek i radość.

— Tutaj widzisz — zwrócił się do brata, gdy weszli do domu — przesiaduję pod wieczór.

Pracuję, czytam, pozwalam sobie na odnajdywanie starych pamiątek.

Niedawno nawet wpadło mi w ręce bardzo cenne dziełko Johanna Hoffa — mego przyjaciela.

Nosi tytuł „Ueber Kraft“.

Dam ci go do przeczytania i może nie dasz wiary... ile prawdy może być w kłamstwie, t. j. (chcę powiedzieć), jak można stworzyć silne dzieło, będąc samemu słabym.

— Tam znów — rzekł, wskazując ręką stół pod wielkim dębem — pracuję rano.

Wówczas nie pozwalam sobie już na żadne odstępstwa, nie myślę o nikim, nikt mnie nie absorbuje. Czuję już w sobie system, a wiem, że wszystko, co z niego wypływa, dalekiem jest od szablonu.

Tak, to bardzo ważne, to jest bodaj główną podwaliną dojrzałej formy.

Nie wystawiam sobie, jak można dojść do rozkwitu i pozytywnych rezultatów dorywczo, lub (co nieraz u Polaków widzę) drogą sprzeczności.

A jednak sam byłem żywiołowym—zatem sprzecznym. Sam zrywać pragnąłem bardziej, niżli wiązać.

A należy wiązać, należy łączyć wszystko jednym nerwem życia.

Widzisz, kończę teraz, dla mnie bardzo ważne dzieło. Ogromnie ważne — powtórzył z naciskiem.

— Wykonałem doświadczenie i dało mi ono nadspodziewany rezultat.

Zacząłem je z resztką moich dawnych pomysłów, z siłą ogromną, pierwotną, a kończę, nie dasz wiary, kończę jak człowiek spokojnej myśli.

To znaczy, że stawiam wnioski z nieubłaganą konsekwencją.

Pozwalam jej na wszystko... nawet... nawet na to, co się okazać mogło rewolucyjnym czynem mego życia

Dzisiaj, kiedy bardziej z oddali patrzą na ów czyn, wydaje mi się, że powtórnie nie byłbym doń zdolnym. Znaczą, iż dwa razy nie wymaga natura tego samego o równej sile i napięciu.

...Wyzbyć się absolutnie szczęścia, wyzbyć się wszystkiego zatem, co nie mogło wejść w ciasną podówczas ramę mojej sztuki, dlatego tylko, że chciało ono zwykłego ze mnie urobić człowieka... nie, nie, teraz podobna ofiara byłaby już zbyt zbyteczną.

Teraz wolno mi wszystko.

Szczerą radość sama myśl podobna mi daje, choć wiem, że w zupełnej bezwzględności jej nie wyzyskam.

— Tak — przerwał Jan nagle i głęboka zmarszczka

na pół przedzieliła wybladłe czoło — zainteresowałaś mnie tą książką... Zdaje się „Ueber Kraft“ się nazywa?

...Powiadasz kłamstwo... to ci się mniej udało.

Przywykłeś zbyt prosto brać wszystko.

Widzę, że jest to równie wadą, jak zaletą.

...A jest tyle odcieni sił, tyle ich pojęć.

Można być zresztą tak nikle słabym w sile i tak silnym i mocnym w słabości.

Tak, to nie paradoksy.

Siłą nazywam wszelki sposób wyjścia, wszelkie racjonalne rozwiązywanie zagadnień.

Bo i coż pocznie siła brutalna przed subtelnem wrażeniem?

Jest bezradną i słabą, powiem, głupio się czuje nawet.

Nie dla wszystkich wszystko — zaakcentował dobitnie.

— Nie, dlaczego... słucham cię chętnie — zdziwił się Piotr.

— Tak, ale ja mniej chętnie mówię.

Piotr przygryzł wargi zębami. Ostatnie słowa drażniły go silnie. Lubił prosty stosunek, a widział, że po roku rozłąki nie taki się z bratem ułoży.

Nie chciał być jednak szerzycielem winy.

Jan również nie czuł się zdolnym do sprzeczeki. To też szli długo, milcząc.

Każdy z nich sięgnąć pragnął pamięcią wstecz, chciał coś sprawdzić i porównać.

Ostry, odwieczny ból wpił się w mózg Jana.

Męczył go ciągłym, okropnym uściskiem.

Zimna myśl wdarła się wewnątrz istoty.

Powracająca chłodna fala studziła krew i darła w strzępy uczucia.

Nie przez to cierpiał Jan, że nie umiał zdać sobie sprawy ze swoich chęci, przeciwnie, nieraz zdawało mu się, że należało tylko rękę wyciągnąć, by otrzymać w zamian życiem pulsujące szczęście.

A jednak nie czynił tego.

Bojaźń, by choć jednym ruchem nie zdradzić swych chęci, by nikt nie znał treści przyrodzonej, gotowa była niszczyć wszystkie plany i dusić z trudem wzniesione pragnienia.

Chował się zawsze przed wszystkim i wszystkimi. Tchórzliwość fałszywa i drażliwość nader wysubtelniona wytworzyły pewien trujący ferment, który gotów był szerzyć niszczycielską pracę.

Od tych zaś, których ceniał, żądał wszystkiego, o czym mówić nie chciał, a co w nim tkwiło głęboko.

Lecz i to wydawało mu się zbyt niebezpiecznym. Jan zresztą inercyjnie w błąd wprowadzał ludzi.

A szczerść względem siebie?..

Była ona nikłą, malutką słomką, która ratować nie mogła.

Zresztą cóż znaczy jeden pewnik wobec tysiąca wahań, wobec niepewności.

Cierpienie?.. i ono nawet nie chciało się zdefiniować.

Ba, żeby można było zestawić je, żeby się dało ująć w pewnej dziedzinie uczuć lub myśli, ale ono tkwiło w każdym słowie, w każdej zgłosce i literze.

Ono było ukłuciem szpilki w arterię każdej wywołanej chęci.

Ból stał się wszechobejmującym.

Ale nie był on szlifierzem głębi tragicznej, lecz pasorzytem, pajakiem, który skrępowawszy swojemi łapami całą swobodę, wysysał z niej krew.

I to trwało już lata całe.

Czasami jeszcze w ostatnich podrygach rzucała się ona beznadziejnie, rwała się chciwiej, ale mocniejsze uściski kleszczów doprowadzały ją do stanu wiecznej agonii.

Nie mógł wydostać jej Jan z łaknących objęć, nie mógł wyswobodzić, ukochać i czcić!

Czasem ta myśl przygnębiała go, czasami jednak rodziła burzę bezradną w piersi i ulegała potulnie, bojąc się kary, jaką ściągnąć mogła.

Pragnął Jan, by zaszło coś ważnego, chciał się posunąć w tę, lub tamtą stronę.

A najgorsza, najniebezpieczniejsza była chęć — być wolnym.

Mijały wówczas tygodnie klęski zupełnej.

Natura rozbijała się, jak ptak o szybę zamkniętego okna.

Walczył duch wolny, głęboki z brutalnym wrogiem-zaborcą.

Przegrywał zawsze, a wciąż próbował powstać, zbierał swoje siły, przelewał darmo krew.

Kładł coraz większe ofiary, a czyniąc to, wiedział, że musi dojść do zupełnej zagłady.

Tak to walka bezlitosną być musi, gdy braknie wspólnych pierwiastków we wrogach.

I cóż można było uczynić, gdy w duchu tkwiła wielka ostateczność?

Każde zetknięcie się z ludźmi wywoływało stokroć silniejsze wstrząśnienie, jeśli wogóle poważnem być mogło.

Związał mus życia namiętności twórcze, niszczył niewolą wszystko, co nawet z mózgu już poczętem było; zamknął usta skardze, ale pozwalał panoszyć się dumie.

Ciężkie to były chwile, bodaj najcięższe.

Wieczne pytania, kto wzbrania być wolnym, zerwać ze wszystkim i iść w dalszą drogę, przestały dawno czekać na odpowiedź.

Było coś, co się kryło pod maską obłudy, chcąc schwytać chciwie każde nowsze słowo.

I teraz uciekł Jan przed swoim szczęściem.

Wymknął się jak tchórz, albowiem spostrzegł, że kiedy je już urzeczywistnić pragnął, stało się ono dlań obce i zimne.

Rok prawie gotów był budować to, co zrujnował w przeciągu godziny.

I tak czynił wiecznie.

I kiedy myślał teraz o kobiecie, którą zostawił, cierpki, bolesny uśmiech wykrzywił mu usta; czy to na myśl, że ona teraz cierpieć będzie, czy też przez niechęć do samego siebie, nie wiedział sam.

Teraz kiedy Piotr wspominał (ledwo dając pojąć), że zerwał z osobą mu bliską, wbrew swej naturze, przeciw własnej woli, zrozumiał, że on, Jan, uciekł przed jaśniejszym promieniem z tchórzostwa, z bojaźni, by nikt nie ujrzał całej pustki jego.

Albo wprost uczynił to przez drażliwą ambicję.

Uczuł nagle pogardę dla siebie.

Słowa, które był słyszał tyle razy, zadźwięczały w uszach.

Gorące uczucie i duma kobieca przezwyciężały się w nich nawzajem.

A on nie umiał brać, nie umiał sięgnąć zaborczą

ręką po to, co się prosiło, by je wziąć, chronić i kochać.

Oczy piękne dawały pojąć całą dumę, a niezrozumiane, kpiące się stawały.

Lecz przez ból kpiły jedynie.

Bał się Jan tego drwiącego uśmiechu, uciekał przed nim, nie wiedział, jak się ma bronić, co czynić?!

A było tak łatwo wykrzesać tyle piękna, za łatwo nawet.

Rozumiał Jan chęci, przenikał w kobiecą duszę, ale nie chciał dać jej możliwości rozmachu.

Stchórzył przed impetem temperamentu kobiety.

Nie pojmował co w nim, w Janie kochać można?

A nieraz cierpiał, myśląc, że traci dzień po dniu, że upuszcza „najcenniejsze“ z życia świadomie.

I potem znów czynił tak samo.

Nie wierzył już w żadne zmiany, w żadne zjawisko, któreby go wskrzesić mogło.

Chciał tylko ciszy.

ELŻBIETA BRANDT.

A kobieta, ku której myślą się zwrócił obecnie Jan Czarski, była dwudziestoletnia Elżbieta Brandt.

Poznał ją rok temu w zgiełkliwym gronie, w tym czasie, kiedy książka jego „Ludzie Upadku“ zyskała sobie przejściową sławę.

Naokoło komentowali ją sobie najrozmaiciej, a ponieważ była niezmiernie subtelną i nie najbardziej jasną, każdy obstawał przy swoim.

Jan nie znosił komentarzy do dzieł swoich, nie cierpiał ciekawości i dyletantyzmu.

Mówił o pracy jako o rzeczy, której nie kochał, lecz cenił.

Nigdy nie była ona koniecznością.

Wszelka konieczność była ponad siły.

Pewnego razu po zebraniu, które przepędził wraz z obcymi ludźmi, usłyszał cichy, lecz dobitny głos kobiety.

Młoda kobieta mówiła do niego:

— Rozumiem ból—rzekła—który rodzi się z człowiekiem i który umrzeć z nim musi.

Spytał wówczas, dlaczego zwraca się doń w ten sposób.

Odpowiedziała krótko:

— Zdaje mi się, że nie tyle rozumiem cierpienie ludzi, ile je czuję. Widzę je w twarzach, dopatruję się go w mowie, w każdym ruchu je wyczuwam. I jakże jest mi jasnym, że w panu tkwi ów ból niszczycielski, ów kat wszelkiego uczucia.

To powiedziawszy, wyciągnęła pierwszą rękę i wyszła.

Jan się zamyślił.

Dawno już nie słyszał tak prostych słów z ust kobiety.

Wyszedł zaniepokojony.

Błądził w alejach dziewiczego parku tam i napowrót, kroczył po ścieżynach, a w myślach jego tkwiły już słowa Elżbiety.

Spotkał ją nazajutrz na ulicy.

Skinęła mu lekko głową i uśmiech promienny olśnił jej twarz.

Jan podszedł.

Elżbieta zaczęła odrazu z prostotą, wracając do wczorajszej rozmowy.

Spytała, czy Jan ją zrozumiał, czy aby tylko nie wykomentował źle jej słów szczerych. Nadmieniła skromnie, że tęsknota, na ile zna siebie, nie jest jej obcą. I dodała przytem:

— Przez to właśnie, że mi niedola nie stępiła nerwów, czujną na cudzy ból jestem.

Czasem ogarnia mnie przestрах okropny.

Zdaje mi się, że słyszę wszystkie skargi świata w jednym zespole.

Wyteżam wówczas słuch. Wsłuchuję się w tę najokropniejszą symfonię, w ten jeden żywy dźwięk — wszechból, wszechcierpienie.

Nie czuję się zdolną, aby zdać sobie zeń sprawę, aby go umieć w słowach wypowiedzieć.

Lecz mnie się zdaje, że nie ma ofiary, jakąbym poniosła, by tylko zamknąć usta owej skardze.

...Czemu tylu ludzi ginie, czemu tylu zginąć musi, a tak niewielu tylko cel swój osiąga?

Jan zdziwił się bardzo.

Pomyślał bowiem, czemu ta młoda kobieta, ta delikatna, nieco wąła figurka, tyle zrozumieć mogła?

Przyjrzał się jej uważnie.

Spostrzegł teraz dopiero, jakie głębokie szafirowe oczy nań spoglądały, jakie piękne, niezmiernie duże czoło jaśniało dobrocią z pod gładko zaczesanych, mocno-złotych włosów.

Pytał się siebie, czy jej odpowiedzieć, czy dać tę jedyną szczerą i długą odpowiedź, któraby była opowieścią życia.

„Dlaczego tak wielu ginie, a tak niewielu tylko cel osiąga“.

Dlaczego skojarzenie wszystkich głosów skargi jest tak okropne.

Czemu ogarnąć może jej piękna dusza ten tragizm straszny świata.

Czemu?!

Wstrzymał się jednak ze swem wyjaśnieniem. Nie chciał mącić spokoju, a nie wiedział, że wątpliwości bardziej szarpia ducha, niżli zła prawda.

Więc milczał.

Ale Elżbieta Brandt za wygrane nie dała.

Zarzucała potokiem pytań swego towarzysza, bez wytchnienia wypowiedziała wszystko, co ją męczyło, i co jej mglistem wydawać się mogło.

Zapytywała skąd ból powziął swój pierwszy początek?

Czy można sięgnąć wstecz pamięcią własną i zajęć w pierwszy dreszcz, w pierwszą wątpliwość?

Kto stać się może najniebezpieczniejszym, kto żąda największej dla siebie ofiary?

A nadewszystko kto wiąże, kto każe staczać się ludziom?

Czyja moc mogłaby powstrzymać ów bieg okropny w coraz niższe kręgi, w coraz ciemniejsze podziemia istnienia?!

I kto żąda takiej ofiary, kto jej chce?

Elżbieta wierzyła w przeznaczenie, pewną była, że los, który nad człowiekiem ciąży, musi się zwalić na barki jego, musi go przygnieść swoim ciężarem, lub zniszczyć szczęście w iskiecce maleńkiej.

Kłóciły się w niej: sprawiedliwość i konieczność. Chciała nieraz zwrócić swe oczy ku tym wybrancom, którzy żyli tak, jak chcieli, i według woli własnej rządili się sobą, ale jak małą, jak nieliczną wydała jej się ta garstka szczęśliwych.

To zresztą nie dawało rozwiązania.

Młoda dusza kobieca chciała znaleźć wyjście, szukała przyczyny, dla której cierpieć warto i niszczyć się trzeba i nie znajdowała odpowiedzi.

Bo i cóż w zamian otrzymują ci, którzy dają bez namysłu wszystko?

To właśnie pytanie było ważnem dla Elżbiety, ono męczyło już jej jaźń szlachetną cały dni szereg.

Teraz zdawało jej się, że znalazła ducha, który na wszystko jej szczerze odpowie.

Czekała na odpowiedź.

Tyle wątpliwości miało zniknąć naraz, tyle zapytań — znaleźć rozwiązanie, wreszcie tak wiele nowych rzeczy miało się wyjaśnić! Chciała usłyszeć z ust samotnego mężczyzny prawdę.

Myślała, że ludzie stroniący od gwaru, kryją istotne tajemnic skarbnice.

Wyobrażała sobie, że zrozumienie treści każdego zjawiska czyni z nich rezygnantów spokojnych.

Pragnęła wierzyć, że im ulżyć może.

I szła Elżbieta Brandt ciągle naprzeciw zbolątej duszy i czekała.

Wątpliwości nie nikły, a Jan wciąż milczał.

Nieraz odchodziła też młoda kobieta smutna, wzruszona i zniecierpliwiona.

Powracała do swego własnego pokoju, a było w nim coraz duszniej i ciasniej i coraz gorzej.

Nie mogła wszak siedzieć w murach zamknięta wówczas, gdy naokoło cierpieli, myśleli i czuli.

A nadewszystko rosła świadomość cierpienia.

Bezczynność truła, a brak pomocy budził łkanie w piersi.

Pytania rosły, wątpliwości szerzyły się, jak bujne chwasty, a niezależność w istocie zasiana, pragnęła burzy, zmałonej żywiołem.

Elżbieta czekała na iskrę piorunu, która spopieli jej myśli jałowe.

Owej iskry właśnie bał się Jan Czarski.

Rozumiał zbyt dobrze, że prędzej, czy później, rozświecili płomień ducha jego pustkę własną.

Czekał i milczał, a chociaż znana mu była ludzka tragedia, tych, których nieraz widywał w bezwoli, lub w porywczych chęciach, wolał nie dawać żadnych odpowiedzi.

Opowieść szczerą mogła rozczarować, mogłaby wreszcie zostać źle pojętą, niezrozumianą.

Słowa wszakże jedne i te same inaczej dźwięczą dla dusz różnorodnych.

Jan wiedział, co tkwi w każdym wyrazie wyznań, ale dla obcych mógł być on tylko dźwiękiem beztreściwym.

De profundis ducha uważał za chybione.

Sama próba szczerości wykluczona była.

To też Jan coraz zaciekłej milczał, coraz cierpliwiej znosił wybuchy Elżbiety.

Ale w niej powstawała teraz nowa siła.

Siła ducha — intuicyja.

Zaczęła więc mówić, a Jan słuchać musiał.

Początkowo niepewne przypuszczenia z każdym dniem bardziej rosły i męźniały.

Czuła Elżbieta, że zdobywa sobie, wielkim wysiłkiem, całą duszę męską.

Chciała ją zawojować, a pragnienie owo było tak silne, że znikły wszelkie trudności.

Nawet wstyd malał, nawet forma nikła!

Wreszcie wiedziała Elżbieta tyle o swym przyjacielu, że ośmieliła się na pewnego rodzaju wyzwanie.

Mówiła z cudnym uśmiechem bólu, który kobietę tak wspaniałą czyni.

— Czy myśli pan — rzekła — że nie wiem, czemu wciąż milczysz, że nie zauważyłam, żeś ukrył prawdę przedemną.

Po ostatnich słowach, spojrzała w oczy zmato-
wiałe Jana, a wyczytawszy dla się znaczącą odpowiedź,
ciągnęła dalej:

— Mamże znów mówić, znowu odgadywać?

Jakże się nauczyłam zręcznie to czynić.

Zapytuję się nieraz skąd ja wiem tyle?

Skąd wiem?

Skończyła.

Jan stał spokojny, bezbronny. Zrozumiał, że wy-
słuchać musi najgorszą prawdę.

Próbował jednak zmylić drogę ku niej.

— Żebym był wiedział — rzekł wreszcie — że za-
leży pani gorąco na mych poglądach, odpowiedziałbym
bez namysłu, że dziewięć dziesiątych ludzkości ma dzie-
więć dziesiątych danych do przegrania i jedną dzie-
siątą, aby zwyciężyć.

To zwykła kolej rzeczy.

Zresztą wszyscy posiadamy braki, a z nimi nie
dochodzi się do celu.

— Tego nie zrozumiałam, to jest dla mnie nie-
szczere — dodała przenikliwie, wiedząc, że mu tym ból
sprawia.

Nastąpiła chwila decyzji, należało wreszcie wszyst-
ko wypowiedzieć, co tłumionem było w ciągu mie-
sięcy.

Elżbieta Brandt chwilę wahała się, ale chęć nagła
i olśniewająca działać kazała.

Twarz młodej kobiety spochmurniała nagle, oczy

skupiły w sobie treść istoty całej, a brwi szlachetne zmarszczyły się nieco.

Tak, teraz pojęła Elżbieta, że znalazła odpowiedź na swoje pytania i że była ona prostą, lecz niegodną życia.

— Oto więc smutnem jest to, do czego doszłam sama — rzekła cicho bardzo — smutnem i tak beznadziejnem.

W tej odpowiedzi, której tyle czasu poświęciłam, mieści się jeszcze pytanie. Ale na to pytanie nikt mi nie da rozwiązania.

To jest tragizm, z którym umrzeć trzeba.

— Czyżby?—przerwał Jan, bo zdawało mu się, że ostatnie słowa wypowiedziała z determinacją.

— Tak, to jest zagadka nasza, a każdy z nas ma inną, głębszą, lub bardziej płytką, ale ją ma.

I co właściwie tworzy owa tajemna rozpacz, jak nie formę, której nie warto wyrazu poświęcić.

Co kształtuje odwieczny ból, jak nie przezorność, lub wyrachowanie, lub wszystko inne, co z mózgu wypływa.

Myślę częstokroć, czemu nie wolno sięgnąć po wszystko piękno naraz i czemu każda próba tak się okrutnie zemścić na nas musi.

Dlaczego stworzyli sobie ludzie warunki, w których im źle?

Wszak ci, którzy poddają się utartej formie — są nieraz dzielni.

Bo wszak tchórzostwo marnych ludzi tylko krępuje.

— I słabych — dodał Jan z zastanowieniem.

— Niechaj będzie słabych. Ale czyżby tym sła-

bym jest zupełnie wszystko jedno — męczyć się za nic i męczyć się za coś.

A zatem—nie zwykle tchórzostwo skuwa was, ludzi nielicznych, w kajdany, nie wielkość własna, nie ambicya szczerą — jeno bojaźń udzielenia się.

Boicie się, że trzeba się oddać, by wziąć z naszej duszy najszlachetniejsze!

Lęk was pląta i usidla, gdy pomyślicie, że wam dają wszystko za wasze duchy, spętane uczuciem.

Żądają od was czynu.

Ale ja, jak tysiące innych chowana, przywykła do obłudy w stosunkach z ogółem, coś silniejszego pragnę wchłonąć w siebie — szczerłość.

Chcę wiedzieć, co znaczy nieskrępowany pęd roznamiętnienia i wzniosły ból dojrzałej namiętności.

Brak przeżyć mówi mi, że mało warta.

A mimo to, w ofierze niosę jaźń samodzielną, choć wiem, że ukrytą przedemną zostanie istota męska.

Elżbieta Brant przerwała. Brakło jej tchu, by dalej wypowiedzieć swą gorzką wiarę.

Szkarłat rumieńca rozpałił jej twarz.

Jan patrzył się na to.

Jego posepna jaźń wstrząśniętą została nagłą szczerością.

Mimowoli pragnął usunąć się w kąt niewidoczny i słuchać tylko, a ze swojej strony nie czynić nic.

Czuł, że wziąć nie może szczęścia wielkiego i że decydujący krok zmieniłby uczucia w czczą obojętność.

Był śmiesznym, jak żak i udawał, że nie pojmuje nagłego wybuchu.

A Elżbieta czekała.

Patrzała zdumiona na oschłą postać oziębłą, nie-
czułą.

Parsknęła śmiechem.

— Na co pan czeka — spytała z pogardą.

— Na koniec wyznań — odrzekł Jan z namy-
słem.

ANNA STEN.

Anna Sten postanowiła wracać do kraju.

Zatrważające przecucia i niepokojąca myśl o nowym kroku, który uczyni w swem życiu, męczyły ją swoim brakiem jasności.

Droga, po której szła dotychczas, nagle skrzyła, nie wyjaśniając celu, ani dążeń.

Wypadek usiłował raptownie coś zmienić, uzależnił od siebie wszystkie siły twórcze, wreszcie chciał stawić opór.

Do tej chwili Anna Sten mieszkała we Włoszech. Po rozejściu się z Piotrem, po zakończonych walkach zobopólnych zamknęła się w sobie, tu — w nadmorskiem ustroniu.

Długie miesiące zupełnej samotności urozmaicał jej stary fortepian.

Lecz próżnym jest każdy wysiłek kobiecy, który jej ducha chce odseparować od reszty świata.

Kobieta musi podziw wzbudzać w oczach patrzących, musi być osią, dookoła której wiruje życie.

To też Anna Sten zmieniała pierwotny tryb jego.

Z początku zaczęła podejrzewać siebie w słabości, lub w chęci wskrzeszenia wzniosłej przeszłości.

Widziała, jak tęsknota zaczęła wyzierać ze wszystkich kątów, jak despotycznie chciała władać duchem.

Anna czuła, że raz jej dostęp dając, nieprędko zrzuca jej ciężkie kajdany.

Wówczas to właśnie, poczęła gwałtownie się bronić przed nową nawałą pragnień.

Wyrobione pojęcie o własnej nielitościwości, o nieugiętej dumie, która w chwilach silnych kobiecą tylko być mogła, zaczęło sztuczną tworzyć podwalinę.

Zdawało jej się, że może sobie na wszystko pozwolić, że wolno jej się zaszargać nawet, byle tylko nie dać się tęsknocie rozrastać, byle nie myśleć.

Wychodząc z domu z lekkomyślnością, nieco nierozumną, postanawiała nie sprzeciwiać się niczemu, cokolwiek ją spotka.

Stała się dostępną, łatwą, złośliwą nieraz, ale wybaczącą wszystko, co pochodziło z podniety zmysłowej.

Dumna Anna Sten stała się teraz wyrozumiałą i tolerancyjną, a nieraz była na tyle dostępną, że z głupcem nawet umiała się cieszyć.

Wracając do domu po całodziennych poszukiwaniach, zmęczona pustką swojego istnienia sprawdzała zasypiającym mózgiem wrażenia dnia.

I wydawało się, że nie były one niczem gorsze od tych, które były niegdyś świętymi.

Potem kładła się spać. Zasypiała twardym, nienaturalnym snem.

Ranek nie istniał dla niej. Najcudowniejsze godziny nikły daremnie.

Leniwo spozierała z łóżka przez muślinowe zasłony na budzący się świat. A czyniła to z taką obojętnością, jakoby nic już ją wzruszyć nie mogło i było martwym, jak jej młoda dusza.

Rzadko starała się usprawiedliwiać, a zresztą myśli, że mści się całym życiem swoim na Piotrze, zaogniała jej postanowienia.

Nie zdawała sobie sprawy, że wyjazd jego wpłynął na nieobliczalność jej mściwych pragnień, że inercyjna zmiana przyszła od niechcienia, a wrosła silnie w krew i ujść nie chciała.

Coraz bardziej dawała się plątać przez sidła i nie miała odwagi, by się spojrzeć na nie.

Szła z zamkniętymi oczyma.

Każdy dzień zdał się powtórzeniem przeszłego, każda chęć była bladym odbiciem pragnienia.

I mijał czas.

Wciąż majaczyły te same nazwiska mężczyzn i młodzieniaszków, ich puste słowa i rozpustne czyny.

A nie było między nimi nikogo, ktoby wydzwignąć ją pragnął, ktoby jej szedł naprzeciw.

Wszyscy oni byli jej obojętni, a wykazywała im nieraz tyle humoru. Po co?

Pozwalała na wszystko wszystkim z jednakową uległością, nie dopuszczając tylko do ostateczności.

Czuła na sobie ciągle dotyk rąk mężczyzn, delikatne musnięcia młodzieńców i pragnęła zrzucić je ze siebie, tak jak zzucała ubranie.

Ale wola jej była słabą i chorą.

To też po chwilach refleksyi miast zmienić drogę, po której dążyła, wracała w determinacyi do bezmyślnego grona swych towarzyszy.

Bała się samotności.

Czuła, że była ona jej najbardziej zawziętą współzawodniczką i że się przed nią kryć musi, będąc zbyt marną, by spojrzeć jej w oczy.

Idyotyzm flirtu, który w czasie życia z Piotrem, nie istniał wcale, a mógł się wydać czemś tak bez znaczenia, jak mucha, która brzęczała w pokoju, teraz wypełnił wszystko.

Szczegół najdrobniejszy stał się bezwzględny tyranem.

Trudno było Annie Sten kontrolować siebie.

Słowa wraz z wypowiedaniem umierały nazawsze—niegodne były pamięci.

To właśnie, że Anna nigdy nie mogła zebrać całej bezmyślności dnia w skupionej formie, że zapominała szybko wszystko poprzednie, dało jej możność życia długo w sposób beztreściwy.

Gdyby mogła była zważyć, porównać okres upadku z okresem, gdy się wznosiła wysoko, łatwo zerwałaby z nędzą uczucia.

Ale istniała tylko dla niej dana godzina, istniała tylko terazniejsza chwila, a poza niemi była bezwzględna tępota i brak zupełny głębszego porywu.

Gorzkie, beznadziejne, kobiece rozczarowanie — myśl, że jej nikt nie pragnie z całym zaparciem się swojej istoty, że bodaj wcale nie jest godną tego, kazały Annie padać coraz niżej.

Pierwszy raz czuła, że ją nicość zmusza do zastosowania się do przeciętności.

Nigdy bowiem dotychczas przeciętną nie była.

Jej rozmach pragnień wiecznie świeży i odmienny, jej silne parcie do wolności, do szczerego nieskrę-

powanego formą, istnienia, były dotychczas dominującymi cechami, w imię których wyrzec się mogła podrzędnych błahostek, które tak wielce, w każdym życiu waży.

Nieraz też zrywała raptownie z ludźmi, którzy się powtarzać zaczęli, a którzy dać jej nic już ze siebie nie mogli.

Częstokroć rzucała cały okres przeżyty w ciągu okamgnienia, gdy czuła, że już wzięła z niego istotę pragnienia.

Bywało, również, że była nieubłagana, często okrutną przez to, że kłamać przed sobą nie chciała i że iść miała drogą, którą w swej duszy tajemnie kreśliła.

Ostatnia nie była nigdy tą, po której dążyła.

Życie modyfikowało wszelki szemat, rozwijało chęci, komplikowało je, nieraz burzyło, ale bądźco bądź budowało pewną drogę, na której wyrastało wszystko niespodziewane, a piękne, zwrotne, a niebezpieczne.

Ileż to razy w ciągu jednej godziny zmieniała radykalnie swe postanowienia i jak zależne były one od jednego westchnienia, słowa lub gniewu.

A oryentowała się szybko.

Instynkt wrodzony odnajdywał wszystko najbardziej konieczne i rzucał się na nie.

Nie dbała, czy była konsekwentną, chciała jedynie prawdy uczuć i szczerości w rzeczach pierwszej wagi.

Nieraz popełniała nedorzecznosci, jeden dzień przeczył drugiemu, była zupełnie nieobliczalną.

To też często stawała nagle przed niebezpieczeństwem i wysilać musiała swój umysł, by wyjść zeń bez szwanku. Ale nagle i gwałtowne wypadki, pod wpły-

wem uczuć silnych zrodzone, wprowadzały ją w nowy świat, w nowe znów życie.

Życie Anny Sten było różnorodne: wzniosłe i piękne, lub też niskie i puste.

Była, jak wszystkie kobiety jej krwi, szlachetną w uniesieniu i bezmyślną w upadku.

Mogła być promienną, a nawet duchowo płodną i pustą, lub apatyczną.

Mogła rwać pęta z najzacieklejszą uporczywością rycerza, lub też skrępować siebie zwykłym sznurem słabości, jak istota własnego hartu wyzuta.

Mogło jej zbrzydnąć nagle wielkie uczucie i pociągnąć — liche, błahe i nikłe.

Mogła nawet iść wbrew własnej woli, przez jaką ślepa inercję pchana, w najciemniejsze zaułki, by szukać tam treści i była w stanie wyprzeć się tego, co bodaj prawdziwą istotą życia było, byle tylko nie stracić swobody.

Była wielką sprzecznością i olśniewającą pochodnią, która oświetlić mogła męską treść jędrną i wybijającą.

Skąd podmuch wiał, by z iskry ogień wykrzesać nie wiedział nikt, i nie wiedziała Anna, skąd naraz nagle i gwałtownie nawiedzało ją niespodziewane uczucie, odgadujące szybko trudne zagadnienia — było tajemnicą.

Wreszcie czy Anna знаła się sama?

Czy potrafiła ocenić się w pięknie i brzydocie?

Nie, Anna znała siebie tylko w tej chwili, w której żyła ostatnio, oceniała się bez porównań i z zupełnym brakiem obiektywizmu.

Zresztą chciała, by inni jej wyjaśnili to, co w niej tkwiło głęboko.

Z sądów innych tworzyła szerokie pojęcie o sobie, wreszcie uzupełniała je własnym wrażeniem dowczem i popędliwym.

Ale i to nawet przy żywiołowej zmienności stawało się nieraz zupełnie fałszywym i bez znaczenia.

Wagę tylko miała chwila, cenę miał poryw.

To też czasami wydawała się sobie Anna Sten bezwzględną i jednolitą.

Ogarniała swemi płomiennemi oczyma wszystko piękne, odrzucała kategorycznie wszystko drugorzędne, stawiała się bodaj chciwą i upartą.

Były to dni, kiedy brać tylko pragnęła, kiedy gotową była wyrwać to, co za godne siebie uznawała.

A ponieważ była odważną i z chwilą, kiedy jej myśli gorące rozpały czoło i skronie, postanawiała urzeczywistniać swe chęci i pragnienia; nigdy więc długo w stanie niedokonanym tkwić w niej nie mogły.

To też szybko umierały zbyteczne ostateczności, które kobietę, dzielną w myślach jedynie, zniszczyć potrafią.

To też dla tego nie rozrastały się chęci nieczyste, lub urojone żądze, stokroć groźniejsze jeszcze, gdy słumione.

Anna była naturą nawskroś czystą i piękną, aczkolwiek nierówną i kontrastową.

Nieraz też zmieniała się raptownie i niespodzianie.

Stawała się melancholijną, głos jej altowy nabierał miękkości i słodczy, zdania bywały krótkie i niepewne, a w oczach jaśniały światła łagodne i smutne.

Wówczas szukała Anna swobodnie, bez pośpiechu treści najbardziej pięknych dni życia.

A w każdym z dotychczasowych znajdowała braki, w każdym z nich nie było całości.

Przyszłość kryła w sobie dzień doskonały, godziny, w których chwila każda ma swoje odrębne znaczenie, swoją wyłączną wartość.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli dzień ów dotychczas jeszcze nie nastąpił, to nie z jej, lub czyjejkolwiek winy, a przez to jedynie, że było jeszcze zawcześnie.

Trzeba było przejść wiele, przełknąć nie jedną łzę gorzką, by otrząsnąwszy się ze wszystkiego, co przykuwało do upadku, stanąć nanowo w pełni sił.

I dzień ten zbliżał się teraz właśnie, biegł wolnym lotem, a był już pożądanym i upragnionym.

Anna nie czuła jeszcze bliskości jego i dlatego nie myślała, że może gwałtownie zerwać z obecną bezmyślnością.

Nie było jeszcze bodźca, któryby czujność jej zbudził i oczy otworzył.

Wracała zatem Anna codzień do ludzi, których nie lubiła, do głupstw, których beztreściwość rozumiała, i do poniżającej roli zabawki dla tych, lub tamtych.

A z każdym dniem coraz ciężej jej było wchodzić w owo środowisko bezbarwne, za każdym razem coś się w niej mocniej wzdygało przed takim trybem życia.

Aż wieczoru jednego powiedziała sobie, że raz ostatni słabością się wiąże.

Nie wiedziała, kto przeciąć pragnął sidła, dać chciał jej swobodę, kto szedł z pomocą naprzeciw, by zbudzić piękno.

Nie wiedziała, czy nowy człowiek w jej życiu za-
waży, czy czas jej zwróci tego, którego straciła w ocze-
kiwaniu najsilniejszych pragnień. Ale to wszystko było
zbyt mało, by zwrotny krok uczynić, by z całą wolą
chcieć iść inną drogą.

Bodziec szedł skądinąd i niespodziewany. Oto
zjawił się Rafał Orlicz—dawny znajomy, którego Anna
poznała nad Garda, przeszło rok temu.

Był on świadkiem jej szczęścia, jej dni niezma-
conych brzydotą życia.

A nadewszystko znał Piotra i był tym, co wskrze-
szał pamięć kobiecą.

W chwili, gdy młodzieniec zbliżył się do Anny,
spojrzała na niego zimnem spojrzeniem płomienistych
oczu.

Przywykła witać wszystkich obojętnością. Dopiero,
gdy uprzytomniła sobie, kim był w istocie ów przybysz
znajomy, bardzo serdecznie wznowiła tę przyjaźń.

Ogień wybuchł w pamięci, oświetlając wszystko,
ku czemu Anna raz pierwszy wracała.

Krew uderzyła do głowy.

Naraz przypomniało się wszystko.

Szli więc razem Anna i młody Rafał Orlicz, mil-
cząc i marząc pospołu.

Mówili mało.

Wpatrzeni w fale wzburzonego morza, szukali
w nurtach zaginionych przeżyć.

Czasem tylko czuła na sobie Anna gorące spojrze-
nie niebieskich oczu młodzieńca.

Zrozumiała odrazu, że iskra pragnień zrodziła się
w piersi Orlicza, i że powinna raczej ją zagasić, niżli
rozpalić.

Wiedziała dobrze, jak łatwo rozniecić w młodzież-
czej fantazyi zaczątki uczuć, i jak trudno umiera,
chęć napółświadoma w istocie młodej.

To też czuwała, by nie dać powodu do zwykłych
marzeń i nie pojmowała, że wstrzemięźliwość zwiększa
uczucie.

Orlicz nie dbał o słowa, ani o spojrzenia, chciał
tylko wniknąć w duszę ukochaną i nadać chwili piętno
nieprzelotne.

— Zdaje mi się—rzekł trochę zmieszany—że znam
pani życie.

Aczkolwiek znam je tylko z domysłów.

Annie wydało się śmiesznem zdanie ostatnie.

Któż bowiem znał naprawdę jej życie, jeśli ona
sama ogarnąć go nie mogła.

Zdecydowała się jednak nie przerywać.

Gorący płomień wiary, jaki tkwił w słowach Orlicza,
zmuszał Annę do słuchania, a zdania następne nawet
zdziwiły ją nieco.

— Naprzykład—ciągnął dalej—wiem i pewny jestem,
że w okresie, w którym pani niewidziałem, spotkało
ją nieszczęście.

Któż z nas w ciągu roku nie ma przejść ciężkich,
nieraz bardzo poważnych, ale te, o których mówię, są
innemi od zwykłych trosk i kłopotów, one to kładą
ciężkie piętno na człowieku i każą mu zgłębiać siebie.

O to mi chodzi.

Cokolwiek nieuzasadnionem wydać się może moje
opowiadanie, ale kiedy szczere porozumienie było
wogóle uzasadnionem?

Usytuowana bezmyślność wcisnięta w ramy pe-

wnej formalności—ot zwykła treść, którą można szasać wszędzie i zawsze.

— Zatem spotkało mnie nieszczęście — przerwała Anna zniecierpliwiona omówieniem, chcąc wiedzieć wszystko, co może odgadnąć intuicyja i co fałszywie może ona pojąć.

— Pan tak jest pewnym w swoich przypuszczeniach, że gotowa jestem w nie święcie uwierzyć — dorzuciła z uśmiechem. — Cóż to za nieszczęście było, niechże się dowiem.

Przy ostatnich słowach Anna uczuła, że spada z jej oblicza maska obłudna, że świeży wiew dawnych lat wetchnęły jej płuca.

Uśmiechnęła się lekko sama do siebie.

— Jakim było owo nieszczęście—odparł Orlicz—byłoby może krępującem wymieniać, dosyć, że mściło się długo, może do ostatnich tygodni i co dziwniej—sze mściło się pod pozorami wesołości. Czy nieprawda?

Anna zbladła nagle. Słowa Rafała Orlicza były nader trafne i oświectliły jej to, z czego sobie sama nie zdawała sprawy.

Młodzieniec nie zatrzymywał się, mówił cicho, równo i spokojnie, nie dbając o odpowiedź, pewny prawdy swojej.

Anna cieszyła się z tego braku ciekawości.

— Milczenie niech mówi za mnie—myślała z pełną ulgą dla siebie.

— Ileż to razy—ciągnął dalej młodzieniec—mszcząc się na kimśkolwiek, sobie krzywdę czynimy.

I pani sobie wyrządziła krzywdę, a tymczasem

inni, w imię których można się było ongi wyrzec wszystkiego, wnoszą się, pracują, dochodzą do celu.

A gdyby im przypomnieć (zdaniem naszym) najpiękniejsze dni, wspólnie przeżyte, kto wie czyby wzięli to bardzo do serca i czyby pomyśleli, żeśmy związali z nimi całą doniosłość naszego istnienia.

Orlicz zatrzymał się i spojrzał uważnie na Annę.

Był jednak zbyt młodym, by pojąć słów znaczenie.

Zdziwił się więc niezmiernie, gdy spostrzegł w zachowaniu Anny pewien niepokój.

W samej rzeczy w jej oczach zapłonęły gwiazdy złociste i zgasły.

Nigdy dotąd nie przychodziło jej na myśl, iż w chwili, kiedy zechce powrócić ku dawnym wrażeniom, by je do szczytu wznieść i doprowadzić, mogą się rozbić jej chęci skrzydlate o czyjaś wolę i o czyjeś chęci.

Pierwszy raz zrozumiała istotę prawdy zimnej i odwiecznej i dreszcz ją przejął na samą myśl o niej.

Pojęła teraz, że jeśli droga powrotu zamknięta, musi opadać w coraz niższe kręgi.

Czuła Anna, że ją zdradzać poczyna zachowanie, ale ciekawość kazała jej słuchać.

Powtarzała więc ciągle:

— Niech pan mówi, niech pan opowiada.

I Orliczowi owe skąpe słowa dosyć mówiły, czuł nawet, że były one zbyt liczne w tej chwili.

Milczenie stało się skuteczniejszą ostrogą, niż wielomówność.

To też wynurzając treść swego ducha, Rafał Orlicz musiał spoglądać na bladą twarz Anny, na czarne, sute,

hebanowe włosy, by w całokształcie piękna kobiecego znaleźć odpowiedź.

A oczy o łagodnem spojrzeniu, nieco tragiczne, nieco tajemnicze, zdawały się znajdować definicyę swoją w duchu, który je kochał prawdziwie.

— Ale nie to — rzekł znowu młodzieniec — co rzekomem jest w człowieku — zwycięża, nie to, co nakłada maski, staje się prawdą — lecz to, co w nim tkwi i z czem na świat przychodzi.

Każdemu z nas sądzono jest wrócić do tego kręgu, skąd wyszliśmy kiedyś, z tą różnicą, że wszystko zdobyte wnosimy doń, wzbogacamy niem swój dom, (jeśli go tworzymy), lub też siebie, jeśli domu nie mamy.

O, krew, krew to — siła i moc, których nic zniszczyć nie zdoła.

W jednej płynie piękno i odrodzenie, w innej zarodek niszczący, w jeszcze innej — coś pośredniego między jednym a drugim.

Ci pierwsi, gdy spoglądają z oddalenia na swoje upadki, wówczas gdy zdolni są znowu do wzlotów, czują ich nędzę, ich marność, „ich wielkie nic“. I wierzę, że jeśli we krwi czyjejs płynie moc odrodzenia, ten, choćby najniżej upadł, najwyżej się wzniesie!

Bo to jest ostatnia wola piękna.

Bo i cóż komu po ratunku, gdy się nigdy na nic nie narażał.

A ratunek nieraz sprawia wielką rozkosz, a uratowanie siebie natchnąć może niejedną duszę pojęciem szczerem i szerokiem.

I oto ja wiem, ja czuję komu sądzono jest w końcu otrząsnąć się z błota, zmyć ze siebie plamy wszystkie i być nietkniętym, czystym, a nadewszystko pięknym.

Ja czuję tych ludzi, ja ich kocham, ja im wszystkie myśli oddaję!

A jak ich odgaduję, przez co są mi oni bliżcy nieźmiernie, jak własne serce, nie wiem i pocóż mam wiedzieć.

Anna wstrzymała oddech. Ostatnie słowa przeszły jej oczekiwanie.

Czuła, że dusza jej była już w ręku młodego mężczyzny, że kryć się, znaczyło kłamać w płytkiej formie.

Zresztą pytania ważne musiały znaleźć odpowiedź.

— A więc kto są ci ludzie — spytała — kto są ci, którym sądzono się wznosić.

Rafał Orlicz czekał może na to zapytanie, a może wiedział, że ono nastąpić musi.

Odpowiedział więc krótko, że Anna do wybranych należy. Więcej wyjaśnić nie chciał.

— Tak, tak — z zapalem podchwyciła ostatnie słowa — teraz dopiero uświadamiam sobie, co mam rzucić, co odpaść musi precz.

Teraz szukać zacznę, gdyż do tej pory wszystko znajdowałam bez poszukiwań.

Te słowa brzmiały w mych uszach, jak rozkaz, jak wezwanie.

I byłabym może długo tłumila w sobie głos szczery, jeśli by nie dzisiejszy dzień!

...Jeśli by nie dzisiejszy dzień — powtórzyła z namysłem.

— Ważne chwile, ważny czas, ważny przełom w mem życiu.

I ja dzień ów czułam w sobie, czekałam na niego, choć nie wiem skąd płynie ku mnie.

Wczoraj mówiłam, że ostatni raz, pozwalam oczom patrzeć na pustkę, ustom się kalać kłamstwem, a myślom tonąć w bezmyślności wielkiej.

Zatem czułam dzień dzisiejszy!

Rafał Orlicz nie był zdziwiony porywem Anny. Zdawało mu się, że tyle wypowiedział, że mu się szczerzy ów zapach należał.

ZWROT.

Długo siedziała Anna w pokoju przy stole i myślała.

Nie zapalała światła.

Otworzyła tylko okna naościę, odłoniła firanki i spoglądała przed siebie.

Ile dni miała jeszcze silnych w przyszłości.

Ile dróg wiło się przed jej oczyma, ile chwil pięknych błyskało w pamięci.

Jakże pragnęła teraz szczerze cenić i kochać.

Spragnioną była cierpienia, jako źródła wszelkiej inwencji.

Nawet wspomnienie dni pozawczorajszych wydało się jałowem i nieistniejącem.

Anna wracała do zarania swego wzlotu, by z niego wziąć początek i wzbić się wyżej jeszcze, niżli kiedykolwiek.

— Dokąd idę — pytała siebie — poco wracam, co uplanowałam?

Ale realnych odpowiedzi nie było. Tylko w cichy i spokojny brzmiały słowa Rafała Orlicza.

Anna więc była tą, której wznieść się sędzono, która z ciemnych zaułków i piwnic mogła wyjść pod wielkie, upalne niebo promienne.

Tęskniła za niem i za przestrzenią wielką, w której mogła czuć się nikłą i niedostrzegalną.

Jej usta drobne rozchyliły się. Zdawało się, że przez okna zbyt skąpo przenikają fale ożywce, że duszno było w pokoju, w którym mieszkała Anna Sten do wczorajszego dnia.

Otwierały się nowe drogi, nowe dążenia, zapomniane w okresie gnuśności, olśniewały i ciągnęły naturę ludzką.

Anna odradzała się.

Zrzucała ze siebie cały fałsz, całą pustkę, całą sztuczność napływową.

Odrzebywała ze stosu rupieci ostatnich uczuć — siebie dawną — dumną i niedostępną.

Nabierała wartości we własnych oczach, stawała się godną swego imienia.

Już był zwrot uczyniony, już był podłożony kamień węgielny pod nowy gmach!

Jedno tylko krępować poczęło poryw zmartwychwstały, że ci, w imię których wyrzec się można było wszystkiego, wówczas, gdy wrócić się do nich zapragnie, mogą zapomnieć o dawnych uczuciach.

Ta myśl okrutna zimną falą studziła najnowsze zapęły i gnębiła pomysły, jeszcze w łonie ducha żyjące.

Anna zakryła rękami twarz.

Było jej dziwnie ciężko w tem okamgnieniu, tak jakby cała przeszła, zachłanna istota duszę rozdarła, chcąc ją opuścić nareszcie.

Ale po smutnej, beznadziejnej chwili, kiedy „stare i nowe“ równie było silne, nastąpiła pierwsza zasadnicza zmiana.

Wtargnął promień jasny w duszę Anny.

Cały wykwint, delikatność, wzięte w ramę pewne siły, trysły z łona nowej istoty.

Cały cud kobiecy, ukryty ostatnio pod ciężką maską rubasznosci, znalazł swe ujście.

Usta, oczy, brwi, rzęsy były pełne słodyczy, jaką spotkać można u Anny—Leonarda, a tkwiło w nich poza tem coś nieuchwytnego, co nie uwiecznione jeszcze w sztuce zostało, bowiem było nazbyt nowe i współczesne.

Anna nie kładła się spać. Siedziała oparta łokciami o stół, w jakiś punkt odległy przed sobą wpatrzone.

Wrażenia zasilane wspomnieniem, nabierały życia, olśniewały kobietą fantazję szczerą i nakazywały już wracać, już iść i opuścić wszystko stare w imię nowego.

I wówczas zadała sobie Anna pytanie, gdzie owo nowe życie miało wziąć początek i gdzie go szukać musi.

Wstydziała się przyznać, że wrócić miała do uczuć dawno poczętych, że spotkać musi Piotra na swej drodze.

Chciała nawet sprzeciwić się własnym przypuszczeniom, ale słowa Orlicza, tak pełne znaczenia, niszczyły szybko napróżne wysiłki.

Teraz dopiero zrozumiała Anna, jak pragnęło jej ciało miłości i kultu szczerego, bez odcienia cynizmu,

wyrafinowania, jak głodną była sama prostego uczucia i rozmachu potężnych męskich namiętności.

Myśląc o nich, przymykały się jej powieki, nieco leniwie, nieco marzycielsko.

Ujęła czoło dłonią szlachetną i białą i uśmiechnęła się głębokim duszy uśmiechem.

Z łuków ust trysnął on zmysłowem, gorącym tchnieniem, a komu był danym, do kogo już należał — wiedziała Anna.

Pragnienie wielkie i nieklamane przyspieszyło krwi bicie, mąciło porządek myśli, wreszcie rodziło ból upragniony w piersiach.

Cała powierzchowność ostatnich dni pierzchła niepowrotnie, nie zostawiając po sobie śladów.

Wszystko dążyło teraz do piękna, do prostoty, do miłości wszechobejmującej, nadludzkiej.

Wielka, doniosła przyszłość oczekiwała; a jak przejawić się mogła, skąd kto mógł wiedzieć o tem?

W pierwszym stadium dążenie Anny było żywiołowem i chaotycznym.

Dopiero bliskość i coraz silniejsze parcie tworzyło rzeczywiście grunt, bardziej realną podstawę.

Czuła Anna, że jeśliby przez ambycję, przez formę, lub wstyd nawet, miała zniszczyć plan, który stworzyła obecnie, musiałaby skazać na zagładę wszystko szlachetniejsze... i gdzieżby zresztą znaleźć mogła i kiedy to, czego oczekiwała od dni najbliższych.

Świadomość, że wymarłaby w niej iskra płonąca na nowo, że przepaśćby miała chęć skrzydła bez przyczyn ważnych, dodawała otuchy.

A zatem czyn teraz tylko podjętym być pragnął.

Ale przedsięwziąć cośkolwiek było trudno niezmiernie.

Pierwszy krok, który zawsze do mężczyzn należy trzeba było uczynić samej.

Ale i Anna miała coś w sobie z męskiej stanowczości.

Umiała być kategoryczną i niezłomną, jak i uległą, niezdecydowaną.

Mogła chcieć silnie i dążyć ku temu, czego pragnęła.

A miała za sobą zbyt wiele bujnych uniesień, by wybrać rzecz godną rozczarowania.

Zdolną była ważyć i obliczać, choć czasem niespodzianie, w silnym porywie, oddawała wszystko i bez zastrzeżeń.

Była, jak błyskawica nieraz gwałtowna i przemijająca i tak, jak ona, pozostawiała wszystko w chwili wybuchu w świetle silnem, promiennem.

Godną być mogła najsilniejszej tęsknoty i pragnień, jak również zapomnienia i krótkiej niechęci. Była piękną w obecnym smutku, którego przed sobą kryć nie miała poco.

NOWE PLANY.

Książka „Ueber Kraft“ stała się nieodstępnym towarzyszem Jana Czarskiego.

W niej znajdował całkowite usprawiedliwienie swojego życia, ona napełniała go otuchą i bodaj pewną wiarą fanatyczną.

Wreszcie jej forma, jędrna i wykluczająca wszelką wątpliwość, uczyła słabą istotę kategoryczności i moc wskrzeszała.

Nie chciał Jan myśleć nawet, jak bardzo fałszywym i groźnym jest rozwój szybki na cudzem podłożu, jak łatwo można było zginąć przy byle ostrzejszym podmuchu życia, nie mając w sobie okrucieństwa pasorzyta i wytrwałości intruza.

Odpędzał owe myśli od siebie, choć czuł, że nie bezskutecznie szturmowały one do jego ducha.

Świadomość nieraz oświeślała stan nowy w prawdzie. I wówczas widział, że nie wrósł duch jego korzeniami w obce podłoże, że, prędej przylepił się doń tylko w determinacji ostatecznej.

Czuł i rozumiał, że, w zamian za całą żywotność swoją, otrzymać może tylko zniechęcenie.

To też w pracy pragnął znaleźć oparcie, ale nie spostrzegł, jak szybko przejął się wpływem zewnętrznym.

Nie zauważył nawet, że coraz częściej brał cudze myśli za swoje wyłącznie i upierał się przy nich.

Jego słaba natura potrafiła stać się fanatyczną i namiętą, a w ratunku ostatecznym, umiała przejść najbardziej namiętny fanatyzm.

Silnie uczepił się tezy Johanna Hoffa, nie myśląc o tem, ku czemu najogólniejsza destrukcja podąża.

Chodziło mu o to, że brnąc przez wszystkie wątpliwości, przez słabość niszczycielską i zupełne zwątpienie, można bez własnej wiedzy pewnego dnia znaleźć się na ich ruinie i zgliszczach i, nie mając za sobą nic, a w sobie wszystko, czego życie nauczyło — iść tam, gdzie skryzalizowana moc drogę wskazywała.

Kiedy indziej osądziłyby Jan całe owo założenie o teoretyczność, o brak możliwości, prawdopodobieństwa, a to, że dzień największego znaczenia miał spaść niby „Deus ex machina“, nagle i bez wiedzy — wyśmiałyby pewnie.

Ale tak mógłby uczynić dawniej, nie dzisiaj, kiedy tajemnicza przemiana nabrała krwi, kiedy dzięki niej znowu w siebie gotów był uwierzyć.

Zapomniał, że mu Piotr wspominał nieraz o tragicznej śmierci Johanna Hoffa i nie pojmował, że dzień ostatecznej przemiany, okamgnienie, kiedy się staje na zgliszczach zniszczonej przeszłości, obejmując spojrzeniem swoje życie — jest chwilą najpiękniejszej śmierci.

Zresztą Jan zagłuszał przewidywania, zredukował swoje dążenia w miarę możliwości i starał się je wtłoczyć w ramy rzeczywistości.

Z założenia idealista, który dzięki wielkim chęciom, nie mógł zadowolnić się nigdy własną płodnością i uważał ją za coś nikłego w porównaniu z tem, co chciał stworzyć—zaprzagnął realności.

Idealne pomysły, które miał w sobie, były „nie warte“, a całe dążenie dotychczasowe było „błądzeniem analfabety, który szedł tam, gdzie go wiatr popychał“.

Czuł Jan ulgę, gdy na korzysć ducha terażniejszego — ducha, który wziął życie z cudzego pomysłu mógł obalać, niszczyć i szkalować własną istotę z okresów minionych.

Teraz nastąpiły dni gorączkowej, dorywczej nadziei — silnej, lecz krótkotrwałej.

Cel był przed oczyma.

Rozrastał się łatwo, jak pokrzywa, a nie dawał się uchwycić i ująć w pięść.

Dzień, w którym będzie można spalić wszystko, (bo wszystko dotychczasowe okazało się fałszywym) miał być dniem ostatecznym.

Jan wolał go jednak odkładać na później, gdyż nie wiedział, jak ma się wziąć do nowej pracy niszczyielskiej, zresztą bał się, że może i ona zawiedzie. A wówczas trzebaby było już wszystko na kartę postawić.

Narazie było dobrze z tem, że istniało coś przed oczyma, na co się patrzeć ciągle było można, ku czemu wolno było dążyć bezkarnie.

W nowej gorączce, w ogniu dorywczym zaczął Jan pisać najnowsze dzieło.

Kontrastem miało różnić się ono od jego książek dotychczasowych.

Założeniem jego stała się konieczność—tezą był mus.

Wziąwszy więc dwa tak doniosłe postulaty w posiadłość twórczości, mógł potępiać bezwzględnie, karcieć bez skrupułów i wznosić ku niebu to, co chciał, a co często przypadkiem wpadło mu na myśl, rzekomo również z konieczności.

Jan zatracił zupełnie zmysł krytyczności i o ile dawniej, ostatni był trucizną dla wszystkich pomysłów, o tyle teraz, brak jego był sygnałem klęski.

Dzieło jednak szło naprzód. Miało być ono two-rem doskonałym.

Zmiany wszelkie były zbyt szybkie, dalsze życie mogło nie przynosić w imię tego, co się odbywało w okresie obecnym, w okresie wielkiej przemiany.

— „Tyle już mi życie wstrząśnień przyniosło, tyle cierpień dało, że obecnie tylko cisza wyłonić z nich może rzeczy doniosłe“. Tak myślał teraz Jan i wierzył w to święcie.

Książka „Ueber Kraft“ była teraz już zbyt szybka, spełniła bowiem swoją rolę, ale i obecnie często Jan ją czytywał.

I mimo ciągłego obcowania z dziełem Hoffa, nie przyszło mu nawet na myśl, że jego nowy pomysł został najzupełniej zapożyczony.

Względność przeznaczenia widocznie nie pozwoliła, by się o tem teraz dowiedział.

I czem bardziej wnikał w głąb swojej pracy, im więcej było zapisanych kart, rosło wciąż tylko wielkie pytanie, rosło z niezmierną nawet siłą, ale wyjaśnień nie było.

Druga część książki, która miała być wyraźną definicyą, wciąż coraz bardziej mijała się ze swoim powołaniem.

Ale i tych uchyleń nie zauważał autor.

Wszystko, co wynikało z twórczości, co nawet płątało, miało pochodzić z konieczności źródła.

We władzy wyrazistości była nieraz mglistość, ale zdarzało się i tak, że w despotyczną pięść brała mistyczna legenda niedołączną chęć wyzwoleniczą.

I to miało być również doskonałością.

Pogląd Jana był pojęciem ze wszechmiar zabójczym.

Sprzeczności nabierały w oczach jego pokrewieństwa.

Słabość i siła z wspólnego płynęły strumienia.

W ten sposób nie należało się otrząsnąć z jednego, by wchłonąć inne.

Tworzyła się systematyczna chaotyczność, która wynika zawsze tam, gdzie autor przestaje być sobą, lub bierze się do tego, czego nie zna wcale.

Ów fałsz całego dążenia od pierwszej chwili jasnym był dla Piotra.

Nie rozumiał tylko, skąd zaczerpnął nowy kierunek swój zgubny początek, czemu tak szybko zdołał się rozwinąć i w czym znalazł oparcie.

Początkowo nawet nie zwrócił uwagi na przemiany, jakie zachodziły w Janie. Ale zastanowiła go wielomówność i chęć udzielania się brata.

Przy wrodzonej przenikliwości trzeba było zreanimować ważniejsze zdania, by pojąć, co się stało.

To też Piotr zaraz się zorientował i zrozumiał, że prócz silnego rozczarowania, dążenie „par force“ ku zupełnej ruinie, by na jej zgłiszczach dopiero wziąć swój rzetelny początek, korzyści przynieść nie może.

Zresztą Jan zaczął strącać z piedestałów rzeczy dla Piotra święte—zatem milczenie było niemożliwe.

Piotr nie znosił, jeśli ktokolwiek mijał się z prawdą dlatego tylko, że tak wygodniej było sądzić danej jednostce.

Nie cierpiał wogóle przystosowywania poglądów do życia i redukcji stopniowej wszelkich aspiracji w miarę zatracania zdolności twórczych.

Może nawet czuł tragedję człowieka, który wie, że ginie i tylko chce się wytłomaczyć przed innymi, ale nie mógł przewyciężyć pewnej awersyi ku temu.

— Widzisz — zwrócił się Jan do Piotra, nerwowo przygryzając wargę—wszystko dotychczasowe było nic nie warte, wszystko to nawet próbą nie było.

Jeśli więc zmienilem drogę, jeśli nowa prowadzi bezwzględnie do celu, należy w imię niej uczynić wszystko, nawet największą ofiarę.

Człowiek myślący musi spalić wszystko przeżyte (wszystko to zresztą jest bezwartościowe), by być lżejszym i móżdż szybciej dążyć.

Nie tworzy się ani przez kobietę, ani przez tragizm życia, ani przez los, ani przypadek, tylko z konieczności—przez ślepy mus.

W twórczości jest pierwiastek niezależny, nawskroś fantastyczny, czerpiący soki z krwi człowieka, która już rodzi się twórczą.

Pewny jestem, że jeśli by człowiek, mający talent, odseparował się od wszelkich wpływów zewnętrznych, byłby z taką samą siłą dawał rzeczy nowe, jak ten, który w świecie żyje.

Tem się zresztą tłumaczy samotność geniusza.

Nie trzeba nic brać, nie potrzeba szukać potwier-

dzeń w faktach, wszystko bowiem, co z twórczości wypływa, jest prawdą.

Wolno nam do tego stopnia być spokojnymi, że bez względu na wypadki — czekać, aż siła nie rozkaże ogień z iskry wyłonić.

Najbardziej prawdopodobnem może być to, co przedstawia artysta i czego nigdy nie doznał, najmniej wiernem to, co opisał tylko.

Jan skończył i chwilę czekał na odpowiedź.

Piotr zaś spojrzął na brata badawczo. W oczach jego zapaliły się iskry, a na ustach ukazał się cierpki uśmiech. Mimowoli powtarzał w myśli zlepki różnych zdań i zestawiał je ze swoim życiem.

— „Przeszłość jest bez znaczenia“ — wspominał Piotr, i widział przed sobą cały ciąg dni przeżytych z Anną.

— „Należy spalić przeżyte, by być lżejszym i móżd szybciej dążyć“ — słyszał w uszach swoich i spoglądał na całą przeszłość promienną, która obiecywała i wyłaniała dni przyszłe z zwięzłą logiką i jasnością.

Gniew zaczął burzyć Piotra. Im więcej wnikał w sens mowy brata, tem wyraźniej czuł, że te niepowiązane niczem myśli rozlecieć by się mogły przy byle lepszym argumencie jego.

— Obrażające są twoje paradoksy — rzekł nazbyt poważnie — nie wiem doprawdy, skąd je wziąć raczyłeś. Mogę powiedzieć tylko, że są łatwo zmyślone, jak wszystko, o czem się mówi i czego się nie zna.

I wszystko to razem takie chaotyczne, takie niezmiernie dorywcze.

Samo założenie jest już tak fatalne i destrukcyjne. Nie rozumiem go.

Sama myśl — żebym musiał teorię twoją do życia nagiąć, wydaje mi się dziwołagiem.

Zniszczyć całe piękno w sobie, zapomnieć i zagaścić cały swój rozwój dotychczasowy, by uczynić wysiłek na jałowym gruncie — to zbyt ryzykowne.

Zaprzyśiądz zemstę temu, z czego się czerpało całe lata, bodaj myśl tylko, jest już fanatyzmem bezmyślnym.

Nie chcę wcale słuchać tego, bo obraża ono mój smak, moją prawdę.

Przykre mi były zgryźliwe docinki twoje i krytyka wszystkiego, ale jeszcze przykrzejszem jest, gdy sam nie wiem czemu, mieszasz z błotem siebie samego z lat przeszłych i mimowoli, wygłaszasz dytyramby na cześć potwornej idei.

Do czego to prowadzi i jakie daje „corpus delicti“.

Piotr gorączkował się, czuł bowiem, że zebrało się zbyt wiele, że za dużo zataił w sobie.

I byłoby może doszło do sprzeczki bardzo ożywionej, lecz dzwonek nagły i raptowny przerwał ją w samem zaraniu.

Piotr zerwał się, by drzwi otworzyć. W głowie jego błysnęła dziwna błyskawica.

Serce mocniej zabiło...

Po chwili wrócił, jeszcze czerwony z gniewu, rozdzierając nerwowo depeszę.

Czytał ją kilka razy, nie mógł pojąć o co chodzi, nie mógł raczej uwierzyć swym oczom.

Anna Sten zawiadamała go o dniu i godzinie przyjazdu do kraju.

Było to kilka słów krótkich i kategorycznych.

Piotr zbladł nagle i rękę do czoła przyłożył.

ŚWIAT UCZUĆ.

Cały wieczór Piotr nie mógł znaleźć spokoju. Był nawet rozdrażniony.

Kilka słów Anny zdołały wstrząsnąć całą istotą kochania.

Wzniosła się fala oszałamiająca i groźna, któraby dawniej sztucznym wysiłkiem ugłaskać się dała.

Z każdą chwilą stawała się ona większą, silniejszą i niezaprzeczalną.

Rozumiał Piotr nazbyt dobrze, co się w nim tworzy.

Wiedział, że próżną jest teraz cała wyrozumowana teorya, lub chęć walki ze sobą.

...Anna wraca do kraju i daje mu znać.

W tem zdaniu było wszystko, co objąć zdołał swym mózgiem i sercem — czego chciał i przed czem uchronić się pragnął.

Są wypadki, które niosą w sobie siłę olbrzymią i ważną, które stawiają kres jednym przemianom i nowe wznoszą w duszy.

Są zjawiska, które niespodzianie olśniewają, jak piorun i dają podłoże dniom dalszym życia.

Wreszcie istnieją fakty, które przyjść muszą, choć-

by się człowiek przed nimi najzacieklej bronił, bo one to właśnie wypływają konsekwentnie z każdego rozwoju.

Taką koniecznością był powrót Anny dla Piotra. Nie wiedział tylko, kiedy on nastąpi i to go właśnie zaniepokoiło.

Nie wiedział czy był już czas ostateczny, czy tylko wypadek przyśpieszył bieg rzeczy.

Chodził Piotr wielkimi krokami po gabinecie.

Wracał tam i napowrót, szukał spokoju w książkach, ale nie tkwił spokój wewnątrz ducha jego, zatem znaleźć go nie mógł.

Anna zasłaniała treść wszelką, wyłaniała się z kąców i wносиła ze sobą już radość najwyższą i niepokojącą.

Czuł zmianę, jaka w niej zaszła i kochał ją za ów początek głębi tragicznej.

Nie wiedział tylko jakimi drogami dążyła bez jego pomocy i jaka droga jemu ją zwróciła.

Nie opierał się fali namiętnej i dawał dostęp gnębionym uczuciom.

Chciał się otrząsnąć ze wszystkich koncepcyi, chciał być zachłannym, ale jednolitym.

Przykry nastrój, który Jan wytwarzał, kazał się szczerze radować przemianą.

Przypominał sobie obecnie wszystko, co z Anną przeżył i co jej zawdzięczał.

Znał jej prostotę arcykobiecą w chwilach porywczych, znał jej uśmiech błyskotliwy i melancholijny cień smutku. Pamiętał głos altowy i ruchy, wspominał chęci nagle zrodzone, które dawały mu najwięcej szczęścia.

Kochał owe szybkie decyzje, gwałtownie burzące porządek myśli, kategoryczne postanowienia, wzmagające pragnienia i jeden ledwo dostrzegalny gest, który pozwalał pić całą słodycz kobiecą i wdzięk najbogatszy.

Czuł jeszcze dreszcz niezapomniany, gdy myślał o wieczornych powrotach do domu, gdy patrzył się na ukochaną istotę i na odosobnione siedlisko.

...I kiedy Anna, nagle przystanąwszy na progu, odwracała się ku niemu i spoglądała mu w oczy, widział w źrenicach jej ogień niepewny, niby płomień świecy drgający i pełen blasku.

Nieraz zdaleka spoglądali na swój domek nad brzegiem jeziora i tęsknili za nim oboje, każdy inaczej każdy po swojemu.

Nie przyznawali się jednak do tego.

Szczęśliwi byli, że im nadaną została zupełna swoboda.

Anna zaczęła ją oceniać, rozumieć, wreszcie myśl o niej stała się równie ukochaną, jak myśl o Piotrze.

Piotr zaś czuwał, by wolności owej nic nie mogło skrzępować i rozumiał, że mimowoli sam kładzie na niej powoli pęta, chcąc, by się nigdy nie oddaliła ta — którą kochał.

Ale i Anna czujną była.

Widziała, że ją przykuć pragną i obowiązek chcą wskazać i wówczas może, po raz pierwszy w życiu, małeńka chmurka zmąciła jej szczęście.

...Jak wszystko to stało się jasnym obecnie dla Piotra, jak nawet dni chmurne nabierały czaru, gdy patrzył na nie teraz z oddalenia.

I od jutra znowu miał zmienić tryb samotnego
życia i oddać niezależność w ręce namiętności.

Ta myśl tylko nie dawała jeszcze spokoju.

Rozumiał bowiem, że niema w duszy jego uczuć,
któreby nie wiązały rąk twórczej istocie.

Ale nie teraz była pora nakładać kielzno, kiedy
szło szczęście naprzeciw.

P O W R Ó T.

Pociąg spóźnił się.

Upłynęło nużące pół godziny oczekiwania.

Dopiero świst przeciągły parowozu zbudził Piotra z dziwacznej zadumy.

Pociąg ukazał się w oddali.

Mężczyzna stał nieruchomy. Wzrok swój utkwiał przed siebie w jakiś martwy punkt, który zbliżał się, z każdą sekundą stawał się coraz wyraźniejszym, coraz bardziej prawdziwym.

W oczach oczekującego płonął ogień niepokoju, a usta były smutne i stęsknione.

Stał tak długo, zdawało mu się, że lata całe, aż łoskot zajeżdżających wagonów wytrącił go z równowagi.

Pociąg zwalniał bieg. Z jego okien wyglądać po-
częły zniecierpliwione twarze podróżnych.

Wszyscy byli zakłopotani, każdy szukał kogoś, dając mu znak ręką, lub głową.

Śmiech i płacz radości, opowiadania zamorskie, wypytywania gorączkowe, wszystko to razem w je-

dnym złączone hałasie, tliło się życiem i temperamentem.

Wyłaniały się coraz to nowe postacie, ale Anny między nimi nie było.

Piotr przeszedł obok całego pociągu, szukał gorączkowo, zaglądał przez okna wagonów, ale napróżno.

Myślał, że minął się z Anną, nie mógł bowiem uwierzyć, że nie przyjechała.

Aż wreszcie, kiedy chciał już wyjść z peronu, obrócił się po raz ostatni. Spostrzegł ją naraz.

Wychodziła z sypialnego wagonu, za nią szedł człowiek z rzeczami.

Szła swoim lekkim, wykwintnym krokiem, patrząc przed siebie.

Była w ciemnym, podróżnym kostymie, a mały słomkowy kapelusz, otaczał jej kształtną głowę, rzucając cień na jasne, duże czoło.

Była spokojna, tylko bardzo blada.

Piotr podszedł ku niej natychmiast.

Podąła mu dłoń, którą uścisnął serdecznie i długo jej nie wypuszczał.

Anna patrzyła mu w oczy spokojnie, bez zdziwienia.

Lekko tylko wzniosły się brwi ciemne ruchem powolnym, usta niewidocznie uśmiechnęły się, lecz milczały.

„To on“, myślała z pewnym bólem i radością jednocześnie; „to on“, powtórzyła w duszy.

Nie chciała nic mówić, a Piotr też nie przerywał milczenia.

Patrzył na twarz Anny.

Ów ruch brwi ciemnych i spokojne, powściągliwe spojrzenie były mu nieznanne.

Tu tkwił początek głębi tragicznej, nowej Anny Sten.

To był pierwszy znak odrodzenia, który ukochał Piotr w przeczuciu swoim.

Wiedział, że słowami wdzięczności swojej nie winien wyjawiać.

Czuł, że nawet zapytania straciły dla niego swą dawną wartość i rozumiał (nadewszystko rozumiał) cały stan obecnej duszy Anny.

Jakże kochał w niej ból, który czytał w oczach ból, który mu ją zwrócił stokroć głębszą, niż była dawniej—ból, który ukształtował myśl i uzupełnił uczucie skryzalizował chęci i pojął cel.

Teraz widział dopiero, że była Anna jedyną i wyjątkową, że mus w niej jakiś utkwiał głęboki, który on na świat wydostanie, z którego on wykrzesze ogień wspaniały.

Teraz zrozumiał bez słów, że wszystko, co zaszło, zająć musiało i że było ono równie nieuniknionem, jak czas, którego nikt wstrzymać nie zdoła.

Wreszcie teraz widział tyle nowego.

Był zresztą sam dojrzałszy, zatem kochał głębiej, spokojniej, z całą stanowczością męskiej istoty.

Kiedy siedzieli w dorożce, Piotr nie chciał dłużej już powściągać siebie.

Bliskość Anny, jej oddech, jej słowa, jej ruchy rąk, głowy, nóg, każde drgnienie mięśni na twarzy, znajdowały oddźwięk w duszy Piotra.

Objął ramieniem jej biodra i stan.

Głowa jego blisko nachyliła się ku niej.

Anna odruchowo odsunęła się w kąt dorożki.

Było jej przykro, że nie umiał panować nad sobą, że był porywczym.

Ale Piotr czuł, jak silnie pragnie i nie obchodziła go forma, lub wszystko, co mogło zwięzić chęci wy-
bujale.

Skłonił głowę do jej ucha.

— Dziś — pytał gorąco — Anno, dzisiaj, dzisiaj...—
nalegał.

Anna pojęła nagle to jedyne słowo.

Odpowiedziała mu znowu wzniesieniem brwi i lek-
kim, słodkim uśmiechem.

Zaprzeczyła inercyjnie.

Zapatrzona była teraz w zmrok granatowy póź-
nego wieczoru.

Spoglądała na sine cienie, które otulały śpiczaste
wieże ponurych kościołów.

Oglądała teraz dobrze znane ulice: zamek królew-
ski z olbrzymim tarasem i wielki pomnik strzelający
w górę.

Nie wiedziała, czemu pragnęła być myślą jaknaj-
dalej, jaknajbardziej nazewnątrz.

Zapytywała się nawet, czy chwila, którą po-
stokroć przeżywała w drodze, miała być chwilą
obecną.

Wydawało jej się, że to, co widzi i odczuwa jest
tylko mglistym odcieniem fantazji.

Wszystko, cokolwiekby się teraz stało, byłoby
nader mizernem i słabem, wszystko, cokolwiek urze-
czywistniłby czyn, mogło być tylko częścią wyo-
braźni.

Niedoścignione pragnienia, zbudzone słowami Orlicza, równie oderwanymi od życia, jak dążenia Anny, chwilowo wcale nie pragnęły formy.

Anna unikała samej siebie.

Nie chciała się przyznać, że ją myśl własna za wiodła.

Zresztą nie była pewną tego.

Nie sprzeciwiała się natomiast obcym instyngtom które ją w płomień zmienić zapragnęły.

Pozwalała, by rzuciły iskrę inwencyjną i rozplomięły jej duszę.

Ale teraz sama nie była zdolną, by iść komukolwiek naprzeciw, lub, by siebie zmusić do czynu.

Musiła zużyć na swe chęci nowe — obcy wysiłek i obcą energię.

Nie opierała się zatem żądającym rękoma, które w zachwycie całowały ciało, czuła bowiem, że jest upragnioną.

Nie kazała milczeć ustom stęsknionym, wiedziała bowiem, że w gorących słowach tkwi przeznaczenie.

Nie zmuszała istoty męskiej do ostateczności, gdyż znała ją dobrze.

Ale nie odwdzięczała się niczem, ani jednym spojrzeniem, ani jednym wyrazem lub ruchem.

Zapatrzona była przed siebie i tonął promienny blask jej oczu w późnym wieczorze.

Nastrój zmierzchowy otulił jej duszę. Słodka bezczynność, wypływająca z wielkiego znużenia, związała ręce, pozwalała zamykać powieki i czuć, jak duch obcy władczy się staje.

Wstrzymała się na chwilę siły żywotne i bron-

ne i jak wahadło, wyczerpując impuls, stanęły w miejscu.

Naraz tylko zbudzony wzrok, jak sokół wzbijał się pod sklepienie nieba, mieszał się z błękitem północnym i ginął w obłokach.

I Anna szukała jakiegoś śladu po nim, gdzieś wysoko znaczyła myślowo linie - pajęczyny i zdawało jej się, że kreśli drogę własną.

Czuła w sobie wielką swobodę, która uszpona obecnie, czekała swego dnia.

Miała już w sobie Anna lekką myśl i zapowiadający się—wielki rozmach wzlotu.

A nadewszystko była spokojną.

Nic już się teraz wymknąć nie mogło, a czas, który dawniej mógł być szkodnikiem, teraz wzbogacać miał siłę uczucia.

I ów spokój skupiony był nowym rysem Anny.

Kiedyż bowiem dawniej mogłaby tak spokojnie znieść bliskość drogiej osoby, kiedy dawniej miała w sobie tyle myśli głębokich, które stawiały tamy wznawianym uczuciom.

Cała postać Anny, utkana z wibrujących promieni życia, iskrząca się ogniem wiecznego pragnienia, w chwili obecnej, stłumiła w sobie wszystko, co spokój mąci i była w nowem pięknie szczerą i kochaną.

Cud prostoty nieporównanej, objawiającej się w każdym geście, w każdym słowie, tworzył czar wokół Anny, silny, ujarzmiający, a zawsze pełen jakiegoś nastroju.

Dość było tylko z nią przebywać razem, by czuć swobodę, a nawet wzruszenie, by się otrząsnąć z całej codzienności i zgłębić w sobie ponure cierpienie.

Tkwiała w niej iskra elizejska, którą rozgrzewał się każdy, kto jej szukał i kto ją odczuć potrafił.

Żyła w niej myśl głęboka, tak niebywała u kobiet i uczucie, które trudno zdobyte, dawało niewyczerpane źródło natchnienia.

Teraz znikło w niej wszystko błyskotliwe, bodaj olśniewające, teraz tworzyła całość harmonijną, klasyczną.

Siedziała spokojnie, zapatrzona przed siebie.

— Widzisz, że skrzyżowały się nasze drogi — mówił Piotr — widzisz Anno, że wszystko, co wynika z konieczności, musi się złączyć, jak źródło i rzeka.

Czyż wierzył kto z nas podczas rozstania, że nigdy się nie zejdziemy?!'

— Nie — odpowiedziała Anna, cicho i niepewnie.

— Czy nie obiecywał sobie każdy z nas, (choć bronił się przed tem) jakiejś skończonej symfonii, jakiegoś niebywałego zrozumienia dwóch dusz, dwóch ciał?!'

— Nie wiem, nie wiem... — odparła nieco zmieszana.

— Czyż nie jesteśmy stworzeni dla siebie?!'

— Może być — brzmiała chwiejna odpowiedź.

Piotr zdziwił się, słysząc takie zdania.

Nie rozumiał, że kobieca psychika żądała czasu by pojąć i zrozumieć wszystko.

— Anno — rzekł cichym głosem, wpatrując się w jej postać — przywykłem do twojej kategoryczności i dziwi mnie niepewność. Przywykłem do stanowczości twoich krótkich odpowiedzi, do decyzji, które następowały, jak wyrok niespodziewanie i szybko.

— Szkoda, że chcesz mnie widzieć dawną — odpowiedziała Anna — gdyż jestem inną.

Trudno, bym z taką łatwością poddawała się wszystkiemu, jak wówczas, kiedy nie znałam dobra i zła, piękna i brzydoty.

Ostatnie słowa wypowiedziała powolnie, z zastanowieniem.

Chciała nawet coś jeszcze dodać, ale ograniczyła się wypowiedzianem.

Była małomówną.

Piotr słuchał. Zdawało mu się, że głos Anny nabrał też czegoś nowego — że dźwięczał teraz pełniej i bardziej głęboko.

Altowy odcień jego przeplatany był drgającą nutą tajonej radości.

Ile już razy go słyszał, a zawsze był go spragniony.

Tęsknił za nim.

Kazał mu on się zamysleć głęboko, kazał przypomnieć sobie coś ważnego, pewien wypadek doniosły, a nagle urwany.

Pamięć sięgała daleko wstecz. Odzwierciadlała dzień wielkiego znaczenia, dzień ich rozstania.

Jakaś wielka groza uczuć — potężna skala napięcia, zamaskowana słowami, uspakajana siłą własnej woli, wyłoniła się.

Silny, tragiczny ból szczęścia, który zna ten tylko, kto czuć istotnie potrafi, spalał ducha własną mocą rozpaczy.

Zrywał się bunt żywiołowy, który zmienić pragnął bieg rzeczy, o chwil parę zapóźno.

Męczył gryzący śmiech własną słabością.

Oblekał beznadziejny tuman całą przyszłość.

Oczy, zamglone smutkiem, nie były niczego ciekawe, niczego chciwe.

Omdlały mózg wracał ciągle po utartej drodze wstecz, a powziął zadanie, by ją rzucić na zawsze.

Burza namiętności, sprężona potęgą uczuć, której odebrano ostatnią chęć wypowiedzenia w swoistym języku, popadła w depresyjną reakcję.

Pozbawiono swobody najpodniosłejsze pragnienia.

Wyrwano z ognia rozżarzony węgiel ducha i kazano mu ostygnąć nagle, nie dając mu się spopielić w płomieniach.

Ścięto głowę istocie silnego uczucia, a całość jego bynajmniej umrzeć nie zdołała.

I o tem wszystkim właśnie pomyślał Piotr.

Milczał i spoglądał z odległości na to, co z taką naturalnością wypłynęło dzisiaj.

Trzymał dłoń Anny w swem ręku. Czuł, że go coś przykuło do niej.

Już nie chciał słów, nie chciał obietnic, chciał sięgnąć w skupieniu, aż do samego jądra istoty ludzkiej, od samego początku, aż do samego końca dziejów człowieka.

Anna i Piotr nie przerywali ciszy głębokiej.

Oczy ich przenikały ciemność, szukały w niej zrozumienia, chciały wypłynąć w przestrzeń promienną i pełną jasności.

Aż wreszcie spotkały się źrenice, w sobie odgadując ten blask słoneczny.

Zamigotały w nich płomyki palące i zgasły.

— Anno, myślałem teraz o tem, kiedym cię tracił rok temu — cicho przemówił Piotr.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ruch ręki Anny zabronił mu tego.

Wówczas spojrzął na nią.

Oczy jej ciemne, tragiczne, były pełne łez. Nie mogła mówić, tylko dała mu znak, że myślała również o tem, co on.

W DOMU.

Anna leżała na małej kanapce. Obie dłonie położyła na pięknem, rozpalonem czole.

Oczy wpatrzone były w jakąś plamkę na suficie.

Przebiegała teraz myślą wszystko, co ją spotkało.

Była krytyczną i szukała sprawdzianów, zestawiając różne sprzeczności w swym mózgu.

Od czasu do czasu odpowiadała na zapytania matki.

Wypytywała się sama o dom i dziwiła się, że nic zupełnie nie uległo zmianie.

Ale wszystko to wypowiadała jakoś mechanicznie, tak od niechcenia.

Jedna myśl tylko gwałtownie powracała do mózgu — jedno zapytanie.

Nie wiedziała, czy ma iść naprzeciw miłości wielkiej, czy czekać jeszcze.

Piotr prosił, by w gościnę do niego jechała, a czuła Anna, że w prośbie tej tkwił mus i wiara w konieczność jej uległości.

Kategorycznie odmówiła. Czuła się dziwnie niepewną i czekała, aż przyjdzie do równowagi, wówczas postanowi, tak jak należy.

Tymczasem matka przerwała jej myśli.

— Tak nagle przyjechać bez zawiadomienia—mówiła Marya Sten — to zaiste godne jest ciebie.

Po chwili siadła obok córki, ujęła w dłonie głowę Anny, pocałowałszy ją przytem gorąco.

Obie kobiety były silnie wzruszone i milcząc, patrzyły na siebie.

Z pewnem zdziwieniem spoglądała Anna na ukochaną twarz—tak dobrze, dobrze znaną.

Jednocześnie budziło się w niej uczucie, które tkwiło może zawsze, ale pod wpływem innych, często kroć gasło.

— Tak — myślała Anna — wszak to — owo wielkie czoło, które tyle razy całowałam, ten sam nos, który się marszczył śmiesznie przy uśmiechu, te oczy, które łagodnymi były, a rzadko kiedy tylko, zapalały się ogniem płomiennym.

Teraz dopiero Anna mogła zrozumieć, co znaczyło owo gorące, niespokojne spojrzenie, teraz, kiedy była w przededniu tak wielkich zmian życia.

Teraz czuła pewne oparcie w pokrewieństwie kochanej istoty.

A matka wpatrywała się w głowę córki z innych powodów.

Wiedziała, że Anna pozostawiła za sobą już wiele, ale, że czeka na nią dopiero, ów fakt silny i znaczący, w którym kobieta odnaleźć się musi.

Tęsknota za niszczącym rozmachem zmysłów drzeła w łonie Anny i tworzyła cały jej spokój chwilowy.

Marya Sten nie mogła wzroku oderwać od oczu córki.

Chciała wniknąć w głęboką przyczynę ich piękna. Czowała tylko pewien fascynujący czar, pewien tragizm istoty życia.

Tak rozmyślały nad sobą dwie kobiety, które pod względem siły namiętności równe były sobie, a z których jedna była dzieckiem, druga zaś matką.

Wreszcie Anna rzekła:

— Matko — zaczęła badawczo — powiedz, co byś uczyniła, gdybyś mnie stracić miała?

Córka twoja nie jest pewną siebie. Może teraz uczynić mądrze i nie mieć nic z tego, lub porywco, by mieć wszystko.

— Miałabym cię stracić, to znaczy, zyskałby cię kto inny — odpowiedziała Marya Sten.

— Pytasz, dziecko, co bym zrobiła? Jak ci odpowiedzieć, aby to wyszło szczerze i naturalnie?

Jeśli bym miała pewność, że mnie opuszczasz, dla kogoś bezwzględnie więcej wartego, mozebym ci w tem pomogła, ale nigdy nie byłabym wdzięczną ci za to.

Rozumiesz? Miałabym pewien żal.

Zresztą dziś przyjechałaś, a jutro byś miała mój dom opuścić?

Czyż ci tu źle?

— O, nie, nie, mnie tu dobrze. Tu tak cicho, spokojnie, tu odgradzoną jestem od wszystkich i tu mogę myśleć. Ale, widzisz kochana, my przecież nigdy nie wybieramy, nam wybierać nie wolno.

I nagle, przypomniawszy sobie słowa Orlicza, dorzuciła: — „Bo i cóż komu po ratunku, jeśli się nigdy na nic nie narażał“.

Widzisz, ty jesteś inną dla mnie i wszystko inne tak strasznie odmienne.

Zresztą, czy mogłabym ci cokolwiek przyrzec? Wiesz, że decyduję się natychmiastowo.

Nie wiem dziś, co jutro wybiorę, co jutro stanie się dla mnie silnem, a może mocniejszym ode mnie.

Dziś jestem samem niezdecydowaniem. Dziś nic nie postanawiam. Teraz cała moja stanowczość znikła bez śladu.

...Tak mi tu dobrze u ciebie, tak strasznie dobrze. Tak bezpieczną jestem w najgroźniejszej chwili wahań. Chowam się tutaj przed sobą samą.

Marya Sten gładziła głowę ukochanej córki. Czasem tylko ruchem, lub półsłówkiem dawała jej znać, że ją bez słów pojmuje.

I owa pieszczota sprawiała Annie ulgę wielką.

Pragnęła teraz czuć się dzieckiem pieszczonem, nie myśleć o niczem i mieć spokój wokoło.

— Widzisz Anno — zaczęła starsza kobieta — nie jestem spokojna o ciebie. Nie przez to, że krzywdę sobie pozwolisz uczynić, bo w to nie wierzę, ale dlatego, że ciągle wahanie się na krańcach może ci ująć zmysł orientacyjny.

Wówczas przeoczysz prawdziwe szczęście, a to tak łatwo niezmiernie uczynić.

Marya Sten zamilkła, a Anna baczenie spojrzała na matkę.

Chciała jej zadać teraz pytanie, które już dawno miała na ustach, a jedynie przez wzgląd na nieboszcyka - ojca, zbywała milczeniem.

Zdawało jej się, że matka pierwsza teraz uczyniła krok i że jej zechce opowiedzieć wszystko.

To też ujęła Anna dłoń matki, i ściskając ją serdecznie, spytała:

— Powiedz mi szczerze, jeśli mi ufasz, jak dawniej, czy byłeś szczęśliwą?

Wybacz pytanie, ale ono nie z ciekawości wypływa. Doprawdy nie z ciekawości — powtórzyła cicho i dorzuciła.— Wydaje mi się, że w twojem życiu jest pewna prawda mego losu. Mamy tyle cech pokrewnych.

Anna czuła, że pytanie było dla matki bolesne, ale jakże mogła nie wiedzieć o tak ważnej rzeczy w życiu najdroższej osoby.

Anna z niecierpliwością czekała.

Marya Sten siadła tuż obok niej i cicho, jakby się bojąc być dosłyszaną, zaczęła opowiadać. A opowiadanie owo było długie i ciekawe.

Było w niem i szczęście i radość, smutek i ból wielki.

Opowiadająca mówiła o wszystkim spokojnie, cicho. Nie podkreślała słów żadnych, nie unosiło ją nic — co już do świata wspomnień dawno przeszło.

Słowa były proste, jasne i zrozumiałe.

Teraz dopiero mogła Anna porównać matkę ze sobą, mogła widzieć, jak bardzo stworzone były one dla szczęścia, które pojęły dzięki temu, że znały piękno i brzydotę, jak nic nie obeszła je konsekwencya i jak mimo to, wszystko logiczne było w ich życiu.

Ile było epizodów w życiu Maryi Sten, nim nastąpiły prawdziwe i głębokie dzieje jej ducha.

Ile było dorywczego, gwałtownego, by nastąpić mogło mądre i istotne.

Kiedy Marya Sten skończyła swoją opowieść, Anna w pierwszej chwili nie zdała z niej sobie sprawy.

Nie wiedziała, czy było w niej więcej radości, czy smutku.

Jedne uczucia tak zrozumiale wpływały z drugich, że trudno było postawić granice.

Zamyśliła się poważnie młoda kobieta.

Dziwny smutek uczuła w swem sercu, bowiem każde dzieje, nawet najbardziej szczęśliwe, słyszane z ust człowieka, który je przeżył, mają w sobie coś wzruszającego.

Anna uniosła się na sofie, oparła piękną, delikatną głowę o ścianę i patrzyła z głębi duszy swojej.

Nieruchome spojrzenie jej oczu płynęło w daleką przestrzeń.

Usta czerwone były niedomknięte i też jakoby zasłuchane jeszcze.

Brwi ciemne i giętkie wzniosły się nieco.

Długo siedziała tak, słysząc rzekomo słowa prawdy, mimo, że cisza była grobowa.

Aż wreszcie, niespodzianie dla siebie samej, rzekła:

— Ile razy zdaje się nam, że jesteśmy bez ratunku, że ginąć będziemy w sieciach upadku—wówczas naraz, gwałtownie zrywają się krępujące nici—i okazuje się, iż jesteśmy wolne!

Tak było ze mną teraz. Ale zerwałam się do nowego życia, po to, by w niem znów stracić swobodę.

Jakże to smutne, a jednak prawdziwe.

W tej chwili jeszcze nic mnie nie krępuje, a co będzie jutro?

Żebym przetrwała życie swoje, tak jak obecnie w bezpiecznej kryjówce, wówczas mogłabym się cieszyć niezależnością, jak skąpiec bogactwem.

Ale tego bogactwa, tak ja i on, nigdy nie mogłabym zużyć. I cóż mi po niem!

I po chwili namysłu, śmiało dodała:

— Zyskuję, by tracić i nowe czerpać! Mam teraz wszystko w bezpiecznym ukryciu. Nikt mi tu niczego wydrzeć nie zdoła i zmusić mnie do niczego nie może.

Jestem tutaj bezpieczną i pewną.

I oto jutro już wyjdę stąd, matko, by dać sobie wyrwać wszystko, by walczyć, by się narażać i bronić by wzbudzać zachwyty i pragnienie — by kochać!

Jutro już, jutro, będzie zbyt ciężko pozostać mi samej ze swoją wolnością.

Cenię swobodę wówczas, gdy ją tracę, gdy ją mam — jest mi obojętną.

A zatem Anna się już zdecydowała. Postanowienie nastąpiło z błyskawiczną szybkością i niespodzianie.

Nie wiedziała tylko, czy plan urzeczywistni jutro, czy później — zależało to tylko od Piotra.

Marya Sten nie zdziwiła się wcale, słysząc słowa córki. Znała zbyt dobrze siebie, by miała nie rozumieć namiętnych pragnień, które się rodzą nieraz nagle w piersi ludzkiej i olśniewają treść, jak błyskawica.

Nie wiedziała jednak, że Annę szarpała wątpliwość, że się jeszcze cofa przed ważnym wypadkiem, który mógł jej oręć z ręki wytrącić.

Ale zmęczenie nie dawało jej teraz spokojnie rozmyślać.

Rzuciła więc wszystkie myśli precz.

Przed spaniem weszła z matką do sypialni siostry. Zajrzała do dziecinnego, białego łóżeczka.

W czystej, pachnącej pościeli spało dziesięcioletnie dziecko.

Kołderka była skopana, a młode stworzenie leżało prawie nago.

Nóżki były skurczone, ręce w pięstki zaciśnięte, a główka niezatroskana, bez chmurki, uśmiechała się przez sen.

Usteczka małe, do ust Anny niezwykle podobne, były rozwarłe.

Anna nachyliła się. Lekko przytknęła wargi do czoła siostry.

Była dziwnie wzruszona.

CHĘCI I PRAGNIENIA.

Piotr czekał na Annę. Siedział w cienistej alei parku i rozmyślał.

Ale mimo, że był pewny swego szczęścia, mimo, że wiedział, jak silnie go pragnie, był niespokojny.

Niewyraźne, a męczące niezmiernie przeczucie, szepać zaczęło.

Piotr sam nie wiedział, jak ono powstało.

Nie cierpiał niejasności, zdawało się nawet, że rzucił ją nazawsze... i oto teraz było jeszcze coś, z czego sobie sprawy nie zdawał.

Dlatego też chciał, aby uczucie jego otrzymało należyty wyraz, aby wszystko głębokie wypłynęło i znalazło swe ujście w ramach jego życia.

Dlatego każdy dzień oczekiwania, stawał się męką nie do zniesienia.

Nie było mowy o jakiejś pracy twórczej, o jakimkolwiek wysiłku, który wymagał skupienia i woli.

Mózg ogarniał tylko dziedzinę uczuć i przestał być kontrolerem.

Namiętność męska, silna i stanowcza, była tem uporczywszą, im bardziej równą i stałą.

Nie było gwałtownych skoków lub zmian zasadniczych, nie było nawet cienia wątpliwości, że może wstrzymać rozwój miłość dojrzała.

Istota kobieca przestała być tylko cielesną i zmysłową, skojarzyła się z nią nić życia męska, zetknęło się istnienie i chciało znaleźć w owem skojarzeniu podwalinę bytu nowego.

Skończył się okres poszukiwań, by nastąpił czas rzetelnego poznania.

Znikły uległe chęci, a wystąpiła wola niezłomna, despotyczna, która chciała zagarnąć wszystko, w czym widziała nie tylko rozkosz i konieczność, ale i chęć wyrzeczenia się siebie.

Bez tego nie można było iść naprzód.

Złączenie najbardziej swoistych pierwiastków z obcym żywiołem, blizkim i ukochanym, stało się pragnieniem najżywotniejszem.

Znał Piotr Annę z krwi i ciała, ale nie znał jej ducha i wszystkiego, na co się on zdobyć może w silnem napięciu.

Tego łaknął teraz, był chciwym nastrojów jej jaźni, szczegółów ważkich, których dawniej dostrzedz nie zdołał.

A czuł, że wielka siła ich łączy obecnie, że największa niezależność wraz z najsilniejszą tyranią, wiąże ich wzajemnie i że siłą ową jest los.

Dumna głowa musiała ugiąć się przed nim. Opór, lub jakakolwiek zmiana w biegu wypadków, mogła być tylko szkodliwą.

Pierwszy raz pojął Piotr całą grozę, całą wielkość i potęgę losu, pierwszy raz zamknął w nim okres

swego życia, by spokojniej znieść wszystko, co mogło być silniejszym od niego.

Mądrość szczerą i prawdziwą wyłaniała się z ruin buntów szalonych. A dały one tak żyzny grunt pod nową istotę życia, że mogła ona już kwitnąć swobodnie, nie bojąc się suszy.

Teraz miał wyciągnąć skupioną treść szczęścia i czuł się zdolnym do tego.

Chciał tylko, by skończył się wstępną i nastąpiła pełnia sił własnych.

Chciał już żyć nowym życiem. Myśl sama o nim napełniała go elizejskim uśmiechem, ale w każdej był atom przecucia ważnego wypadku.

Rozumiał, że wielki okup zapłaci za to, co weźmie, ale zdawało mu się, że przewyższa ono stokrotnie wszystko istniejące.

Nie stawiał czoła konieczności i szedł z nią ręką w rękę naprzeciw szczęściu i niebezpieczeństwu.

Anna stała się dla niego teraz już nie tylko kobietą, którą kochał, o której myślał, ale pewnym symbolem wielkim, łączącym wszystkie źródła jego inwencji.

Była ona częścią losu jego, częścią konieczności i połową bólu i szczęścia.

Łączyła w swojej osobie pojęcia, których słowami nie chciał Piotr ubierać.

Wszystko, co od niej swój początek wzięło, miało już swoje znaczenie i siłę. A całe jej piękno stało się wyrazem bardziej — niżli kształtem.

Była zatem nie tylko formą, którą sobą natchnąć pragnął, ale i treścią bliską i kochaną.

Treść Anny, która nie dawała się zauważyć w dawnym pożyciu, wówczas, gdy było zbyt wiele piękna zewnętrznego, teraz dopiero czarowała swoją prostotą i zdecydowaniem.

Ostatnie wrażenia były dla Piotra nieoczekiwane.

Aczkolwiek wiele przypuszczał, wiele domyślał się przedtem, jednak nie wiedział, że tragiczna wola Anny tak wielkie zmiany przeprowadzić mogła.

Czekał na nią teraz, jak na człowieka, którego ma po raz pierwszy zobaczyć, a o którym słyszał już wiele.

Czuł, że mu coś stanie na przeszkodzie i że siła niezależna każe odłożyć wszystkie nowe plany.

Lękał się tego i nie był gotów zbyt łatwo ustąpić.

To też pierwsze słowa Piotra, któremi przywitał Annę były: — Jedziemy!

W głosie jego była wola i bezwzględne postanowienie.

Nie patrzył na Annę, nie chcąc złagodzić kategoryczności pod wpływem piękna.

Wzrok miał wbity w ziemię.

Anna pojęła natychmiast, że musi silnie zaprzeczyć.

To też rzekła cicho, ale dobitnie.

— Teraz nie jadę. Teraz zostaję jeszcze w domu dni parę. W chwili obecnej możesz liczyć na bezwzględność mego postanowienia.

Wiesz, że wogóle rzadko zmieniam swe zamiary. Nie chcę, byś mi to brał za złe i sędzę, że jeśli za tydzień sama zawitam do ciebie, przyjmiesz mnie gościnnie...

Anna zamilkła, a Piotr przez chwil parę nic nie odpowiadał.

Wiedział, że żadna siła nie zmusi Anny do uległych chęci. Widział w jej ciągłym przeczeniu, próbę obrony i chęć poznania sił własnych, zdolnych do oporu.

Rozumiał zresztą, że im więcej nalegać będzie, tem łatwiej przegra.

W końcu rzekł:

— Jesteś sztuczną. Nie myśl, że nie rozumiem ciebie i że nie jest mi jasnym, że się chcesz bronić przedemną.

Odsuwasz sama z własnej woli moje największe pragnienia, chcesz jakiejś ostateczności ogromnej.

I porywczco, ująwszy jej ręce, patrząc prosto w oczy, wyrzucił z siebie jednym tchem!

— Anno, czuję, że jesteś już moją, że mi nikt ciebie nie wyrwie, a jednak, jednak jestem niespokojny.

Nie mogę myśleć nawet o pracy jakiegokolwiek, nie mogę być panem siebie.

Coś niepokojącego widzę w oczach twoich. Czytam w nich, że pewna siebie nie jesteś i obawy moje nie są płonne wcale.

Chcę ująć całą myśl twoją w jedno łożysko najprostsze.

Chcę, by nie było najmniejszego cienia wahania w bezwarunkowej konieczności.

Nie chcę myśleć o tem, o co obwiniam cię.

Nie chcę znać twego ostatniego roku życia.

Wykreślam go z historii twojej, jako jałowy okres.

Nie minął on jednak bez znaczenia.

To też rozumiem, aż nazbyt dobrze, że nigdy, nigdy, tylko obecnie, z całą wyłącznością, na jaką zdobyć się może kobieta, poświęcisz mi siebie.

Wierzaj, że trudno mi na ciebie patrzeć spokojnie i bez pewnego wzruszenia, które wywołuje piękno, lub dzieło sztuki.

Wszystka jesteś mi znana, wszystko jest mi tak blizkie w tobie, choć odrębne.

Cała stworzysz dla mnie cudowną harmonię.

I ty wiesz o tem. Wiesz i nie chcesz ze swojej strony niczego uczynić.

Mężczy mnie, że muszę chodzić z tobą po parkach i ulicach, że jesteśmy sami, i mimo to, otoczeni widzami.

Nużącem jest dla mnie, że widzę ciebie między ludźmi...

...i pomyśl, pomyśl, jak wszystko by się mogło naraz odmienić.

Bylibyśmy tylko z naturą.

Chodzilibyśmy po drózkach polnych i serpentynach leśnych.

Brnęłabyś w kwiatach i ziołach po pas na łąkach błotnistych.

Kładłabyś się na wonnem, rozgrzanem igliwiu, gdzieś pod kudłatą sosną.

Mogłabyś leżeć na wznak na słonecznych porębach, z zamkniętą książką i patrzeć w niebo i na obłoki.

Byłabyś i w słońcu promiennem, i w zmroku siwym, i w nocy romantycznej litewskich ustroni.

A kiedy zmęczona pragnęłabyś zmiany, szlibyśmy do naszej siedziby biało tynkowanej, do mego domku,

któryby cię winną latoroślą pozdrowiał i błyskiem szyb okiennych mamił i zapraszał.

A wszędzie byś miała starą, polską gościnę i otwarte ramiona.

Nie byłoby niechętnych, nie byłoby smutnych.

Wszystko, widząc ciebie, śmiałoby ci się w oczy promiennem weselem.

A późnym wieczorem siadałabyś sobie na prostej ławie drewnianej i, przy czerwonym świetle mojej lampy, czytać byś jęła me prace i nowe dzieła.

A nazajutrz znowu słoneczny blask by cię budził i brzozy pod oknami twojego pokoju drżałyby złotem litem i szmaragdem jasnym.

Pomyśl Anno, że szczęście nasze w twojem jest ręku w tej chwili, że jest ono pozbawione rozczarowania, bowiem już przeszło przez płomień próby.

Piotr umilkł.

— Mów, mów o tem — nagle z zapalem wyrzekła Anna, a w oczach jej zabłyśły światełka.

— Mów — powtarzała inercyjnie, nie panując nad sobą—słucham spragniona!

Ale Piotr nie chciał mówić, wolał patrzeć i wnikać w duszę kobiecą.

Czuł, że Anna odnajduje się w nim, że go znowu poznaje, że zastanawia się nad zmianą, jaka w nim zaszła.

I to prawdą było.

Anna szukała owej przemiany i rozumiała, że dopóki jej nie odnajdzie, dopóty Piotr jej obcym będzie.

Teraz oryentować się poczyniała.

Burza i bunt, które ją ongi ogłuszały i oszała-

miały, teraz przedziegrznęły się w spokój i równą stanowczość.

Obecnie nie był już zdolnym do szastania siłami swojemi, gdyż pojmował ich wartość i użyteczność.

A w uczuciu jego, (co może było najbardziej niezwykłym) powstał teraz dopiero istotny pierwiastek niematerialny, lecz wyrazisty.

— Takem spragniona — rzekła, głosem pełnym słodyczy: — ciszy pól, łąk i lasów, słońca i zmierzchu, upału i deszczu.

Za dni parę będę u ciebie. Będiesz mnie prowadził daleko od domu, tak, żebym pewną była, żeśmy zabłądzili, byś ty mi potem wierną wskazał drogę.

Takbym pragnęła zostać przygarniętą, szukać do ostatniej chwili oparcia i, kiedy sama zachwieję się nagle, byś ty mnie znowu na nogi postawił... Za parę dni będę u ciebie — powtórzyła marzycielsko i ciszej, niż zwykle, patrząc dalekiem spojrzeniem przed siebie.

I znowu dodała :

— I tego dnia, kiedy przyjadę, wyjdiesz mi naprzeciw. Czy dobrze?

Przytulę się wówczas do ciebie i będę czekać.

A przed nami będzie pole, pole bez końca, zalane srebrnym całunem poświaty.

Kochany, ja marzę teraz, wszak prawda?

Jakże dawno nie tęskniłam za czemś, jakże strasznie dawno.

Zdaje mi się, że jestem teraz o całe wieki—dalszą, dojrzałą.

I nagle, jakby ze snu zbudzona, dorzuciła trzeźwo:

— Lecz dzisiaj nie jadę, dziś nie czas jeszcze.

Piotr tymczasem patrzył zachwycony na najdroż-

szą kobietę, nie przerywał jej, a wzrok jego zdał się mówić:

— Słucham. Tak wszystko będzie, jak chcesz. Słucham cię... słucham!

A kiedy Anna zamilkła, chwycił jej głowę w dłonie i pocałował w usta.

Nie dbał nawet, czy go kto spostrzeże obecnie.

Był porwany szczerością Anny, jej prostotą i bezpośredniością.

Uprzytomnił sobie w jednej chwili całą jej naturę olśniewającą, która, wraz z obecnem i odrębnym pięknem, tworzyła doskonałość.

Dreszcz bólu i całej treści szczęścia przeniknął jego ciało.

Tęsknota za tem, co było tak blizkie, a jeszcze tak dalekie niezmiernie, wyłoniła się ze źrenic jego.

Patrzył się niemi w duszę Anny, obejmował jej ciało, muskał kształty i łaknął rozkoszy.

Tylko odblask konającego dnia na upalnym niebie oderwał wzrok jego.

Spojrzał wraz z Anną na ognistą lunę zachodu.

Postrzępiona chmura, pogrążona w czerwonym świetle, zdała się broczyć krwią.

A z poza niej wyglądał czub tarczy świetlistej chowającego się słońca.

Piotr i Anna zapatrzyli się w to dziwne i ostrzegające ich zjawisko.

WYNURZENIA.

Powróciwszy do swego majątku, Piotr zdziwił się niezmiernie, że nie zaszły żadne zmiany i że wszystko pozostało w tym samym stanie, w jakim je opuścił.

Nie mógł zrozumieć, że podczas tego, kiedy w życiu jego zachodził ważny przełom, cokolwiek pozostawało w swym pierwotnym stanie.

Zdawało mu się zresztą, że upłynął ogromny przeciąg czasu od dnia wyjazdu z odludnej siedziby.

Myślał, że wraca do niej z dalekiej podróży, w której widział rzeczy dziwne i niepokojące, nagłe i ostrzegawcze.

Przez to też cały dom wydał mu się zimnym i pustym, a z kątów izb wiał chłód i wyczekująca tęsknota.

Nie mógł Piotr znaleźć spokoju w czterech ścianach. Nie miał cierpliwości, by szperać w książkach, lub szukać skupionej treści myśli własnej.

Dom wydał mu się teraz niezwykle wielkim i nie miał dla niego tradycyi żadnej. Anna tylko mogła wniesić doń żywotność i szczęście.

Czas był najwyższy, by wszystko życiem pulsować

zaczęło. Obecna martwość ustąpić miała dwum śmiałym szermierzom—wielkiej radości i silnym rozmachom.

I przytem myśl o Annie była niezdobytą i nieodpartą przez samą teorię.

Była w niej ognistość młodzieńcza i męska śmiałość; tkwił niezniszczalny pierwiastek istotnej prawości i nie istniało zdegenerowanie.

Związał zatem instynkt męski wszystko, w danym okresie, z bezpośredniem uczuciem, od ważkiej zasady do drobnych szczegółów.

Bardziej ponura myśl wyłoniła się przy spotkaniu się z Janem.

Znów przypominać o sobie zaczęły chorobliwie podniecenia, gorączkowość i sztuczność stosunku do ludzi. Jan przywitał brata powściągliwie i czuć było, że nie wybaczył mu ostatniej rozmowy.

Wogóle Jan rzadko kiedy odpowiadał i bronił się, natomiast nigdy nie zapominał i był bardzo mściwy.

Ten rys był dla Piotra rażącym zgrzytem.

On był główną osią, wokoło której nieraz wirowało niezrozumienie i brak prostej drogi.

— Przeczytałem twój rękopis — zaczął Jan nieco zjadliwie—i podziwiam, doprawdy podziwiam, tak bezwzględne apostołstwo brutalności. Mówiąc szczerze, rzecz ta zyska sobie duży posłuch, ale robi ona, na mnie przynajmniej, wrażenie dzwonu, który dźwiękiem ogłusza, a wewnątrz jest pusty.

Subtelna przenikliwość stara się nieraz tu i owdzie zetrzeć ostry rysunek prostoty.

A nad wszystkim panuje iście wielki rozmach, z którego wypływają kardynalne błędy i niewspółmierne chęciom — pomysły.

Mylne by było, byś sądził, że wszędzie znajduję w twojem dziele szczerłość.

Częstokroć rażącym dysonansem przeprowadzasz jakiś fakt „par force“ i przecyzysz sam swojej „teorii instynktów“.

Na człowieka wyrafinowanego książka taka czyni wrażenie podobne do wstrząśnienia, jakiegobym doznał, patrząc na dwoje ludzi, z których jeden pragnie zabić drugiego.

Zrozum bowiem, że nerwy nieraz wzbraniają nam czynić najelementarniejszy fakt, najgłupszy krok w życiu.

Boimy się rzeczywistości—my ludzie współcześni, a może już nieco spóźnieni.

Tracimy wszelki grunt pod nogami, gdy chcemy urzeczywistnić cośkolwiek.

A szczęście nasze jest gdzieś w głębi mózgu i udzielić się może tylko naszej miłości ku sobie.

Zrozum, że my, tchórze współcześni, jesteśmy najszczęśliwsi, gdy budzimy w kimkolwiek tylko cię radości, lub smutku i że kwintesencję wszystkiego przeprowadzamy tylko wewnątrz siebie.

A kiedy fakt zaprzecza naszym wewnętrznym ewolucyom, robimy sobie z tego tyle, ile naprzykład, człowiek, chcący się pozbyć kobiety — z jej zdrady.

Rozumiesz?

Radzi jesteśmy, jeśli nam życie przeczy, bo możemy łatwiej wyzbyć się jego poszczególnych przejawów.

Radzi jesteśmy, jeśli życie idzie na wspak naszym poglądom, naszym chęciom, bo uważamy je za grubą skórę, w którą wejść mogą tylko barbarzyńcy.

Znam nauki przyrodnicze, i wierzę, że one właśnie stały się podwaliną mojej nienawiści ku naturze,

w której wszystko subtelne ginie, a wszystko niskie, czyli żywiolowe, gębi despotycznie.

Poddanie się sile, o tyle wyższej tylko, że bardziej żywotnej i namiętnej, jest podstawą biegu wypadków.

Niema niezależności, nie istnieje swoboda, miast tych największych pierwiastków wszechducha wyłoniła się już od prawieków uśmierzająca pięść.

Jestem jej najzacieklejszym wrogiem i tym większym, gdy zdaję sobie sprawę, że nic jej zrobić nie mogę. Stoję przed nią, jak mrówka przed wielkim głazem. Może ona nań patrzeć, może pod nim mrowisko zbudować, ale go z miejsca nie ruszy!

A w końcu głaz stoczy się na płód jej pracy i przyniecie wszystko.

Bo on, aczkolwiek nieżyjący, aczkolwiek zimny i obojętny, ma prawo zabijać, niszczyć, ma prawo do życia, z którego nigdy nie skorzysta.

Zrozum, że wiedząc o tem, pojmując i uświadamiając sobie szematycznie takie kanony i kodeksy życia, trudno jest chcieć nawet coś dlań uczynić.

Ale ja jednak, mimo tej wielce tragicznej niesprawiedliwości, mimo tych najpodlejszych praw i zwycięstw bezwzględnego despotyzmu, postanowiłem dać coś ważkiego w tym celu, by wyjaśnionem zostało ostatecznie wszelkie bezprawie.

Zadanie moje jest trudne i nieraz okropnie wyczerpujące.

Polega ono na zebraniu najbardziej wyraźnych faktów w całym świecie ludzkim i zwierzęcym i ich analogii wzajemnej.

Potem należy wyciągnąć wnioski z różnicy, jaka powstaje z porównań, by wyolbrzymić ją nadnatural-

nie, by dać obraz jasny, jaką winna być ewolucja ludzkiej wrażliwości i ludzkiego intelektu.

Intelekt, pozbawiony zmysłowej podstawy, jako szczyt wszechistoty — to cel mój ostateczny.

Intelekt, nie jako symbol, lecz jako istniejące zjawisko, podobne do elektryczności — to droga do krańcowej definicji.

Wreszcie szczyt duchowości, czyli wyrzeczenie się wszelkiego materyalizmu... i koniec, który musi stać się ofiarą w imię idei, która, wzamian za wszystkie poniesione trudy, nie dała nic, prócz właśnie pewnej szkoły w badaniu i poszukiwaniu.

Posiadłszy ową szkołę, zatracać zaczynamy powolnie własną niezależność, gdyż niema jakiegokolwiek systemu, lub uogólnienia, któreby mogły tolerować próbę odrębności.

Odrębność — to rzecz dotychczas równa genialności. Wiem dobrze, że nie mam prawa bezwzględnie dążyć ani do szczytu systematyki i uogólnień, ani do krańców odrębności, gdyż ani ta droga, ani tamta, nie doprowadzą mnie do celu.

Idę zatem pomiędzy jedną, a drugą i czuję w sobie ciągłe niezadowolenie i ciągły brak ostateczności.

Nie mam odwagi rzucić tyloletniej analizy dla jakiegokolwiek bądź czynu.

Jeśli wspominałem, że spalić chcę wszystek dorobek, mówiłem jednocześnie i o tem, że chcę mieć w sobie to „co życie nauczyło“ — zatem miałem na myśli rezultat analitycznej natury.

Teraz jednak należy i to do pewnych wątpliwości, czy wszelką analizę należy rozwijać, chcąc wogóle być produkcyjnym.

Ta wątpliwość nie stosuje się osobiście do mnie, ale wogóle do pionierów wcielania w życie idei i wynalazków.

Co do mnie, to ze słowem „produkcyjny“ kojarzę francuskie „bête utile“, bynajmniej więc nie pragnę nagiąć się do tego.

Analiza jest pierwiastkiem destrukcyjnym i ten, kto zmysł jej posiada, budować nie może, gdyż krytyczności posiada zbyt wiele.

Jestem analitykiem z krwi i kości.

Wszelkie ognisko, zespół, współzycie, „modus vivendi“ z kobietą, wszelka przyjaźń, zbiorowisko to — zjawiska, które są mnie tak obce i niedostępne, jak chęć zgaszenia słońca.

Natomiast — ból tajony, bodziec powstały z konfliktu i nadewszystko chęć zamknięcia się, jak żółw, w skorupie izolacyjnej — to są mi, rzeczy blizkie i mnie przyrodzone.

Myślowo sięgam daleko, drobiazgi odrzucam precz, idę planowo, rozumowo nawet.

A w życiu pierwszy szczegół, który mi staje na drodze, niweczy wszystko, stokroć większe od niego.

Jan skończył. Zdziwił się może, że powiedział tyle.

Piotr zaś, nie zaraz odrzekł. Powtarzał w sobie raz wtóry słowa brata i zastanawiał się nad nimi poważnie i przenikliwie.

Wogóle zawsze sprawdzał teraz dwa razy głębsze słowa i myśli.

Czynił to z rozmysłu, by pojąć nietylko treść, ale i przyczyny, jakie ją wywoływały.

Teraz należało jeszcze bardziej być uważnym, po-

nieważ, na wstępie, Jan starał się nieco drasnąć ambicję Piotra.

Wynikało to z nieznamomości zupełnej psychologii i braku przenikliwości, która, zużyta wyłącznie na swoje potrzeby, nie miała dość rzutności, by istnieć samodzielnie.

Piotr był pozbawiony całowicie drobiazgowej ambicji autorskiej, którą to nawet wielkim ludziom przypisują.

Nie znał głupiej i płytkiej dumy, która kocha tylko to, co zwolenniczo się związało, a nie znosi żadnej opozycji. Naodwrot, wszelki upór silny, budził w nim szacunek i chęć przewyciężenia — uległość zaś wywoływała niesmak i obojętność.

Dokuczliwe zaś i ordynarne zaczepki były mu obce i milczał, dopóki nie uważał, że czas przywódcom czerni zmyć nieco głowę.

Obecnie Piotr szukał słuszności w słowach brata. — „Apostolstwo brutalności“, „źle pojęta prostota“ — rozmyślał — to są moje wysiłki, by wszystko było jasne, jędrne, a nadewszystko wyraziste.

„Pusty dzwon“ — to żywiołowość wszelaka, to chęć ogromna i burzliwa, by zrzucić z posad usytuowaną obłudę jednym rozmachem, jednym uderzeniem.

„Przeprowadzanie „par force“ nieszczeroci“ — to wysiłek niespożyty, uczyniony w imię myśli i twórczości. To chęć zwiężenia swoich potrzeb i rozkoszy.

Wreszcie rzekł na głos:

— Nie wyprowadzam cię z błędu. Myśl, jak chcesz. Piszę nie dla krytyk i krytyki są mi obojętne. Nie mogą one wpływać na rozwój mego talentu.

Nie mogą go ani podnieść, ani obniżyć.

Obca istota, która wedrzeć się pragnie w świat mojej sztuki, która uczynić chce w nim reformy, szybko usunięta zostanie przez czujność twórczą.

Może ona dać wyjaśnienia tym, co swoich mózgów nie mają, a innymi myśleć muszą. To jednak nie stosuje się do mnie. Za dobrze wiem, czego chcę i to jest największą zarozumiałością moją w oczach przeciętności.

Głupota, bodaj niepewność, chorobliwa bojaźń są policzone za najwyższe zalety. Ale stanowczość, bezwzględność i wszystkie poglądy, które dzięki jasności swojej, kateryczne być muszą, są uważane za groźne dla dobra publicznego.

Zupełnie słusznie. Publiczną bowiem może być tylko obłuda!

Tyle co do mnie.

Co się zaś tyczy moich poglądów i wiary—to streszczyć się dadzą krótko:

— Droga musi być jedna i absolutna, z całą stanowczością wybrana. Cel prędeziej może się modyfikować w miarę możliwości zdobywania go, i to musi się stawać coraz trudniejszym.

Dążeniem mojem jest pewna ciągłość twórcza celem — kwintesencya wszystkich wysiłków.

Moc, jaka w niej kryć się musi, winna przerosnąć siły człowieka i odebrać mu to, kosztem czego zdobył się na nią.

Tu mieści się tragizm mojej sztuki.

Nie wiem, czyś mnie zrozumiał. Powiem więc dobitnie:

Kosztem życia powstać musi ostatnie i największe dzieło człowieka. Mówię o tem ze spokojem, a jest to

już taką we mnie koniecznością, jak w chwili obecnej—
ukochanie kobiety.

Zrozum, że myśl ta w latach ubiegłych, jako nie-
świadome przecucie, była straszną dla mnie.

Dzisiaj wypływa ona ze składu mojego umysłu.

Bez niej byłbym pusty.

Podobny wypadek, który w życiu mojem wydarzyć
się musi, nie jest ofiarą, ani poświęceniem.

Jest tylko nieuniknioną konsekwencyą najsilniej-
szej sztuki, która staje się wyłącznym posiadaczem ży-
cia, niknącego przez sam ogrom kontrastu.

Nie może istnieć to, co zdobywa się z całą bez-
względnością na potężny wyraz, co w jednej chwili
ogarnia cały zespół najsilniejszych porywów, zestraja
wszystkie dysonansy i w jednym akordzie namiętności,
myśli i wszystkich sił — powstać pragniel

Szczyt musi być końcem artysty. Smutne — jeśli
nim nie jest.

Wiem dziś, co mi wolno, a jeśli wykraczam my-
ślą, lub czynem poza ramy swoich praw, wiem, czem
odpłacę za chęć niezwykle.

Nie przeraża mnie nic, bo wszystko jest jeszcze
zbyt mało mocne, aby taką władzę posiadało.

Praca moja ostatnia ma za zadanie — zakończenie
całokształtu człowieka przełomowego i stworzenie po-
czątku ducha ludzkiego, który gdzieś się zgubił, gdzieś
przepadł, by później odnaleźć siebie i rzucić ziarno na
żyźniejszą ziemię.

Szukam nowego człowieka.

Oto ja go wydobywam, ja idę jemu naprzeciw, ja
go na świat wyłaniam.

Daję mu moc do pokonania tajemniczości, siłę dla zagarniania i zdobywania wszystkiego, co trudno ująć się daje, zachłanność zwierzęcą i myśl potężną, odważną, iście nadludzką!

Uzbroiwszy go w ten sposób, narażać go pragnę na najcięższe próby, na jakie życie współczesne zdobyć się może.

Rzecz jasna, że przy żywiołowości i subtelności w zrozumieniu zjawisk, nieraz nikłe fakty wywołują silniejsze wstrząśnienie ducha, niżli grube i zwykłe.

Człowiek ów ginie w burzy żywiołu, daje się unieść w skłębione chmury chaosu, by później o wiele wypłynąć spokojnie i dojrzałe.

Odtąd dopiero zaczyna żyć prawdziwie.

Nosi on w sobie krzesiwo myśli. Rozplómienia i rzuca iskry inwencyjne. Sam z nich nie korzysta. Rozpalają one duchy zgłodniałe i wysuszone jałowym ciągiem lat.

Tworzy się cały zastęp ludzi mocnych i mądrych.

A rozrzucony są oni po świecie, by w każdym jego zakątku szerzyć jasność i promiennność.

A on, ten, który dał wszystkiemu temu początek, zdobywa się tylko na jedno dzieło, jedną epopeję, w której zamknął całe życie współczesne, wszystkie jego przejawy — ginie w wysiłku ostatecznym, w grozie potęgi, w olbrzymim rozmachu najistotniejszej twórczości.

Czyś zrozumiał moją ideę?

Nie ma w niej ani ofiary, ani poświęcenia, ani współczucia.

Ten, kto zrozumie mnie, pojmie natychmiast, że wynikł tragizm jednostki konsekwentnie i zgodnie z jej wolą.

Ta rozkosz szalona, bodaj żywiołowa, która każe z mgławic — światom powstawać, istnieje i we mnie.

Jestem mgławicą w chwili twórczej. Noszę w sobie wszystkie pomysły.

Ale daną mi została jeszcze jedna możliwość.

Oto mogę sam, świat, zrodzony przezemnie, wychować, wyczelować, wreszcie opracować go i ostudzić w miarę potrzeby.

A kiedy on już własnym życiem żyć pragnie, kiedy obraca się wokół osi wypadków, żywych odłamów, wówczas ja staję się znowu pierwiastkiem — mgławicą i znowu tworzę dziedzinę inną, nową i żywotną.

To, że jestem wciąż jeszcze niewyczerpany, że chwilę znużenia beznadziejnego nie zaznał, potęguje moją ekspansję i nadaje ruch moim inwencyom.

Inwencye moje są rzutne i śmiałe.

Powstają one błyskawicznie, jak iskra.

Rozpłomieniają mnie i grupują dookoła siebie wypadki i wydarzenia.

Pierwsze są linią wytyczną dzieła, drugie jego treścią i ciałem.

AURORA.

Ostatnie dni pobytu w domu Anna spędziła z matką Aurorą.

Dziesięcioletnia siostra stała się nieodłączną jej towarzyszką.

To też cały dzień Anna i Aurora nie rozłączały się wcale.

Świadomość bliskości dziecka, z całą jego czułością przeczystą, z najpiękniejszą szczerością nieświadomioną, działały na Annę uspakajająco, tłumiąc jednocześnie zbyt silne zgrzyty kontrastów.

Intuicya, wyrażana nieraz tylko westchnieniem, nieraz jedynem słówkiem, lub spojrzeniem wymownem turkusowych oczu, miała stokroć większą moc, niżli nużące doszukiwanie się prawdy psychologicznej.

Aurora była subtelną, wrażliwą i przenikliwą.

Jej dziecinne, proste rozumowanie posiadało niezwykły czar poezyi skojarzonej z owym skrytym temperamentem kobiecym, który w pewnym okresie otrzymuje zupełne pełnomocnictwo.

Anna z rozkoszą patrzyła na istotę, w której drze-

mały jeszcze jej instynkty, a czasem tylko jakimś ruchem porywczym, wybuchem radosnym, pragnęły dać znak życia.

Ale były one słabe i nikłe jeszcze, skoro poezya — jedyna szczerą poezya dziecka — miała nad nimi władzę.

Aurora opowiadała siostrze fantastyczne opowieści, opowiadała najcudowniejszą epopeę duszy dziecięcej, dla której niema tajemniczości, albowiem wyobrażenia sięga poza wszystkie granice.

Anna słuchała uważnie. Nieraz zresztą sama dawała się unieść w świat zaczarowany, w kraj przepychu i piękna.

Nieraz spoglądała na główkę cherubina, który jej z ducha przedzę złotą wysnuwał, lub też brała siostrę na kolana i całowała gorąco, z dziwnem wzruszeniem i tęsknotą.

A była to owa najprawdziwsza tęsknota kobieca, jedyna i wieczna — tęsknota za dzieckiem.

I aczkolwiek Anna wiele rzeczy musiała uświadomić sobie, tej właśnie miłości, najbardziej koniecznej, objąć wzrokiem ducha nie mogła.

Cały ten świat, dotychczas zamknięty dla niej, łączył ze sobą niepokój z niewyrazistością.

Dlatego również nie czyniła nic, by wstrzymać rozwój nowego uczucia.

Nieraz też można było widzieć Annę głęboko zamyśloną, a we wzroku jej spostrzedz pewną przemianę.

A zmiana ta następowała podczas opowieści Aurory.

Anna zachwycona była jej skromnością, wstydlivością i rumieńcem, który oblewał szkarłatem twarz całą i łzy wyciskał z źrenic idealnych.

Nieraz zastanawiał Annę majestat całokształtu duszy Aurory i wówczas mawiała: „W jej dziecinności jest tyle powagi, w jej uśmiechu tyle kobiecości, w jej ruchach taka eteryczność niezemska“.

Pewnego razu, siedząc w ogrodzie, Anna zwróciła się do siostry.

— Możebyś chciała — rzekła — bym spisała twoje opowieści?

— Po co? — spytała Aurora.

— Żeby w przyszłości, kiedy się nie umie już opowiadać, kiedy inne warunki każą zapomnieć o bajkach, można je było przeczytać.

— A czy zapamiętałaś je?

— Nie — brzmiała odpowiedź.

Aurora zaśmiała się.

— I ja również ich nie pamiętam — rzekła wesoło.

— Ona improwizuje — pomyślała Anna i dodała na głos:

— Widzisz, jutro wyjeżdżam i chciałabym coś dostać z domu na pamiątkę.

A choć może i wrócę niedługo, chętnie będę myśleć o tobie w godzinach spoczynku, czytając twoje baśnie.

Aurora przenikliwie spojrzała na siostrę. Jej rączki śnieżnej białości, opuściły się gwałtownie wzdłuż linii bioder.

W tym jednym ruchu mieścił się cały przestרח, bezradność przecucia i chęć nieświadoma oddalenia wypadku, który musiał nadejść.

— Zostań — rzekła cicho, całując Annę drżącymi ustami. — Zostań — powtórzyła śmieiej i zbladła.

A po chwili, patrząc mądrym wzrokiem w oczy siostrze, zapytała.

— Do kogo jedziesz?

Anna zmieszała się nieco. Czuła jednak, że skłamać teraz nie może. To też milczała.

Ale Aurora nie dawała za wygrane, i Anna musiała dać jej odpowiedź.

— Widzisz — rzekła — nie wszystko daje się łatwo powiedzieć.

Są rzeczy, które wypływają same przez się, kiedy człowiek do nich dorasta.

I przyjdzie czas, że i ty, jak ja teraz, wyjdiesz z domu, zapewne w innych warunkach, z przyczyn nieznanych mi teraz.

Ale każda z nas chce być oderwaną i niezależną od tego środowiska, w którym wyrosła, by nowe, własne ognisko stworzyć.

Nie wiem, czyś mnie zrozumiała, wydaje mi się nawet, że nie.

Aurora milczała. Pewien tylko odcień chłodny w jej oczach świadczył, że były to pierwsze słowa Anny, których nie uznawała.

Wydawały się jej one niesprawiedliwe i tajemnicze.

Ostatnie opowiadanie Aurory Sten.

Ostatniego wieczoru, w wigilię wyjazdu Anny, Aurora nagle wleciała boso, w koszulce, do pokoju siostry i siadłszy na jej łóżku, zaczęła opowiadać ostatnią bajkę.

— To jest mój prezent dla ciebie — rzekła i jęła mówić:

— „W dawnych czasach zamierzchłych, inni byli ludzie, niż teraz, i inaczej żyli.

A było to tak dawno, że żadne pismo o nich nie głosi i żaden ślad nie pozostał.

Wówczas to właśnie lasy nieprzebyte zamieszkiwali silni ludzie; bo wielkiej siły trzeba było, by lasy karczować i siedliska tworzyć.

Ale, żeby szczęście było w siedzibie, by życiem wrzeć mogła, musiał sobie każdy z owych silnych ludzi znaleźć kobietę.

A kryły się one po łąkach i w trawie, a nawet w nurtach wód.

Oto, kiedy każdy z owych ludzi swój dom zbudował, pole zorał wokoło i miał dostatek, szedł, na długie miesiące, na poszukiwania.

A kiedy schwytał wolną istotę, kiedy po trudach wielkich uwięził ją w swojej chałupie i oswoił nieco, zaczął ją uczyć, jak ogień krzesać, jak strawę warzyć i majątku pilnować.

A one—kobiety zwykłe, przyzwyczajają się i nigdy nie powracały do swoich ustroni, gdzie wolność dawała wszystko, prócz miłości.

Takie były u nich prawa i zwyczaje.

...Ale oto, razu jednego, przyszedł czas wędrówki na śmiałego człowieka, który rozumem w swojej osadzie się wslawił.

Każdy był ciekawy, jaki on łup zagarnie, albowiem szukał już przedtem, a nic dla się znaleźć nie mógł.

I poszedł dzielny człowiek w ustronia i długo nie wracał.

Minął rok, a on po drodze tylko nowe siedliska tworzył i czekał.

Wstyd mu było z niczem powracać.

Dużo już swobodnych kobiet spętał, ale rzucał je i puszczał z powrotem na wolność.

Nie były one dla niego.

Przeszedł rok drugi. Wyległa zwykła ludność ciekawa. Patrzą — pan ich wraca.

Idzie znużony, chudy, ale mocny, a w objęciach trzyma swą zdobycz.

Wylękłemi oczyma spogląda ona wokoło, a ciało swoje włosami ciemnymi okryła.

Jak u sarny gibkie, jak u węża sprężyste — było jej ciało.

Widząc zbiegowisko, mężczyzna kazał się rozejść gawiedzi, otworzył drzwi izby i ułożył wylękłą mieszkankę pól i lasów na wonnem sianie.

Długo do niej nie mówił, aż coś go trapić zaczęło, coś go męczyć jęło, że schnie zdobycz kochana w jego chałupie.

Walczył długo, by szczęście sobie zapewnić, by najniedostępniejsze zdobyć, a teraz pożytku zeń nie miał.

Był lepszy od innych, ale też chciał, by mu ogień krzesano i strawę warzono.

Ale nie miał serca tak pięknej kobiety do pracy zaprzęgnąć.

Sam więc wszystko robił za siebie i za nią.

A naokoło dziwiono się i szeptano, że dziwne rzeczy w ich zagrodzie się dzieją.

Ale, gdy czas mijał, a on widział, jakto u innych wesoło kobiety się śmieją i dzieci gwarzą, zamyslił się głęboko i spytał — czy dobrze sobie uczynił.

Wracał do domu, a nigdy ogniska nie miał, ni strawy.

A kobieta jego, z kraju wolności wzięta, inna i wyjątkowa, wędła w niewoli.

Nie mogła się nauczyć niczego i dzień cały tęskniła.

Wreszcie spytał mężczyzna:

— Czego chcesz? Dałem ci dom, ogień i strawę.

— Czego ci braknie powiedz mi, a będziesz je miała.

— Wolności — odrzekła wówczas.

A on zamyslił się, nie wiedział bowiem, co to znaczyć może i jak wygląda.

Znosił jej więc wszystko myśląc, że natrafi na przedmiot tęsknoty.

Aż rozgniewał się wreszcie, że tyle trudu nadaremnie włożył przez jej zachciankę i kazał jej wziąć się do pracy.

A potem żałował tego i przeproszał ją.

A ona rzekła mu raz otwarcie:

— Puść mnie. Widzisz, że ci tylko kulą jestem u nogi, że śmiechu w twej izbie nie ma, ani gwaru. Weź sobie inną!

Jesteś lepszym od swoich współziomków i najmędrszym z całej zagrody, ale najlepszy i najmędrszy z was, wolności dać nie może.

Ale on jej puścić nie chciał, bo ją kochał.

Aż pewnego dnia, kiedy oboje męczyli się sobą, zdecydował się na krok stanowczy.

Otworzył jej drzwi, sam odwrócił się tyłem, by nie patrzeć na swój czyn, i rzekł do niej złamanym głosem:

— „Idź“.

I, o dziwo, kobieta stanęła na progu.

Nie chciała wyjść z izby i teraz zdawać się jej poczęło, że nie było jej źle i tęskno.

I została.

Gdy Aurora skończyła, Anna porywczo, całując jej świeże policzki, rzekła z zachwytem:

— Skąd ty o tem wszystkiem wiesz?

A w odpowiedzi otrzymała nieco dziwne, nieco przestraszone spojrzenie i słaby uśmiech czystych rubinowych warg.

Anna pojęła, że cała prawda, tak bliska jej istocie, wyłaniała się nieświadomie z duszy dziecięcej, że Aurora niechcący odgadła tak wielką dziedzinę walki współczesnej kobiety; że ona — Anna była jeszcze nie zupełnie pewną, gdzie leży jej droga, gdzie jej — wołanie!?

Teraz pojęła dopiero słowa Orlicza. Zrozumiała, jak silną jest tradycya, jak nieskończenie władczą jest krew, która płynie już od prawieków w rodzaju ludzkim i przez to, jak wielkim jest dzień przełomu, jak potężnym jest wysiłek, który coś nowego wprowadza.

Składają się nań bodaj pokolenia i ześrodkowują wszystkie siły swoje w jednostce wybranej.

A tej przecież nie było między kobietami.

A w całej historii kobiecej były dotąd tylko prze-
błyski—nagle i dorywcze, ale nie było ciągu logicznego,
nie było stanowczych chęci.

We krwi kobiet płynęły jeszcze niewolnicze pra-
gnienia, a wyzwolenczy zapal był chaotyczny.

To też, by zrzucić jarzmo niewoli, by być wol-
ną, trzeba było zapłacić za to niepewnością bytu le-
pszego.

Należało zatem uzbroić się w rozum i wyracho-
wanie, by nie dać się zniszczyć i, co ważniejsze, nie-
złomnie wierzyć w wyłączną rację swojej własnej
prawdy.

A przedewszystkiem należało posiadać najwybit-
niejsze i piękne cechy kobiece i być nią w każdym
calu, by nie uczynić z rzeczy doniosłej — smutnej pa-
rodyi.

Wszystko bowiem dotychczas, co uczynione było
przez krzykaczki, sekutnice, lub chore kobiety — zginęło
już bez śladu.

I Anna zrozumiała to teraz.

— Czynem, czynem, a nie słowami — powtarzała
w duszy, dodając sobie męstwa i odwagi.

A czyn ten wyplýwał nie z chęci, by dać począ-
tek nowym przejawom, lecz wywołany był konieczno-
ścią i gorącym porywem namiętej istoty.

Anna nie chciała być pionierką nowego życia.

Nie myślała nawet, jak wielką była różnica po-
między jej pragnieniami, a dążeniem innych.

Nie zdawała sobie sprawy z siły swoich uczuć,
z ekspresyi myśli.

Nie zastanawiała się nad niemi, a wyłaniały się one
same przez się, gdy czas na nie przychodził.

Teraz stanęła Anna, oko w oko, przed ważnym niszczyielskim porywem.

Nie zdawała sobie sprawy ze skutków jego, ale wiedziała, że musi wejść w ów najsilniejszy i najgroźszy krąg życia, by móżdź powiedzieć, że żyła.

UPAŁ.

Był wielki upał ostatnich letnich dni.
Promienie śmiałe, ciemno-złote, jak strzały biegły z nieba.

Drgały, jak przędzy pięknej zwój, w płomieniach pysznych blasków.

A wokół, aż po siny las, na morzach żytnich łąnów, przy ujściach źródeł, w biegu rzek, w poszyciach ciemnych lasów, tkął pajęczyny letni żar.

Paproci nawet wielki liść uśmiechem rozpłomieniał.

I tonął cały bezmiar pól w świetle ogromnej siły.

Pławił się w srebrze młody gaj i drżały brzoź warkocze w rozkoszonym dreszczu marzeń gry.

Nie było nigdzie cienia.

Z góry się deszcz promienny lał, padał rześście, ostro, bawił się liśćmi, muskał pnie i palił strzechy chat.

Na wodach czystych wreszcie drgał i ginął w nurtach fal.

A wówczas nowy światel grad zaczynał swą zabawę, wśród śmiechu brzoź i szeptu wód.

Upajający zapach ziół rozbiegał się na wsze strony.

W objęcia wszystkim rzucał się, żartował i rozśmieszał.

Wnikał, jak figlarz, w szczeliny starych pni, rozwijał wachlarz woni, wabiąc koników polnych chór.

Aż wreszcie w trawie się ułożył i czekał, tając oddech swój, aż wiatr go zbudzi z lekkiego snu.

Rozgrzany, pełny żyta kłos, opuścił długie rzęsy.

Czekał spragniony jaskru kwiat na chłodny cień wieczoru.

A nenufarów długi rząd śmiał się ze znoju dnia. Kudłatej sosny smutny żal rozplynął się w pragnieniu.

A tylko lekka, polna myśl władczą się okazała.

W kosmatych tuj zaszyła się gęstwinie i drgał jej śmiech promienny, metaliczny, jak fantastyczny tryl wesołej lata pieśni.

Skrzydłata moc rozradowanych chęci biegła z poszumem żyt i z warkiem fal strumieni.

...I w owo właśnie południe letnie, radosne, słoneczne i jasne Anna przybyła do majątku Piotra.

Wchłaniała wszystkie wrażenia, jak dziecko z cudowną rytmicznością i wdziękiem.

Kojarzyła jej dusza dźwięk z ruchem, barwę z ostatecznym wyrazem natury.

Pieśń lekka, wolna wysnuwała się z głębi istoty uczuć, a brzmiała, jak elizejski śpiew dziękczynny.

Drżały struny lutni wewnętrznej, dotykane byle subtelnem tchnieniem upału.

Nie milkły nuty, raz już zbudzone, tylko tonowały się i modulowały w takt szybki allegra, kojarząc się dziwnie, nieziemsko z nowopowstałą melodyą.

Powstał zestrój najszlachetniejszych tonów, stu-

dzwięk bogaty i soczysty, niby akord niebywały — pewny i mocny.

Uśmiech nie schodził z ust Anny.

Jej cudownie i misternie wykrojone wargi i postać tanagryjska, subtelna — były jednolitym wdziękiem i czarem upalnego południa.

Oczy, które niedawno były „tragiczne, nieco tajemnicze“, teraz skrzyły się iskrą temperamentu i stawały się tak pyszne w swym blasku promiennym, jak staw głęboki w lesie, rozogniony słońcem.

Piękno Anny było teraz cudem myśli głębokiej, skojarzonej z idealną harmonią budowy ciała.

Skupienie tak rzadkich, bodaj wykluczających się, dziedzin, tworzyło przykuwające wspaniałe zjawisko — wyjątkowe i niezwykle.

I w rozkwicie swoich najbardziej wybitnych cech kobiecych, Anna nie zdawała sobie sprawy ze swego stanu, ze swego wyglądu.

Była pochłonięta ciszą pól, lasów i wód litewskich ustroni.

Wszystko, co mówił Piotr, prawdą się stało.

Nie było niechęci, nie było smutku, wszystko śmiało się w oczy i chciało serdecznie pozdrowić.

Czuł się człowiek, jakoby był pomiędzy wszystkim, co kochać umie jedynie.

Było tu dobrze, cicho i wesoło.

Anna czuła to i rozumiała.

Kiedy wchodziła na ganek, spostrzegła Piotra.

Wracał z ogrodu zamyślony, nawet zasepiony nieco.

Anna badawczo obrzuciła go wzrokiem.

Wydało jej się, że schudł i że jest bledszym, niż zwykle.

Uśmiechnęła się nieświadomie, gdy to spostrzegła. Wreszcie nazwała Piotra po imieniu.

Ale mimo, że pragnęła uczynić to jaknajprościej: całą swą radość, cały zapał i namiętność mimowoli wcieliła w to jedyne słowo.

Głos jej drżał ze wzruszenia.

Piotr zaś raptownie wznosił głowę.

W oczach jego zapłonął ogień, a w chwilę potem spoglądały źrenice mocne na jej twarz, szyję, ramiona, a usta całowały gorąco, silnie, bez końca.

Anna się śmiała.

Nie umiała odpowiadać na zapytania, nie wiedziała, czy jest w stanie przytomnie i rozważnie mówić.

To też śmiech jej głęboki, piersiowy, a nieco niepokojący, był w owym okamgnieniu językiem dla Piotra.

Tkwiał w nim dreszcz rozkoszny kobiecej istoty i pragnienie własnej nikłości.

Jakiś samounicestwiający dźwięk przenikliwy zmienił go w pewien wyraz ducha ważny i cenny.

Czuł Piotr, że w objęciach miał nietylko wszystko, co jego zmysłami wstrząsnęło, ale pewien niewyczerpany skarb, który metafizycznym uczuciem go przejął.

Anna, którą znał, którą już przedtem kochał najszczyrczej, Anna-kobieta, wreszcie Anna-mus i częśćka jego istnienia, wszystko to razem złączyło się teraz dopiero w jednym olbrzymim porywie.

Teraz każde jej poruszenie było zrozumiałem, każdy ruch—czy to brwi, czy ust, czy powiek — był odzwierciedleniem psychiki i nastroju.

Kochał ją, jak kobietę i jak dzieło sztuki.

Jej piękno było dla niego misternym tworem natury.

To też nagle opanowała go chęć, by patrzeć nań tylko, wówczas odsunął jej głowę, trzymając ją w dłoniach i spoglądał w jej oczy ciemne, błyszczące, w usta nieco omdlałe przez nagły rozmach zmysłów, na rzęsy marzycielskie i brwi doskonałe.

I wówczas mówił jej cicho, że jest piękną, że tkwi w niej niewyczerpane źródło ciągłych zmian, ciągłej różnorodności.

Anna nie odpowiadała mu na to, lecz śpiwnym głosem, wciąż jeszcze nieco wzruszonym, powtarzała jedno zapytanie, na które kobieta najpewniejsza siebie musi otrzymać odpowiedź.

A on szukał w niej czegoś, szukał jakiejś ważnej podstawowej chęci, chcąc ją wyłonić i poznać.

Nie chciał, by mógł istnieć zakątek w jej duszy, do któregoby dostępu nie miał.

Chciał wiedzieć, co ją łączy z domem i żądał najbezwzględniej, aby zerwała ze wszystkim dla niego.

Wymagał tego jak najelementarniejszej konieczności szczęścia.

Wszystko, wszystko chciał dla siebie wyłącznie i pojmował, że nie byłby zdolnym wcale do silnych uczuć, jeśli by w ich podłożu nie tkwił egoizm.

Anna czuła to, a ów mocny, szczery pęd siły cieszył ją dzisiaj.

Rozumiała, aż nadto dobrze, że tu tkwił pierwszy węzeł, który ją krępować poczyna, że już w pierwszej chwili, kiedy wszystko drżało w niej ze wzruszenia, wynurzył się mocny, żelazny kleszcz ujarzmiający.

Ale ból, jaki sprawiał dzisiaj, rozkosznym był i po-
tęgował jeszcze moc żywiołową.

...Być własnością, być, jak rzecz zupełnie pozba-
wioną prawa na swoje „ja“, jakąż to było ostateczność
nią szczęścia!

Znieść najszerszy rozmach namiętności męskiej.

Cierpieć bodaj i chcieć czegoś jeszcze silniejszego,
wciąż bardziej napiętego, unicestwiającego, jakież to
było wyłącznie kobiece.

Doprowadzić żywotność do kulminacyjnego punktu,
do ostatecznych granic świadomości, jakże to było ko-
niecznym pragnieniem.

Wreszcie chęć wielka, by pojąć duch męski przez
siłę biernego niszczenia, stała się dominującą i rzeczy-
wistą.

Odezwało się powołanie instynktów, konieczność
płci.

Zaćmiły one wyrozumowane pojęcia i przekształ-
ciły wszystko w jedną możliwą, despotyczną istotę uległą.

W danej chwili czuła się Anna stworzona tylko
do najsilniejszych uścisków miłości.

Wszystko w niej zgasło, prócz chęci olśniewania
sobą.

Jej wonne, młode ciało, zdało się kwitło, jak kwiat
zmysłowy w upalny dzień.

Z chwilą każdą stawało się bardziej pochłaniające,
bardziej pyszne i wspaniałe.

Cały szereg lat czekało ono na okamgnienie, kiedy
się szczerze pokaże w swej całej pełni.

Godnemi były oczy, podziwiające największy prze-
pych ciała, były one nawet stokroć wyższe i silniejsze,
niżli wszystko co dać może kobieta, aż do chwili odda-

nia, aż do sekundy, gdy uśmierzają się przeciwieństwa i następuje mgnienie zgody, łagodności i chęci zespolenia najszlachetniejszych pierwiastków — aż do okresu, który przeżytym być może jednej nocy tylko, a mieści w sobie wszystką kwintesencję szczęścia i życia.

A całą doniosłość wypadku, całą jego uroczystość i siłę pojmował Piotr.

Uniósł go żywioł do granic ekstazy, usiłował zapalić kult ubóstwienia i roztląć poczucie wieczności.

Grunt cielesny, słodycz zmysłów kobiecych, piękno kształtów, dla niego stworzonych, stały się w końcu tylko tłem dla istotnej miłości.

A była ona tak ostateczna, jak wszystko prawdziwie rzadkie i doniosłe.

Ważyły się w niej losy dwojga ludzi, którzy się mieli złączyć nierozzerwalnie, lub też rozejść się — z pamięcią o chwili najwybujałszej, której rozwiązanie mieściło się w samym celu uczuć.

Znikł chaos pierwotnej fazy.

Wyłaniać się począł niczem nieprzeparty mus wiązania i krępowania własnej wolności.

Wyrzekł się duch swobody w imię namiętności, niszczył w sobie poryw bezpośredni i chęci nagłych zmian.

Wreszcie palił w ogniu treści ludzkiej swoje wyłączone, zasklepienie pojęcie o sobie i zrywał chciwie zaśluzoną i wąską myśl.

A było to najprawdziwsze wyrzeczenie się siebie.

Męska jaźń — wiecznie czynna, wiecznie ruchliwa i szukająca, teraz bez zdania sobie sprawy — dawała, kształtowała i tworzyła.

A kobieca istota zawsze nienasycona, wiecznie

spragniona, wchłaniała w siebie wszystko ożywcze, żywotne bez końca.

Oplatała swemi ramionami, niosła w ofierze całe ciało własne, chcąc tylko jeszcze coś wykrzesać, jeszcze coś zdobyć.

Stawała się mądrą i zmyślną, bezpośrednią i sztuczną, uległą i buntowniczą, a nadewszystko zachłanną.

Wiązała swoim czarem niezależność odrębną, wysysała z niej soki, którymi sama żyć poczyniała.

Silne pasorzytnicze cechy, tkwiące w samej naturze kobiety, największy święciły tryumf, gdy posiadały ową właśnie niezależność, gdy skojarzyły ją z upałem swoich zmysłów, z zapachem ciała własnego, wreszcie z całym wewnętrznym światem najszczerzym.

A instynkt inwencyjny i męski ujarzmił się wciąż nowymi przejawami piękna, dawał się wciągnąć w pułapki skrytych rozkoszy, zmieniał się w żądę ujawnienia wszystkiego, co tylko tkwiło w kobiecie.

Nie czas było teraz szukać — nadszedł okres poznania.

Był on bezwzględny i ostateczny.

Kochał Piotr drzenie trwożliwe piersi, i wyzywającą pychę bogactwa linii i wygięć słodkich i łagodnych.

* * *

Pierwsze różowe promienie brzasku wdarły się przez szczeliny okiennic.

Zamigotał cień delikatny na ścianach i zniknął precz...

Miał niego wyłaniała się jasność świetlista, łagodna i srebrna, jak przedza pająka.

Można było patrzeć się w ów blask miękki, aksamitny uważnym wzrokiem swobodnie i bez osłepienia.

Anna zbudziła się ze snu.

Leżała na wznak, patrząc się swemi czarnemi oczyma w górę.

Zdawało jej się, że nie ma nad nią sufitu, tylko jakaś otchłań promienna, bez dna, bez granicy.

A stamtąd, z wyżyny spływała nić jej życia i wysnuwała całą swoją historię od samego zarania, aż do chwil ostatnich.

Urywała się i nikła, poszukiwała łączności i związku, aż wreszcie spoiła się węzłem przełomów, związała oba swe końce, tworząc krąg wielki.

I dookoła owego pierścienia tłoczyły się wydarzenia i wypadki, chcąc do jego wnętrza się dostać.

Rozrywały one koło zwarte, tworzyły nowe supły i wdzierały się do istoty treści, gdzie pozostawały bezpieczne i trwałe.

Nigdy jeszcze Anna tak pewną nie była, że tu leży jej droga, że bierze ona swój odwieczny początek u źródła miłości.

Nigdy jeszcze nie budowała z taką zrozumiałością dni przyszłych, dni nowych, w których każda minuta była ważną, znaczącą i piękną.

Wszelkie niebezpieczeństwo znikło precz, wszelka groźba usnęła.

Kochające oczy strzegły szczęścia, a ręce silne wzniosły bronne mury i chciały zamknąć w nich istotę radości.

Mogła więc teraz Anna spokojnie spoglądać w naj-

bardziej odległe chwile życia swego bez obawy, że ją cośkolwiek pociągnie, lub każe zwrot jakiś uczynić.

To też czytała księgę wspomnień uważnie i chętnie.

Zatrzymała się tylko, gdy myśl wyjątkowo świetlista błysła na jednej jej karcie.

— Rafał Orlicz — pomyślała z tęsknotą — Wszak zostawiłam go zupełnie samego z marzycielskim uśmiechem, z wiernopoddanchem uczuciem ku sobie. Wiem, że tkwi w nim ono ze zdumiewającą trwałością. I dziwne, dziwne zaprawdę, że kiedy ja najszcześniejszą byłam — ten człowiek myślał o mnie. Że wówczas, kiedy pamięć moja spłonęła czasowo w płomieniach ekstazy, istniał spokojny, marzycielski duch, który mnie ucieleśniał sobie idealnie.

Uczucia Rafała Orlicza nie znają zadośćuczynienia. Subtelność ich tworzy pajęczyny marzeń.

Nagle Anna przerwała bieg myśli.

Spojrzała na Piotra.

Jego twarz we śnie jeszcze pogrążona, była łagodną, lecz ognistą i pełną siły.

Czarne szerokie brwi rzucały cień lekki i nieznaczny.

Włosy opadły nieco.

Anna wyciągnęła rękę i odgarnęła je z twarzy.

Czas dłuższy trzymała dłoń rozpaloną na jego czole.

A gdy się zbudził i oczy otworzył, przywitała go słodkim, niczem niepowściągniętym, szczerym uśmiechem zrenic.

— Zdaje mi się, że wczoraj — rzekła nieco przyciszonym głosem — to strasznie dawno.

— Czuje, że leży ono, wraz z całą przeszłością, gdzieś daleko na innym brzegu mego bytu i że wszystko, co tkwiło w radości wyzwolonej, w smutku bez granic i w pragnieniach moich, tutaj dopiero otrzymało wyraz.

Tutaj wraz z tobą!

Zadaję sobie pytanie, czy wszystko dążyło do najsilniejszej chwili mego życia i widzę, że było tyleż powstrzymujących hamulców, ile żywiołowych, zdecydowanych zamiarów.

Jak się stało, że pozwoliłam sobie na wszystko — nie wiem, co przeważyło i kiedy była chwila postanowienia — nie pamiętam.

Ale i pocóż mam wiedzieć o tem, kiedy już się stał fakt przełomowy, kiedy dał mi już wszystko najwyższe, najszczerze i najbogatsze.

Umilkła.

Piotr zaś słuchał i patrzył przed siebie.

Sprawił mu głos Anny niewysłowioną radość, dźwięczał nieco altowo, lecz świeżo, metalicznie.

Wreszcie szukał drogi do serca i tam zamierał.

Piotr nie patrzył na Annę, widział jej twarz przed oczyma ducha, spostrzegał jej najnieznaczniejsze zmiany wyrazów.

— Ja zaś — odrzekł patrząc w przestrzeń — wiem, kiedy się w tobie wszystko istotne tworzyło, kiedy dojrzewała chęć, na którą czekałem spragniony.

Teraz z oddalenia bardziej wszechstronnie oceniam zjawiska.

Mógłbym ci wyliczyć teraz twoje stany duszy wówczas, kiedym już czuł w tobie siebie, a kiedy obcą byłaś mi jeszcze.

Ale poco wracać do dni przeszłych, kiedy czeka
nas jeszcze tak wiele!

Praca — silny geniusz dusz — chce, by podjął ją
natchnieniem najczulszem wraz z mocą mózgu nie-
ugiętą.

Myśl teraz o niej jak o konieczności, która nam
nada charakter iście głęboki.

PIERWSZE ŻEBRO

PIERWSZE ZIARNO.

Anna poznała Jana Czarskiego, a kiedy mu po raz pierwszy rękę serdecznie podała i przelotnie spojrzała w oczy, nie trudno było spostrzedz, że zbladł nagle i że tylko wargi wąskie i zacięte, krwistym ogniem zapłonęły.

Czuła Anna, że palce męskiej dłoni drżały w jej ręku i że z każdą chwilą wzmaga się pewien nastrój emocjonalny, który bywa przy nagłych spotkaniach dwojga blizkich ludzi.

Była zdziwiona, że podobny stan wyczuć się dawał od pierwszej chwili znajomości, że rozumiała, jak wiele musi być prawdy niewypowiedzianej pomiędzy nimi.

Nie zdawała sobie jednak sprawy, czemu zobowiązuje ją bezwzględna szczerłość względem tego obcego człowieka, który przywitał ją skrytym dreszczem bólu.

Żadne konwencyonały, żadne formalności miejsca mieć nie mogły.

Nie wiedziała Anna, czy przyczynia się do tego jej obecny, niczem nie skrępowany tryb życia, czy pe-

wna udzielająca się iskra, nieco tragiczna męskiego ducha.

To też spojrziała w smutne, matowe źrenice niebieskich oczu, a uczyniła to więcej, jak dziecko — niżej kobieta.

Cała najcudowniejsza ciekawość wypłynęła z ducha zwierciadeł i wzniosła wzyź brwi cienkie, idealnie piękne.

Dały one pojąć swe pytanie, kazały zrozumieć chęci odnalezienia najtajniejszych skrytek cierpienia, najsublelniejszych odcieni smutków ponurych.

A w owej czystej i jasnej szczerości tkwił nalegający upór kobiecy.

Całe piękno Anny wyteżyło swe siły, by stać się ostatecznym bodźcem dla obcych wynurzeń.

Czar prostoty, kategoryczność chęci i niczem niepoprzedzany, nagły śmiech szczery, lub wzrok czarnych, głębokich oczu, wypowiadał się każdy z oddzielna, całą pełnią swojej istoty.

Jan był nieco zmieszany, nieco wzruszony, a gwałtowność, z jaką nastąpiło nowe poznanie, nie dała mu się nawet doń przygotować.

Czuł, że się w nim coś ugięło, że odstąpiło się dawno zamaskowane, ogromnie wrażliwe uczucie.

Radby je może znowu pod osłoną trzymać, ale każde słowo Anny i widok jej całej postaci, odradzał z niepojętą siłą zagasłe pragnienia.

Jan sam im czynił przeszkody, starał się je zniszczyć rozumowaniem, wreszcie próbował ostatecznie zrzucić ze siebie jarzmo, które nowa kobieta mimowolnie nań narzuciła.

Starał się jej nawet pewien chłód okazać, ale

była to chęć na tyle sztuczna, że wywołała jedynie uśmiech na ustach Anny.

Zdawało jej się, że nigdy jeszcze tak jasno nie czytała treści duszy ludzkiej, jak w chwili obecnej.

Miała już nawet naszykowane całe szeregi zdań, które jedne po drugich wyłoniłyby prawdę ukrytą.

Ale nie czas było jeszcze.

Uważała za stosowne obecnie milczeć, a Piotr cichy również przerywać nie chciał.

* * *

Był wieczór—cicho i łagodnie rozesał się nad moczarami, spływając z wzniesień falistych w otchłań uroczyńska.

Anna, Piotr i Jan szli wokoło wzgórzem do wsi okolicznej.

Szli z początku milcząc, patrząc na przedziwne światła gry, na subtelny, niczem niezmacony spokój w naturze.

I ku zdziwieniu Anny, Jan pierwszy przemówił.

— Wydaje mi się — rzekł — że powinniśmy się wystrzegać nastrojów cichych, a tak ujarzmiających.

Budzą one całe zastępy uczuć burzliwych, które, zręcznie w ciszy ukryte, wybuchają naraz i niespodzianie.

Czuje się człowiek, jakby mu na sen dawali, by spał słodko, ale by się już nigdy czynny nie zbudził.

Niebezpiecznym jest to, co ukradkiem podpełza, przed przewidzianem bowiem można się obronić.

Czy nie czuje pani — nagle zwrócił się do Anny — że w tej miękkości mgieł, w tej słodyczy zmiernych

kryje się coś porywczego, coś, co flegmatyka zmienia w entuzyastę, a mądrego upija!

Ostatnie słowa wypowiedział gorąco i z pewnym zapalem.

— Tak, czuję, że tai się w owym spokoju bogatym coś nieprzewidzianego — odpowiedziała cicho, nie patrząc na nikogo i po chwili dodała:

— Czuję, że gdzieś w jednym z tych obszarów, zatracających teraz wyrazistość linii, mieści się jądro naszego istnienia.

— Właśnie, właśnie, coś nieprzewidzianego — podchwycił Jan pośpiesznie — i jak dalece jest to wyczuwalne, jak dalece daje się ująć w formę myśli, jeśli dwoje ludzi jednocześnie je rozumie.

I mimo wszystko, jak się przejawia, jakie przybierze rozmiary, nikt z nas o tem nie wie.

Przyznam się otwarcie, że owa niepewność ma dla mnie wielki urok, ale czuję, że jest ona równie moją zgubą, jak i wcieleniem szczęścia.

Tak, to jest moja ukochana idea w naturze.

— Ukochana — ze zdziwieniem powtórzyła Anna.

— Tak, bez żadnej kwestyi. Trzeba przecież tylko pomyśleć, że się ogarnia szeroko coś wielkiego, coś jeszcze niewyraźnego, że się obejmuje owo „coś”, co nie zdefiniowało się realnie...

Sprawia to wszakże nam — naturom nieco wyczułonym, wielką radość.

I potem, gdy się wyjaśnia owa szeroka, niemateryalna istota, pozostaje z niej kropla — ekstrakt rzeczywistości.

Jakże nikłą jest ona w porównaniu z tem, co się na nią złożyło!

Dlatego też cenię więcej w sobie dążenie, niżli cel.

I pomyśleć — dodał cicho — że to wszystko, co widzimy, co podziwiamy, jest tylko tą częścią, która mocą brutalną wypowiada się, że ów najsubtelniejszy nastrój wyrósł, karmiony sokami stokroć więcej subtelnych istnień, że barwy, dźwięki zaćmiewają idealniejsze składniki, by z większą mocą powstawać, że gdyby wszystko miało możliwość życia, dość byłoby spojrzeć na nie, ażeby mieć ogromną moc twórczą.

Czy pani może objąć własnym mózgiem te setki mdlejących żyć, które przy innych prawach, innych warunkach samodzielnie istniećby mogły.

Tu mieści się absurd logiki, obłuda prawdy, kłamstwo systemu.

Przytępiiliśmy swoje zmysły, skoro delikatność natury nie jest dla nas brutalnością, skoro, łagodność jej nie jest złowrogą maską, a wybuch żywiołu daje nam możliwość pojmowania go.

Bo wszak w każdej chwili, w najbardziej martwym milczeniu upału zachodzi walka na śmierć i na życie, z tysiącami ofiar i najeźdźników.

I pomyśleć, że zwyciężają tylko despotyczne chęci i że wszystkie inne giną!

Oto dlaczego nie dowierzam swoim oczom, gdy się czemkolwiek zachwycam, oto dlaczego podejrzewam, bodaj piękno, o chytrłość.

Wreszcie dlatego jestem bezsilny i przeciw temu, co żyje powstać nie mogę.

Dlatego również tęsknię za niejasnym stanem natury, bo nie wiem jeszcze co się z niej wyłoni, bo wów-

czas żyją jeszcze owe tysiące, które wyrazistość niszczy
w imię prostoty, jasności i siły!

Ostatnie słowa wypowiedział żywo, aczkolwiek już
z pewnym odcieniem bólu.

Głos jego brzmiał w ciszy wieczornej, jak skarga,
która jednak bardziej wyzywającą jest, niżli uległą.

Gdy umilkł, Anna spojrzała ze wzgórza w do-
linę...

Z wielkich trzęsawisk buchały kłęby mgieł; sinym
odblaskiem gasnącego dnia zaczęły żyć.

Wzbiły się wzwyż, jak gazy lekkiej zwój, z szele-
stem wdarły się w gęstwinię trzcin i milkły...

A złote wody błot zaczęły drgać w jarzeniach sil-
nych słońca.

I sosny wokół kołem zwarte płonęły ogniem krwa-
wych łun.

A w dali szarzał zmrok.

Płynął powolnie, cicho, zagarniał coraz większy
krąg wysokopiennych drzew.

Uśmierzał wreszcie złoty blask i okrył sinym
płaszczem powierzchnię łąk i fale pól.

A wokół była cisza.

Tylko ogromny kaczek ciął zarysowywał dziwny
klucz na jasnym, zgasłym niebie.

Czasem spadało stado na cichych wód zaczar-
owane tonie.

I pierścień wielki, coraz większy mącił spokojne
czoło ich.

A trzcin przepyszne kity chwiały się marzycielsko,
lecko, jakoby w takt tajonej gdzieś muzyki.

Z daleka, z jądra wielkich kniej, żórawi słyhać
było granie.

I dzwonki cudnych głosów ich wciąż w wyższych tonach drżały.

— Cudnie, cudnie—cicho powtarzała Anna, zasłuchana w symfonię wieczorną Litwy.

— Czy słyszycie, czy słyszycie muzykę — pytała w podnieceniu.

— Ile w niej tu pomysłów, ile przejść wspaniałych, jakie bogactwo tematu i jedna, jedna przewodnia idea, ozdabiana wyraźnie przez najsubtelniej wibrujące dzwonki i poważne akordy poszumów trzcina.

Co za tempo boskie, równe, rytmiczne, cóż za ciągłość nierozzerwalna nuty z nutą, melodyi z akompaniamentem.

I czuć rękę Geniusza, która tę całą orkiestrę prowadzi, która czuwa nad czystością nieziemską brzmienia i zestrojem wszechdźwięku.

I tu tkwi coś, co do czynu nas ludzi pobudza, tu jest ukryte źródło naszej sztuki, wreszcie tu mieści się może synteza naszych wrażeń.

Czyżbyśmy mieli przed tem się kryć? Dziwne, dziwne — czyżby, tu w tem wszystkim, co wzrokiem ogarniam, było coś, co chce krzywdzić, ujmować!

A może, może—dodała nieco porywczo—krzywdą jest smutek odwieczny duszy, który do snu kołysze i pieści, który nieraz ulgę przynosi, ale nieraz i niszczy.

Tak, rozumiem, rozumiem go i chciałabym, by w chwili obecnej znikł, jak ginie we mnie. Chciałabym, by choć przez chwilę istnieć przestał.

Czy to możebne?

Gdy Anna ucichła, Jan jeszcze w duszy powtarzał jej słowa. Pojął aż nazbyt dobrze, że ostatnie pytanie jego się tyczy.

— „Czy to możebne“ — powtórzył raz jeszcze — wątpię. Na ile znam siebie, to widzę i czuję, że wszystko, co się z chwilą obecną wiąże, wzbudza jeszcze bardziej pewien słaby cień tragicznego przeczucia.

— Tragicznego przeczucia — podchwycił Piotr — który przeczuł w tych słowach coś złowieszczego.

— Tak, niestety—brzmiała odpowiedź — nie mogę się otrząsnąć z tego wrażenia, że coś w tym spokoju jest niebezpiecznego, że coś się kryje w tym mroku, że się coś chowa.

A nim się wyłoni, nim zedrze „ono“ swoją maskę, będzie zapóźno.

— Nie pojmuję, co to być może—rzekła ze sztucznym uśmiechem Anna — czując, że ją słowa Jana strachem przejmują i że ten człowiek, mimo wszystko, jest jej już bliski z niewiadomych przyczyn.

— Czy można wszystko przewidzieć—rzekł szczerym głosem — czy można wszystko obliczyć, wyrozumować?

Ja, który najskłonniejszy byłem do owych trzech funkcji, muszę powiedzieć: — że nie!

Że wówczas właśnie, gdy widzi się najwięcej niemożliwości, gdzie spodziewać się czynu innych — znałyby może siebie zgubić, szła z nieubłaganą siłą jakaś olbrzymia reforma, która życie całe „do góry dnem“ w jednej chwili postawić chciała.

A choćbyśmy do życia jaknajmniej przywiązani byli, każda gwałtowna zmiana budzi strach i bojaźń.

To jest tak zrozumiałe, jak niewolnicza uległość motłochu najpodlejszej władzy.

I ów strach właśnie jest we mnie bodaj pierwszym ostrzegaczem.

Czuję go teraz.

Nie lękam się o siebie, bo wierzę, że mi wiele jeszcze chwil życia zostało, obawiam się tylko, że owa reforma zbliża się, że nie pozwoli, by jednostajnie moje dni płynęły.

I czuję, że jest ona bliższą, niżli przypuszczam nawet.

— Tak blizką? — spytała Anna z tęsknotą.

— Tak blizką, a tak nieubłaganą, jak koło fortuny, miażdżąc tych właśnie, którym szczęście daje.

A co dziwniejsze — mówił dalej — że mimo inercyjnej chęci, by odepchnąć dzień wielkiej przemiany jaknajdalej, pojmuję teraz, że oddałbym życie za chwilę jedną wielkiego napięcia.

— Twoje słowa brzmią dzisiaj inaczej, niż zwykle — rzekł Piotr, patrząc na zaognione źrenice brata.

— Oddałbyś, mówisz, życie za dzień szczęścia, tak, zdaje mi się, pojąć cię należy.

W ten sposób mówią ludzie spragnieni i zniszczeni pragnieniem.

Tak mówią entuzyaści najwięksi i rezygnanci ostateczni. Jesteś dziś jednym i drugim.

Zastanawiam się, co mogło wpłynąć na twój zapal, w którym się więcej tragizmu mieści, niżli radości.

Anna bacznie spojrzała w oczy Jana. Czekwała, na to, co odpowie, potem wzrok swój rzuciła na twarz Piotra i uspokoiła się nieco.

— Pytasz się, co wpłynęło na moją dzisiejszą zmianę — odparł. — Czuję, że nastąpiła ona, ale pod wpływem czego, niewiem dziś jeszcze.

— A jutro będziesz wiedział?!

— Jutro — to jest nie w dniu jutrzejszym, ale

w dniu, w którym zajdą zmiany pierwszej wagi, będę wiedział. Moje „jutro“ jest niespodzianką.

— Dającą wiele cierpień—dorzuciła Anna—czując, że jej krew mocniej zabiła w arteryach.

— O tak, nieraz dużo męki, ale po to, by raz dać coś niezrównanie wielkiego, co ją okupi.

— No dobrze—zwrócił się Piotr do brata—ale czy podobne przecucia mają pewne dane, lub fundament, na którym powstają?

— I czy są bezwzględne?—dodała Anna.

— Czy posiadają bezwzględność wogóle—to pytanie—odrzekł Jan spokojnie.—Nigdy nie idealizuję bezwzględności, gdyż niczem ona się nie różni w rodzaju ludzkim od zwierzęcej zawziętości.

A czy są wierne, nie wiem. Wystarcza, jeśli sam w nie wierzę.

Nie staram się narzucać moich poglądów, tembardziej—przeczuć.

Rozumiem bowiem, że tak, jak ja czuję, ja patrzę, winna czuć i patrzeć tylko jednostka.

Jestem bezprzykładny, bo nie chcę i nie chciałem być nikomu wzorem.

W grupie ludzi (cóż dopiero w masie) czuję śmiešność swojej roli i widzę, że gdyby miało być zbiorowisko ludzi, do mnie podobnych, byłoby ono wielkiem nieporozumieniem między naturą i człowiekiem.

Jestem indywidualistą najrzetelniejszym.

Wszystko, co czynię, jest uzasadnione we mnie, jako w jednostce tylko.

Pionierem nie jestem, albowiem ostatni musi wcielić siebie w doskonałość największej niedoskonałości, czyli—w cnotę tłumu.

— A czy nigdy nie rodzą się w panu burzliwe chęci, by ugiąć zbiorowisko, by narzucić mu pęta własnego pojęcia i ujarzmić go własną wolą?

— Nigdy—odrzekł Jan — nigdy nie marzę nawet, by mnie najbliższy człowiek pojął, a coś tłum dopiero.

Wyperswadowałem to sobie już dobre temu lat kilka.

I skąd może powstać źródło jakiegokolwiek zrozumienia, jak nie ze słowa.

A ostatnie tak mało mówi i urzeczywistnia (to, o czym już wspomniałem dzisiaj) najbrutalniejsze chęci.

Władać czemkolwiek, zabierać, zagarniać, jak również oddać coś ze siebie — to nie moje dziedziny, nie moje pragnienia.

— Więc coś pozostało?

— Zamknąć się w sobie, skupiać wszystko, doskonalić się dla siebie, reformować ducha!

To wszak prawdziwie głęboka treść życia.

— A czy wiara w zupełny brak zrozumienia, choćby najbliższego człowieka—podkreśliła Anna — nie jest podwaliną bólu?

— Bez kwestyi, że jest — że ciągły konflikt, bodaj bez kontaktu, jest nawet bodźcem jego.

— A żeby pan znalazł rozumiejącego?— spytała.

— Wówczas zyskałbym wiele i straciłbym dużo. Zdobyłbym raz pierwszy nic łączną, a straciłbym to uczucie dumy, które pozwala zasklepić się w sobie i daje niezależność wszelkiego pojęcia, jaką tworzy samotność.

Na tem urwały się rozmowy.

Nie wiedział, ani Piotr, ani Jan, ani Anna, dlaczego naraz wszyscy sposepniali.

Nie starali się bynajmniej maskować przed sobą.
Szli wolno, milcząc. Zaniechali nawet posiłku
w chłopskiej chałupie i chętnie wracali do domu.

Był już późny wieczór.

Anna chciała być sama.

Gdy weszła do swego pokoju, poczuła, że jej spokój dawny minął bezpowrotnie.

Długo nie kładła się spać.

Myślała o Janie.

Wspominała jego słowa i wywoływały one pewien ból w jej sercu.

Nie czuła do niego nic więcej prócz silnej sympatii, prócz chęci ulgi dla niego.

Uzupełniała jeszcze intuicją własną to, co było niedopowiedzianem i naraz cała drgnęła z przerażenia.

Nagła, gwałtowna myśl wyłoniła się z przeczuć kobiecych.

Pojęła błyskawicznie, że owo „jutro“ dla obcego jej mężczyzny nastąpić musi przez nią.

Że ona—Anna jest już osiã, dookoła której nieświadomie obraca się całe życie Jana.

Że ona wreszcie stać się musi jego wyzwoleniem.

Ta myśl straszna wycisnęła pot na jej czole, ręką drzeć kazała, a w piersiach rodziła łkanie męczące, bezskuteczne, jak chęć wyzwolenicza skazańca.

Nagle zagasło światło jej szczęścia, wyłoniła się noc jego chmurna, brzemienne burzą.

Teraz uprzytomniła sobie, ile razy zwracał się Jan tylko do niej, ile razy czekał na jej wyłączną odpowiedź, ile razy patrzył na nią rozpalonemi oczyma.

Anna starała się wskrzesić Piotra w pamięci i jego

słowa, jego silną namiętność, ale była zmęczona i mimo to, że tkwiło w niej gorące ku niemu uczucie, teraz nie była zdolna go ocenić.

Teraz chciała wyzbyć się wszystkiego — by sen ożywczy odrodził jej siły.

Ale wysiłek ów był bezpłodny.

Jan, z całą jego psychiką, z całą subtelnością i tragizmem swego bytu wyłaniał się z kątów i tłumaczył siebie.

A słowa jego były tak dziwne niezmiernie, tak nowe i poraz pierwszy słyszane, że trudno się było im oprzeć.

— I co będzie, co będzie — powtarzała w ciszy, powoli opanowując siebie.

Nagle przebiegła dziwna myśl przez głowę, aby uciekać, by schronić się w domu przed grożącym niebezpieczeństwem.

Ale trwało to chwilkę.

Anna nigdy nie odwracała głowy przed jakimkolwiek wypadkiem, chciwa jej wola kazała śmiało czekać.

To też miała być ta, która szczęście daje i odbiera możliwość istnienia.

Naokoło rozsidlala się groza uczuć napiętych, siła kontrastów—dwa bieguny, z których jeden był życiem, drugi szczytem szczęścia.

Należało jeden krok uczynić, by przenieść się w kraj zupełnie nieznan, upajający, a jednocześnie wrażliwy niezmiernie i tak czuły, jak przedza pajęcza.

I jak sieć pająka umiał krępować ruchy i czekać kazał na mocny, śmiertelny kleszcz właściciela.

Ale jaka kobieta umie się cofnąć przed groźnym krokiem, kiedy poczuła jego moc magnetyczną.

Która z nich nie chce, bodaj kosztem siebie, wejść w dziedzinę obce.

Anna drżała na samą myśl o nowem uczuciu i nieświadomie już się na nie zdecydowała.

Niepokój ostateczny gotów był obrać drogę niebezpieczną.

A głos niedozwolony przemówił.

— Co mnie krępuje — myślała — wszak wolną jestem i niczem niezwiązaną. Największa miłość odjąć nie może woli samodzielnej.

Te słowa były już zarodkiem buntu przeciw swojej naturze, przeciw swoim koniecznościom, wreszcie przeciw więzom, które nakłada wszystko silne i potężne.

Nim się Anna spostrzegła, jak daleko wykroczyła myślą, poza przez siebie nakreślone granice, było zbyt późno, ażeby się cofać.

Coś szło się mścić za wielkie już raz zdobyte szczęście.

Coś niszczycielską ręką rozrzucało jasne, wylaniające się skutki i wnioski i sięgało po „obce“, przez instynkt pchane nieznany.

Z D R A D A.

Minął wrzesień.

Siła lata słabła, a z jej łona wypłynął pierwszy wiew jesieni. Zwarzył najczulsze liście i przypruszył nimi ścieżki lesiste.

Chodzili po nich Piotr i Anna i radzi byli, że już smutek czuli w naturze.

Cały dzień prawie błakali się po lasach, polach i zagajnikach, nad brzegami urwistymi rzek i w gęstych zaroślach wiklin i wierzb.

Opowiadali sobie szczerze o swoich planach i nadziejach.

Zdawało im się, że czytają książki o sobie, w których były rozdziały silne i wzniosłe, lub też przewlekle i nader nużące.

Anna była cichą i równą. Tylko od czasu do czasu dziwnie mrużyła oczy i na ustach jej osiadał niby uśmiech, niby smutek—pewien dziwaczny grymas spętanego bólu.

Piotr, który znał znaczenie każdego wyrazu, spostrzegł natychmiast tę nową przemianę. Z początku na-

wet nie pytał o powody, ale niemałe było zdziwienie jego, że, gdy napomknął o tem, gęsty, szkarłatny rumieniec oblał jej twarz, aż po korzenie włosów.

Anna nigdy się nie czerwieniła, a tak gwałtowna zmiana, zastanowiła Piotra poważnie.

Wogóle w zachowaniu jej zauważył pewien niepokój i cień niepewności.

Anna często teraz urywała zdania pośrodku, co nigdy przedtem jej się nie zdarzało.

Piotr był przenikliwy, odnajdywał powody jej smutków, ale teraz nie śmiał jej posądzać o to, co się powoli prawdziwem stawało.

Karcił się na samą myśl podobną i gotów był sam uwierzyć pierwszej w szaleństwo własne, niżeli w zmianę uczuć Anny.

Cenił ją i nie chciał dopuścić ewentualności, że tracić mógł to, co tak wielce kochał.

I wydawało mu się owo przypuszczenie bezpodstawne, gdyż Anna dawała mu tak wiele radości i szczęścia, miała dla niego jeszcze tyle wciąż nowego czaru, który kwitł jak kwiat tytoniu każdej nocy, każdego wieczoru, że podejrzliwość wydawać się mogła tylko trucizną.

Nie zastanawiał się Piotr, że ból wielki i tęsknota paląca czyniły jej piękno jasnym i głębokiem, że ów ból trawiący cyzelował i wysubtelniał rysy, ciało i ducha, że walka, pełna ostateczności, pełna zwycięstw i przegranych, kształtowała w tak niebywały sposób głębię tragiczną kobiety.

Nie zastanawiało go, że ów zarodek cierpienia, który spostrzegł w jej ruchu brwi i lekkim ust uśmie-

chu, teraz dopiero otrzymał korzenie i żyć samodzielnie zaczynał.

Teraz wpił się w serce i rządził, a z każdym dniem stawał się coraz bezpośredniejszym władcą jej osoby.

Jakże wielką przejąłby on grozą Piotra, gdyby domyśleć się pozwolił, że nie sam Piotr był przyczyną jej zmian terażniejszych, że nie był bodźcem do nowych pomysłów.

Lecz odpychał wszelkie podejrzenia, zabijał je w samym łonie powątpiewań, a całą winę zwał na siebie wyłącznie.

Truło go jednak, że tworzyło się między nim a Anną mimowoli coś nieznanego, że rosła groźna ściana z każdym dniem, by zwalić się całym ciężarem na gmachy uczuć.

A był zbyt prosty, zbyt uczciwy, by stanąć z pewnością siebie w poprzek owej drogi niszczyielskiej, nie mając na to danych.

Zresztą jeśliby wspomniał Annie o trapiących myślach, o obowiązku, lub konieczności wypadków, byłyby tem samem dał jej oręż przeciw sobie.

To, że Piotr zachowywał godność, że omijał, bo daj drażliwe zaranie biegu wydarzeń, było najsilniejszym łańcuchem, który skuwał go z Anną.

Anna czuła, że Piotr nie zna jej dążeń i to ją obezwładniało, to jej odbierało siły i kazało opierać się chęciom.

Rozumiała, że przesuwają się różne myśli przed jego oczyma i że nie dawał im wiary...

Pojmowała, że Piotr nie chciał wierzyć rzeczywistości.

Były chwile, kiedy pragnęła widzieć w nim jakiś niski rys podstępny, w imię którego mogłaby się wyprzeć uczuć wdzięczności.

Lecz Piotr czuwał nad sobą i męskim instynktem wiedziony, czuł, że jest bacznie strzeżony i że musi być w oczach kobiety godnym i silnym.

Ale podobne udzielanie się tało w sobie pewne ciągle napięcie i niszczyło wzajemnie nerwy.

To też raz, kiedy szli lasem, Piotr poraz pierwszy przemówił w tej sprawie.

— Przyznam się szczerze — zaczął obojętnie, maskując własne uczucia — że od pewnego czasu bardzo wielka zaszła zmiana. Spokój, który, zdawało mi się, wraz z tobą przybył do mnie, zmienił się w pewną gorączkową chęć poszukiwań.

Szukam powodów i te, które mi dają znać o sobie, odrzucam, bo trudno, trudno mi w nie uwierzyć. Zresztą są one bezmyślnymi bredniami mojego mózgu.

W rzeczy samej, co tkwi obecnie w twojej prostej duszy, co nie pozwala dalej rozwijać się chęciom wybuchającym?

Anno, pytam się ciebie, może ty wiesz o tem, może to się da usunąć?

Może jestto głupstwo, szczegół, albo rzecz ważna, która przy świadomości zobopólnej radosną stać się może.

W imię całej miłości ku tobie, proszę cię, nie utrudniaj, nie wikłaj szczęścia, bo zgubisz w niem istotę prawości i siebie.

Przy ostatnich słowach ujął dłoń Anny i uniósł ją do ust swoich.

Anna nie patrzyła mu w oczy, czuła, że ją ktoś

związał, skrępował, że uczynił to mądrze, ujawszy jej prawo wolności.

— Hm — odrzekła wreszcie stłumionym głosem — spokój? tego we mnie niema obecnie.

Sama jestem zaniepokojona. Czemu? Nie wiem doprawdy.

A cóż, jeślibym nawet starała się odgadnąć przychyny, cóż, jeślibym je nawet mogła wyjaśnić.

Nie pomogłyby niczyje słowa, niczyj czyn.

— Czy pewną tego jesteś — nieco groźnie zapytał Piotr.

— Pewną—brzmiała odpowiedź, prosta i stanowcza.

— Rzecz ta, znaczy, nie da się niczem usunąć?

— Nie da się niczem usunąć—powtórzyła nieświadomie dla siebie samej, cicho, powolnie.

Piotr ścisnął dłoń Anny i nalegająco znowu zapytał:

— Czy tyczy się człowieka?

Anna, którą porywczy ruch Piotra zbudził z zadumy marzycielskiej, otrzeźwiała nagle.

— Nie, nie, nie tyczy się żadnego człowieka—skłamała raz pierwszy, a po chwili dumnie zaczęła.

— Bierzesz mnie na egzamin?

— Egzamin — gorzko zaśmiał się Piotr — egzamin, na który ciągle siebie wystawiam... Egzamin, na którym jestem pytającym i pytanym w jednej osobie. Trudny egzamin!

— Tracisz do mnie zaufanie—odrzekła znowu, wyprobowując jego wiarę.

Piotr spojrział jej w oczy i długo wzroku nie spuszczał.

Anna wytrzymała jego spojrzenie.

— Zaufanie — rzekł z zastanowieniem, akcentując

to słowo — zaufanie to tkwi we mnie i wierzaj, że z chwilą, kiedyby umarło, skończyłoby się nasze wspólne życie, a dzień jego utraty, byłby dniem pierwszym mojej odwiecznej samotni.

— I niczem więcej?—spytała, sądząc, że zbyt mało ocenia jej miłość.

— I niczem więcej—odrzekł, całując jej usta.

Więcej już o tej sprawie nigdy nie mówili.

Wieczorem tegoż dnia, zauważyli, że Jan wykazuje dziwne podniecenie.

Był ożywiony, błyskał czasem dowcipem, a w końcu szczerść jego doszła do tego stopnia, że obiecał przeczytać część swojego dzieła.

Nigdy dotychczas nie był czynił tego.

To też z niemałym spotkał się projekt jego zdziwieniem.

Ożywił on nawet Piotra, który zmęczony ciągłą walką utajoną, stracił już swoją równość i ekspresję.

Anna nie ujawniała swoich chęci, aczkolwiek silniej pragnęła słuchać wynurzeń Jana, niżli brat jego.

Uważała, że w chwili obecnej, byle ruch, byle słowo może ją zdradzić i że należy powściągnąć się bodaj, niżli dać upust szczerści.

Nie wiedziała zresztą, że to, co się zbliża, jest uwerturą szeroką i kategoryczną do jądra czynu nowego.

Nie domyślała się wcale, jaka moc tkwić może w słowach twórczych, wypowiedzianych przez samego artystę, jaka siła pociągająca jest w uśmierzonem roznamiętnieniu—w fanatyzmie samotnym!

Ale wiedziała to jedno tylko, że musi wysłuchać

nowej męskiej treści i że pociągnie ją ona za rękę i pchnie w najbardziej niebezpieczną otchłań uczucia.

A na tę myśl samą silniej serce w niej zabiło i niespokojnie szemrała krew w żyłach i arteriach.

Rwać się coś poczynało z łańcuchów wierności i zburzyć chciało naraz, z całą nieobliczalnością, już osiągnięte.

Kiedy Jan siadł przy stoliku z zeszytem w rękę, nastąpiła chwila martwej, groźnej, beznamietnej ciszy.

Była ona męcząca, jak noc bezsenna, okrutna, jak pająk, znęcający się nad ofiarą i trwożliwa jednocześnie, jak skrytobójca.

Nim lektor otworzył foliał, spojrział raz jeszcze przed siebie.

Mimowolnie wzrok jego padł na Annę, prześlizgnął się po jej ciele, zatrzymał się w oczach i został spłoszony ruchem.

Jan drgnął cały i zbladł nagle, jak płótno. Oczy tylko wybuchły niespokojnie pożarem wielkim i usta spłonęły w ogniu.

Mimowoli chwycił się za czoło i ścisnął je dłonią.

W głowie jego zmącił się odwieczny porządek myśli.

Widok Anny z bladą twarzą, jakby przez nagłe wstrząśnienie wzruszoną, z oczyma, w których czytał wyraźnie, że winien, że winien... brać, kraść i bodaj dopuścić się zdrady—zbił go z dawnej drogi.

Piotr zaś siedział na uboczu i bacznie śledził wszystko.

Groźny niepokój udzielił się i jemu, ale nie wzywał jeszcze do gwałtownej obrony własnego szczęścia,

nie wołał, że czas najwyższy osłaniać się przed burzą wydarzeń.

Jan zaczął czytać:

— „Nie umiem żyć — brzmiały najpierwsze słowa — nie dano mi zdolności, które każdy człowiek posiada, które otrzymuje, byle zwierzę.

Zdaje mi się, że mi brak instynktów, że wraz z nimi wydarto ze mnie możebność czynu.

Zastanawiałem się nieraz nad zagadkowością słów moich pierwszych, nad pewną tajemnicą misterną, która się mieści w nieumiejętności życia.

Bo wszak dziecko najmłodsze rwie się ku niemu i w miarę sił rządzi się instynktem przemyślnym, owad, bakteria, wszystko to wie, po co istnieje i jak ma żyć.

Wszelkie badanie wykazuje i stwierdza pewne niezbite, nieubłagane prawo, w imię którego zabijać wolno słabszych bezkarnie, nie będąc mordercą, truć podstępnie silniejszych, jeśli to możebne, byleby chłonać i zagarniać, byleby żyć i przetwarzać.

To zasadnicze prawo egzystencji jest mi obce, przewyższa ono wszystkie moje siły, ujęte razem.

Nie zdolny jestem bez zgrozy patrzeć na wszelką funkcję istnienia.

Każda z nich jest jaskrawą, zapamiętałą i logiczną w swoim okrucieństwie, wszystko zaś inne, jest tylko jej fałszywym wyrazem.

Rzeźnik przyzwyczajają się do swego rzemiosła i wytwarza ono nawet w nim pewne rysy specyficzne. Daje mu ono nawet pewną satysfakcję. Ja nie mogę przywyknąć do jakiegokolwiek ustalonego porządku, skoro tylko mieści on w sobie odziedziczoną i bezgra-

niczną miłość ku wszystkiemu, co mu służy do wzmożenia sił jego żywotnych, a co męczy i zabija.

Pająk, wampir — te dwa stworzenia napełniają mnie zgrozą i strachem panicznym, a w pojęciu mojem, o istotnej zdolności życiowej, tkwią one właśnie w trakcie najbrutalniejszych przejawów.

Byłbym słabym psychologiem, jeślibym nie czuł, nie widział pająka w każdym człowieku, który chce szczerze żyć, jeślibym nie widział, jak wchłonąć pragnie wszystko, co mu ducha wzbogacić może.

„Cel uświęca środki“ — to jest dewiza, która rozbija najwrażliwszego, która tłumi zaranie buntownicze ideologa.

Bo, rzeczywiście, jeśli ów duch płodny, który wchłonął w siebie istoty słabsze dał ich kwintesencję silną i skupioną, jeśli związał je nitką żelazną mózgu — jest godny potępienia?

Czyż można potępiać to, co wzięwszy początek ze źródła, wylewa ujściem wspaniałem.

A jednak badanie, analiza subtelna, która śledzić będzie, jak ów duch doszedł do celu i czem się żywił — zmniejszy bezwzględnie wartość jego dzieła, wykaże, że jego własna częśćka jest tylko kroplą nową w morzu tradycji przeszłych.

Oto ja jestem tym, który pojąć chce geniusza i zmniejszyć go we własnych oczach pragnie.

Ja jestem tym, który ściąga z piedestałów bóstwa narodu i je w zwykłe ubranie odziewa.

Ja jestem tym, który przeszłość bada, który największe do zwykłego sprowadzić pragnie.

Bo tylko tą drogą istotne poznaję pierwiastki najwyższych wysiłków, tylko tą drogą odnajduję pragnie-

nia ludzi wybranych i wnikać w ich początki i w ich wyraz ostateczny.

To jest wreszcie droga wszelkiego badania.

Największy prostak najwięcej się dziwi, gdy widzi nowy wynalazek, człowiek zaś, który zna jego mechanizm i cechy, uważa go za rzecz naturalną.

Ja znam mechanizm ducha jednostki i jej cechy indywidualne, nic więc dziwnego, że mnie nic nie olśniewa.

Poznałem dzięki temu, że rozkładałem wszystko, ale dzięki temu, również sam jako twórczy, nigdy nie wystąpię.

Istotna twórczość zobowiązuje przewidywanie osobiste do milczenia.

Musi wciąż postępować naprzód, nie patrząc wstecz nigdy.

Zresztą i w niej, jak w życiu, dominują pierwiastki zachłanne, stanowcze, kategoryczne.

Kto bowiem przedtem, nim co dać może, już je krytykuje, nie jest prawdziwie płodny.

Taki sąd nad sobą samym wydaję.

Zdawałoby się, że wyzbywszy się twórczej pracy i zdolności do jakiegokolwiek czynu, nie mogą, na nic czekać, niczego się spodziewać.

A przecież jeśliby tak być miało, dawnobym na kartę wszystko postawił.

To, że jestem, że czuję, że rozumię w chwili obecnej, każe myśleć inaczej.

Otóż ja właśnie oczekuję, ja, napozór wyschły człowiek, czekam na silną falę, która zniweczyć mnie zdoła, lub odrodzić może.

Nie dbam, kiedy to nastąpi, zbyt pewny jestem bowiem, że nastąpić musi.

To co przeszło, nauczyło mnie cierpliwie czekać.

A czem ono było, jak długo trwało, jakie ślady zostawiło, nie chcę myśleć o tem, gdyż było ono wstępem do tego, co czeka na mnie, co może wzywało mnie nieraz, ale zbyt wcześnie.

Ileż bowiem przejść trzeba, ażeby z całą pewnością powiedziałem „już czas“.

A te słowa znaczą, że czas na najsilniejsze bodźce, na najpotężniejsze wysiłki, że ten dzień, że ten okres jest maksimum energii, że od chwili jego końca będzie upadek i niemoc.

Trzeba znać szczyt swoich sił, trzeba baczyć, by nie przeoczyć swojej własnej istoty w jej pełnym rozkwicie.

A rozumiejąc, że na skupienie ludzkiej treści czeka się lata całe, że, żeby nastąpić mogło okamgnienie treściwe, mijają nudne, powolne szeregi dni, wówczas tylko ocenić można należycie i najszczerzej chwilę najwyższą.

A chcieć jej nie dać woli—jest równem samobójstwu.

I oto ten czas na mnie nadszedł teraz, kiedy przez własne zgliszcza, przez upadek wstałem nanowo, kiedy ze stosu niszczycielskiego nie uratowałem nic, a z jego popiołów nie miałem strawy dla ducha — a jednak wstałem nanowol!

Jak się to stało, że pewnego poranku, poczułem nową chęć, nową myśl w sobie, sam nie wiem.

A tkwi nowy duch we mnie, jak ciężki głąz i czeka wyzwolenia.

Spętały go wyczulone nerwy, a przezorność nie daje mu powstać w rozmachu.

Czeka jaźń ma zapomnienia.

Czeka na dzień wielkiej przemiany.

Jest ona dumną i ofiarną, gotowa bodaj w dzień wyzwolenia życiem swem płacić.

Taki w niej tkwi fanatyzm ogromny i wiara niezniszczalna.

Taką się niezłomną wydaje.

A jednak mimo uporu, z jakim się rozwija, nie daje żadnych kategorycznych rozkazów, żadnych instrukcyi.

Czeka.

Nie znaczy jednak, żebym był bierny w obecnym okresie.

Szukanie, odnajdywanie w sobie i w innych różnych cech, grupowanie i usystematyzowanie różnorodnych porywów, wypełniają mi czas i uwalniają od jarzma wiecznego cierpienia.

Wreszcie dają mi możność zorientowania się we własnych postępkach i zmianach.

Bynajmniej jednak nigdy nie usypia we mnie zmysł samokrytyczności.

Wciąż czuwam, bym nie popadł w pewien rodzaj afekciarstwa, do którego ludzie napozór spokojni nawet są zdolni.

Staram się utrzymać równowagę myśli i być obiektywnym względem samego siebie“.

* * *

Podczas czytania owych ostatnich stron swego dzieła Jan wciąż bardziej natchnionemi przemawiał słowami, coraz gorętszą była jego mowa, coraz bardziej budzącą dreszcz skryty i przenikliwy w łonie czułej duszy.

Piotr słuchał uważnie, nie dał się jednak porwać treścią brata, szukał w niej czegoś już dawno znanego, czego zapomnieć nie mógł i co jako ślad niezatarty w życiu pozostało.

Przyłożył dłoń do czoła, jakoby to miało mu pomóc odgadnąć ważną zagadkę. Wreszcie natrafił na ślad.

...— Johann Hoff... Johann Hoff—powtarzał w myśli, uradowany, że schwycił wątek zagadki. Wszak to, co słyszę teraz, jest jego pomysłem.

Zdawało mi się, że ja w pewnym okresie wszystko wydobył z nauki Hoffa, że wessał wszystko, co było tam do użytku.

A oto Jan misternie stworzył z książki „Ueber Kraft“ apologię słabości.

Gdzie się jednak mieści początek tak błędnych, a pociągających rozumowań?

Muszę spruć nitkę, którą się szyje zręcznie, ale niedbale.

Muszę wykazać, że jedynie moc i wola są wszechźródłem wiedzy.

I rzekł na głos:

— Kiedy słuchałem ciebie, od pierwszej chwili uderzyło mnie, że system podobny znałem, że nawet sam pod jego wpływem się znajdowałem.

Otóż wiem i nareszcie, po dłuższym namyśle, zrozumiałem, że przecież nikt inny, tylko Johann Hoff — jest twórcą twojej idei!

— Johann Hoff—przerwał gwałtownie Jan—autor

książki „Ueber Kraft“ jest twórcą mojej idei?! Posądzasz mnie o plagiat—dodał drżącym od tremy głosem i zbladł, jak kreda.

A po chwili, opanowawszy się i spojrzawszy na Annę, rzekł dalej:

— Może, gdym czytał dzieło twego przyjaciela w pierwszym okresie, byłem niem ujarzmiony.

Było mi ono blizkie przez to właśnie, że powstała w niem siła, jako coś bardzo subtelnego, bodaj słabego.

Jest w niej coś z absurdu, ale i coś z wielkiej prawdy. Albowiem ta zawsze absurdem być musi.

I widzisz, że po dłuższem własnem poszukiwaniu, uświadomiłem sobie, ile mogę wziąć z książki Hoffa.

I pracowałem wówczas gorączkowo i w podnieceniu, aż do chwili, kiedym się poczuł dalszym ciągiem Johanna.

I dziś tem właśnie jestem.

Johann Hoff zginął z własnej woli, przez największą pustkę trapiiony i przez największe nękany aspiracye, ja zginąć mogę przez najwyższe szczęście jedynie, przez błyskawicę, która olśni naraz całe moje życie i w nie uderzy.

Sam bym nie dał wiary, że ludzie tacy, jak Hoff mogą mieć swój ciąg dalszy, że mogą przechodzić z pokolenia w pokolenie, modyfikując się najróżnorodniej.

I kto wie, może ów iście nowy człowiek, właśnie od niego weźmie swój początek. Może siła, która dziś jeszcze jest pierwotnym instynktem, wytworzy się w przyszłości z gruzów wyrafinowania i przesubtelnienia.

Czuję, że jestem jednym z tych przejściowych ludzi, za którymi widać zaranie, a przed nimi we mgle spozrzedz się daje pewna ostateczność.

Wyraźnie spostrzegam ogniwa, z których wyłonił się łańcuch mego istnienia i widzę na ile on może się „moim własnym“ nazywać.

Ile jest mego w tem, co powiedziałem — wiem o tem dobrze.

A tkwi ono przede wszystkim w tem, że jako jednostka, która zrozumiała małość wysiłków i nikłość własną, w szeregach dziesiątków lat, chcę jednak powstać, chcę dawać!

Zduśliłem w sobie paraliżujące nici racjonalizmu.

A stało się to wówczas, gdy dobrze wniknął w książkę twego przyjaciela.

On wszakże, przeszedłszy całą mękę wątpliwości, on—natura uzdolniona wszechstronnie, każe obcinać skrzydła polotu, ścieśniać się w ramach specjalności i iść żołnierskim marszem naprzód...

Kto zrozumiał te właśnie słowa — może kwintesencję książki?!

Kto pojął, ile przecierpieć trzeba przez największe i najszersze pomysły, żeby chcieć zrzucić ze siebie wszystko wzniesłe dobrowolnie, żeby za własną zgodą nałożyć na ręce swoje kajdany i chcieć się sprowadzić bodaj do minimum oryginalności.

Jakże mi zrozumiałą jest ta chęć ostateczna, by zerwać ze siebie istotę artysty i chcieć być bodaj mąszyną, bodaj rzemieślnikiem, który widzi i przewiduje twór swojej pracy.

Bo sztuka męczy swoją niepewnością. Dziś daje suto, jutro może wyschnąć, a jeśli nie jutro, to za rok, za lat dziesięć bodaj.

Sztuka trzyma w szachu życie. Ona to, nie obiecując nic, zabiera wszystko.

I dlatego właśnie Johann Hoff poeta—Johann Hoff filozof i matematyk, chce za wszelką cenę, być tylko statystą, być tylko obserwatorem, konstatującym fakty.

Kto nie rozumie lekkiej wyrefinowanej ironii, wykazanej sztuce, życiu i wszystkiemu, co jakkolwiek formę przybiera.

Tu mieści się pewien uśmiech zjadliwy dla pracy twórczej, która jest jedynie słabem odbiciem koncepcji mózgowej.

Tutaj zużytem jest źródło destrukcji pod pozorem pewnej racjonalnej pracy specjalnej.

Johann Hoff umie przesiedzieć szereg godzin nad jednym słowem. Będzie go zmieniał, szukał, będzie dłubał każdą literkę, a w tym samym czasie będzie w nim tkwiło dziesięć najszerzych pomysłów z innej dziedziny.

Johann Hoff może zamknąć zeszyt swej pracy nie dlatego, że się wyczerpał, lecz, że zbyt wielostronnie chce się wypowiedzieć jednocześnie w kilku dziedzinach.

I on wskazuje specjalność, on, chcąc ulżyć jemu podobnym, każe wtłoczyć się w ciasne poglądy, w suchą planowość, która obowiązuje tylko jedynie względem rzeczy łatwych i prostych.

W tem jest Johann Hoff „wczorajszym“ człowiekiem.

Dzisiaj niema już w nas bogactwa, niewykorzystanego materiału.

Eksploracja intelektualna nie pozwala na wewnętrzne życie wszechstronnych talentów.

Wogóle tych ostatnich widzę coraz mniej.

Chciałbym ich w końcu nie widzieć wcale, gdyż to będzie znak pojawienia się po dłuższym milczeniu jednego człowieka, który ogarnie swym mózgiem wszystkie dziedziny sztuki.

To jest człowiek jutra.

I byłbym może nikłym we własnych oczach, gdybym nie czuł, że jestem jednym z tych, którzy się na najwspółczesniejszego składają.

Jestem jednym z tych, którzy przyczyniają się, by powstał prędeż, by przyszedł i reformował.

Johann Hoff jest ogniwem początkowem, ja zaś zakończę łańcuch ewolucyi dawniejszej doby.

Ja schodzę dobrowolnie z widowni. Niknę bez zmartwienia, że imię moje szybko zapomnianem będzie, bez smutku, że nie pozostawiłem syna po sobie.

Niknę z wiarą, że po mnie nadejdą dni świetne, wspaniałe, że byłem jednym z tych, którzy się przyczynili do odrodzenia, aczkolwiek go nie doczekali.

Ale egoizm mój zupełnie cicho zejść mi nie pozwala i każe wierzyć, że to, czem są: sława, bogactwo i powodzenie dla innych, dla mnie się zamknie w szczęściu płomiennem—zwiastunie wiecznego spokoju.

Jan skończył.

Piotr pośpiesznie pożegnał brata i Annę i zamknął się w gabinecie.

Nagła silna chęć pracy zbudziła się w nim.

Nie pamiętał już dnia, kiedy go tak skuła węzłem twórczości.

Jan i Anna pozostali sami.

Przez okna patrzyła się na nich ciemna, pochmurna noc.

A brzmiały w uszach Anny w tej ciszy martwej słowa znamienne, które milczeć już dłużej jej nie pozwalały.

Czuła, że ją wzywa głos samotny z całą szczerością tęsknoty.

To też zrzuciła ze siebie więzy sztuczności.

— Pan czeka na wyzwolenie—rzekła śmiało, czując, że słowo „pan“ jest już komizmem formy.

A w duszy dokończyła: „Przecież nikt inny, tylko ja jestem szczęściem twojem“.

I znowu na głos dodała:

— Zbyt silne, zbyt namiętne są słowa pana, by nie krył się w nich pewien fakt, pewne postanowienie.

— Pewna niedorzeczność — poprawił spokojnie, jednak dobitnie.

— „Kochasz mnie — mówiła Anna do siebie — czujesz mnie całą swoją istotą, każdym fibrem życia. Każde słowo twoje tylko zbliża mnie ku tobie i ogień we mnie rozpala. Wszak ja jestem twoim ostatnim płomieniem, ja jestem jedyną, rozumiejącą najsubtelniejszy dreszcz twojego ducha“.

— Niedorzeczność, o nie — rzekła na głos — jest „ona“ bliższa i możliwsza, niżli się wydaje.

— To wykluczone — zaprzeczył Jan — a nie pojmując, co się stać może — dodał z udaną sztucznością.

— Pragnę zawsze tego, czego mieć nie mogę, a jeślibym nawet chciał urzeczywistnień, musiałbym zdecydować się...

— „Na zdradę“—dokończyła w duszy Anna i szkarłat okrył jej twarz.

To też dodała głośno:

— I czy istnieć mogą przeszkody, nieszlachetności

tam, gdzie się prawdziwie pragnie, czy jest w mocy naszych chęci etyka, lub cokolwiek, co z mózgiem się łączy.

— Tak, ale są pewne absurdy, są pewne... pewne niemożliwości, których konsekwencje przewyższają nasze siły, których odpowiedzialność jest wielka.

— Niema niemożliwości — odpowiedziała Anna, patrząc w oczy Jana z całym zasobem swego temperamentu i uczuć. — Niema zdrady tam, gdzie grają wyzwolenicze siły.

Zamilkła i czekała.

Jan pojął nagle wszystko.

Schwycił ją za rękę, ale nie przyciągał ku sobie.

— Anno, Anno—powtarzał—czy to możliwe. Czyś wszystko pojęła, zrozumiała, czyś we wszystko wniknęła?

— We wszystko—brzmiała spokojna odpowiedź— i w to, co się niemożliwością wydaje, a co jest twojem przeznaczeniem.

I ze śmiechem słodkim, piersiowym, który szczęściem przejął Jana, dodała z zapałami:

— Ja jestem wyzwoleniem twojem, jestem twoim ostatnim płomieniem, ja tkwię w tobie całym, w każdym nerwie twoim i w każdej myśli.

Ja jestem twojem szczęściem ostatecznym i najsilniejszym bodźcem twojego istnienia!

Zrozumiałam to, kiedym rękę twoją raz pierwszy ujęła, kiedym ci w oczy raz pierwszy spojrzała.

Wszystko, co stało się, było po to jedynie, byś mnie spotkał, abym ja cię pojęła, ja ci szczęście dała.

Wolną jestem i nikim nieskrępowaną. Idę tam, gdzie mus mnie woła bezwzględnie i śmiało.

Idę ku tobie i poświęcam wszystko, prócz swojej swobody.

Idę ku tobie i niema siły, któraby mnie wstrzymać mogła.

Tu tkwi punkt najwyższy szczęścia i tragizmu, tu jest moja myśl, moja istota.

— Wyzwolenie, wyzwolenie—powtarzała, patrząc przed siebie i przeczuwając dalsze wypadki—wyzwolenie twoje jest we mnie i moja zguba w tobie.

— Anno, czy chcesz swojej zguby? Anno myśl... myśl, czy warto, byś zginąć dla mnie miała, czy nie przekniesz mnie, który ujdzie z wieczną po tobie tęsknotą. Myśl Anno, myśl teraz.

— Nie chcę myśleć — chcę kochać! Chcę zgubić siebie w tem, co innym da wyzwolenie.

To—moje szczęście, to—moja ofiarność najszczerza. Wzniesić w tobie pomnik nowych uczuć chcę!

— Jestem na progu szczęścia swojego—mówił Jan, trzymając Annę w ramionach — jestem już ogarnięty ogniem niszczycielskim namiętnych pragnień. Anno, błagam cię, myśl teraz, myśl, czy chcesz swojej zguby.

— Chcę, chcę wszystkiego, co miłość moja wywołać jest w stanie. Nie cofam się przed niczem.

— Idź. Chodźmy.

To mówiąc otworzyła drzwi ganku i pociągnęła Jana za sobą.

Szli razem, a kiedy byli daleko od domu, nie obejrzelni się wstecz.

— Tu nieraz byłam — rzekła Anna, trzymając w dłoniach rękę Jana—tu byłam nieraz z tobą i z nim.

Przy ostatniem słowie drgnęła i Jan głowę opuścił.

— Trzeba postępować świadomie—rzekła— trzeba wiedzieć, co się bierze i co się oddaje.

— Trzeba znać siebie i chęci swoje—dorzucił namietnie Jan i chwycił jej głowę w dłonie.

— Trzeba kochać, żyć i tworzyć— cicho wyszeptwała Anna, przypomniawszy sobie słowa Piotra.

— Pragnę ciebie, jak pragnę trzech pierwiastków bytu.

— Widzisz — ciągnął dalej — powinniśmy teraz wszystko obliczyć, przeczuc, tak, jakbyśmy spotykali ostatni dzień życia.

Powinniśmy wyznać sobie wszystko, co w nas tkwi i tkwiło dotychczas, co nas w końcu zmusiło do tego, co jest i stoi przed nami otworem.

Anno, cudną jesteś i czuję to każdym fibrem swego ducha — nagle szepnęła.

Gdy skończył, Anna uśmiechnęła się lekko.

Teraz dopiero smutek wniknął w jej serce—smutek, który następuje u kobiet przed chwilą najsilniejszego uścisku istnienia.

Jan teraz opowiadał, a czynił to szczerze, prosto, bez efektów, tuszując wszelką jaskrawość.

Pochmurna noc jesienna, miękka i pełna różnych tajemniczych pieśni, rozpostarła skrzydła nad pragnącymi.

Słuchali się nawzajem z nieubłaganą koniecznością. Chcieli wypowiedzieć wszystko, czując, że jest dzień miłości dniem przyszłej klęski.

Anna opowiadała całe swoje życie i nie utaiła prawie niczego.

Wstyd, bojaźń, lęk—wszystko to znikło precz, dając pełnomocnictwo prawdziwej szczerości.

Czuła, że znając historię jej życia, człowiek, którego kochała, odda jej wszystko, cokolwiek posiada.

Ale mimo to jeden zakątek ducha został zamknięty dla Jana. To były dzieje Anny i Piotra.

O tem przemilczała.

Jan zaś o nic nie pytał, tylko uzupełniał niejasności swoim domysłem, swoją intuicyą.

Potem dopiero, gdy już się znali, gdy patrząc na siebie widzieli całe przejścia duszy, zrozumieli, jak naturalnem było ich spotkanie i jak koniecznem.

Wówczas pojęli inaczej treść własnej jaźni. Do zobopólnej przenikliwości dostał się jeszcze pierwiastek łączny i wiążący — **tr a g i z m i s t n i e n i a**.

Jeśli instynkt życia był podwaliną miłości Anny i Piotra — teraz tragiczny pierwiastek wykazał moc wielką.

On to im zejść się kazał i zniszczyć byt przyszły dla chwili szczytnej i potężnej.

On roztrzął najidealniejsze cechy duszy ludzkiej, on rozwarł łono prawdy, bez żadnych zastrzeżeń, wreszcie rozpałił powolnie namiętne pragnienia.

Ale nim wyrósł na tle zrozumienia istotny poryw, przebiegł czas, który bogactwem swoim lata przewyższał.

Anna była syntezą wyzwolenia Jana i tak, jak ono, przybierała najróżnorodniejsze postacie, nim wszystko w jednej zamknęła.

Opowiadając, stawiała się tą jaźnią własną, o której mówiła.

Nie ukryła nawet swoich chwil upadku i śmiała się serdecznie na myśl, że ją ktokolwiek może odsądzać od czci i wiary za jej obecny czyn.

Nie było teraz dla Anny wydarzenia, w jej przeszłym życiu, któreby nie miało znaczenia, któreby nie było przygotowaniem do terażniejszej chwili.

Spotkanie Orlicza, opowiadanie Aurory, rozmowa z matką, wszystko to tylko było pieśnią wstępną do owej symfonii, zestroju dwóch dusz, dwóch ciał, o której Piotr wspominał.

Teraz osiągnięta była najgenialniejsza harmonia najtreściwsze pojęcie o sobie w pojęciu obcem.

Teraz „obce“ stało się „swojem“ teraz starły się różnice pochodzeń i wrogość płci, teraz nie było zabójcy i despotyzmu biernego.

Teraz miękka, czuła i subtelna fala upokarzała całe ciało i roznamiętniała krew.

Oczy pragnęły patrzeć, słuch wyteżył się i wszystkie zmysły nieoszołomione pojąć się chciały.

Istota metafizyczna, niepojęta, a rozkoszna i dręcząca, wdarła się w pierś kobiecą.

Oświetliła nagle jasnym płomieniem jakąś drogę szeroką, nieskończenie długą, która urywała się przepaścią urwistą.

I oto biegnie człowiek po drodze owej i zatrzymać się nie może...

A wstecz, gdy spojrzeć, palą się dwie iskry ogniaste i śledzą.

Lśnią się czyjeś dwie źrenice, patrzą na to, co się dzieje, aż w końcu mrużą się zmęczone cierpieniem powolnie, strasznie powolnie.

Wreszcie odwraca się czyjaś głowa, dobrze znana, kiedyś kochana, odwraca się pogardliwie ze wstrętem okrutnym, z nieubłaganą wolą cierpienia.

Niepodobna wrócić wstecz, gdyż czeka tam tylko fałsz, lub męka.

Lepiej więc biedz już do końca po szerokiej, nagle urwanej przepaścią, drodze...

Tak lepiej, lepiej...

* * *

Piotr siedział do późnej nocy i pracował.

Pisał z wielkiem natężeniem, z olbrzymim wysiłkiem twórczym, który mu cały zasób energii odbierał.

Rozpalone czoło i wzrok ogniem płonący ciągle jeszcze chciały więcej siły nadać stronicom dzieła.

Piotr kończył ostatnią pracę swoją.

Olśnił go cały ciąg kart poprzednich, skupił się w jędrnej, mocnej, treściwej istocie i zamknął się kazał w zwięzłym epilogu.

Mózg zbierał fakty i wydarzenia, obdzierał je z ciała, z którego uprzednio skorzystał i łączył same przy czyny w ramę przewodniej idei.

Naginał bieg rzeczy do silnej rozkazującej myśli tak, jako to czynił, gdy rozpacz szarpała mu pierś.

Patrzył śmiało naprzód, a wiedział, co pozostawił za sobą.

Umysł uzbroił się w głowę Meduzy, która rozsidla swe węzowe sploty i zewsząd, nawet z najbardziej odległych oddali chwyta koncepcye.

Pisał.

— „Wszystko, com powiedział w tej książce jest ostatnim wyrazem moich dążeń, chęci i pragnień.

Brak może-li tylko w niej mojej przyszłości całej.

Milczałem o niej, by teraz na ostatniej karcie dać wyjaśnienie.

Kto czytać umie, kto pojmuje, jak wielkim wysiłkiem okupia się każdy krok w chęci pokonania tłumu i mas, ten pojmie, jak niebezpieczną jest przyszłość, która tą drogą się toczy.

Ja chcę i rozkazuję, nie proszę i nie przemawiam.

Ja otwarcie, bez skrytych chęci, wyłaniam się, jako despotyczna wola.

Niema rzeczy względnych.

Chcę piękna i reformacyi wszystkich poglądów i pojęć, wszystkich bez wyjątku!

Wiem, że mam w sobie prawdę jedyną i kategoryczną i chcę ją wcielić w dziesiątki dusz, w dziesiątki ciał.

Ale jak każdy, kto czynem się wstawia, muszę zmuszać, naginać i bodaj deptać, muszę chęci konserwatyzmu zgiać, póki nie staną się, jak łeb wołu uległe.

One to swoją cichą, a ciągle działającą metodą pobudzają ludzi do kłamstw, do wsteczności, do niewytrzymujących krytyki atawizmów, które byle logiczniejszy wyraz zrujnować potrafi.

Wcielenie łagodnej obłudy jest najuporczywszym wrogiem, któremu wojnę wypowiadam.

Mądrość korzyści, wieczna pośredniość i względność w postępowaniu—to są kryminalne przestępstwa, napiętnowania godne.

Większość przeciętności posiada instynkty niepowściągnięte i nieociosane.

Wyraziłby się one mogły bodaj szeroko, jeśliby nie obłudna równowaga prawna, która ujście najżywotniejsze do ścieków sprowadza.

Należy potępić bezwzględnie i kategorycznie, chłostać bez litości i drwić z najwyższą zjadliwością ze wszystkiego, co zdeklarowanej nie daje formy.

Z chaotyczności wyrastają roztargnione jednostki i wichrzyciele prawdy.

Wszystko, co daje się po dwakroć tłumaczyć, jest faryzeuszostwem niegodnem.

Wszystko, co nie jest „tak“ lub „nie“ — jest drogą do upadku.

Natomiast to, co zdecydowanie dąży, bodaj do zguby swego istnienia, co wierzy w wyłączność drogi swojej — jest piękne, choćby zdradliwe, jest silne — choćby noszące nieszczęście, jest godne szacunku — choćby zdolne było złamać jednostkę.

Wiara w siebie — to pierwszy stopień do prawdy.

Śmiałość i zdecydowanie jest stopniem drugim a trzecim jest hart i odwieczna samotność.

Wybaczam tym, którzy wierząc w swoje jedyne powołanie, zadają mi ciosy.

Wybaczam im również niesprawiedliwość i bezwzględność, równie względem siebie, jak względem innych.

Mierzę innych swoją miarą i to jest największą zaletą moją, albowiem do siebie największą miarę przykładam“.

Na tem urwał.

Ostatnie zdania kazały mu się zastanowić poważnie. Czytał je po raz drugi, trzeci i czwarty, wreszcie drgnął cały i zbladł.

Ścisnął czoło rękami, chcąc zabić w mózgu wstręttem przejmującą, rodzącą się myśl.

Rzucił pracę i szybko wyszedł z pokoju. Stał na progu i rozejrzał się.

Światła w całym domu były pogaszone.

Zdała słyhać było gwizdkę nocnego stróża.

Piotr zawołał Annę, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Drzwi jej sypialni były otwarte—zatem nie spała.

Zawołał Jana, ale cisza głucha echem powtórzyła ostatnie wezwanie.

Strach wielki przebiegł przez plecy Piotra i ścisnął skurczem serce.

Okropna myśl tłoczyła się do głowy.

Nic już nie pomagały sztuczne chęci uspokojenia i wytlomaczenia na wspak oczywistości.

— A więc stało się „tak“, więc dzisiaj sądzonem było, by się „tak“ stało, jakem przypuszczać nie chciał—mówił półgłosem ledwo otwierając zsiniałe wargi.

Pierwszy raz od niepamiętnych czasów strach zatrząsł całym ciałem silnego mężczyzny, strach zagasił ogień żrenic płomienistych, wreszcie strach dech zapierał, dusił śmiałe chęci.

Niespokojny szedł Piotr z pokoju do pokoju, tam i napowrót.

Chciał biedz za Anną, wstrzymać i odmienić los i bodaj wybaczyć, bodaj pogrzyźć wszystko w niepamięci.

— Byleby nie zapóźno, byleby nie zapóźno tylko—szeptał do siebie.

Ale dokąd iść. Gdzie szukać i poco?

Czyż poto, by na własne oczy zobaczyć czyn, na myśl o którym wstręt ogarniał ciało.

Jakże cierpiał Piotr, że nic nie mógł zaradzić, że

nie mógł czynić jak chciał, że wówczas, gdy dojrzała w Annie myśl śmiała, on słuchał Jana.

Jakże był nieprzenikliwy, skoro mógł ich razem zostawić.

Jakże był idyotycznie pewny siebie.

Szalony ból szarpał serce w kawały, rwał całą siłę uczucia, z cynizmem drwił z najbardziej stanowczych zamiarów.

W okamgnieniu rozwalił cały gmach wielkiej przyszłości.

Ruinę uczynił z kwitnących, płodnych ogrójców ducha.

Spalił w bezlitosnym spazmie cierpienia ostatnią jego nadzieję.

Czarne plamy zamajaczyły przed oczyma.

Ciemność wdzierала się wewnątrz, gasiła upalny dzień istoty męskiej.

Chłodny mrok wstąpił i owił swoim ramieniem gorące chęci.

Jękły zimnem zmrożone szczerze namiętności.

Konały pod nogami nowego najeźdźcy, zdradliwego tyrana dusz.

Teraz nie było odwrotu.

Słowa Anny, które mówiła ostatnimi czasy, nabrały znaczenia i upewniały w oczywistości wypadku.

A był on nieruchomy jak głaz i „niczem nie dał się usunąć“.

Szyderstwem śmiał się los, wykpiwał wiarę w jakąkolwiek stałość.

Wszystko straciło równowagę, chwiało się, lub zupełnie padało, rozlatując się w strzępy.

Jarzmo cięższe ścisnęło głowę i ugięło dumę sprężystą.

Wszystko, czego nie mógł dokonać czas, ani sama nawet kobieta, dokonał fakt jej utraty.

Pojął Piotr, że stracił Annę na zawsze.

Zbyt dobrze znał ją, zbyt dobrze rozumiał nawet jej stan obecny, by nie przewidywać dalszego ciągu.

Nie czuł do niej nienawiści, odwrotnie, kochał ją jeszcze stokroć silniej, stokroć namiętniej.

Całą nienawiść żywiołową przelał na Jana, ale go nie zaszczycił nawet myślą przelotną.

Zginął dlań ów człowiek, którego nie chciał już bratem nazywać.

Groza najsilniejszego napięcia tęsknoty łamała męzną postać Piotra.

Giął się pod ciężarem brzemienia nieszczęścia.

On, który przed niczem chylić czoła nie chciał, teraz, zgięty w pałąk, ulegał swemu przeznaczeniu.

Już nie mogło ono być bardziej mściwem.

Już nie mógł wróg zacięty i silny wymyśleć okropniejszego poniżenia, aniżeli Anna mu zgotowała.

— Anno — mówił do siebie — Anno, wszak uczyniłaś swój krok bez namysłu, wszak sama dałaś się otoczyć przez wrogie myśli. Czyś nie pojęła tego.

Anno, ty sama zagnać się dałaś w pułapkę i zginąć w niej już musisz.

Jakże straszną jest wiara moja, że zginąć musisz, że niema dla ciebie ratunku.

Ale inaczej wszak być już nie może.

A choćbym ci nawet wybaczył, nic już odmienić nie mogę.

Szarpie mnie, szarpie moja niemoc i niemożliwość skutecznej pomocy.

Kto złamał w tobie pancerz mojego uczucia, kto śmiał wtargnąć w ducha twego!?

Kto zniszczył „mnie“ w tobie i jak to mógł uczynić!?

Anno, ty już mi nigdy na to nie odpowiesz, a słyszeć jednak musisz moje ostatnie pytania!

Anno słuchaj i wyteż słuch!

Pytam się ciebie, jakto stać się mogło, żem stracił naraz wszystko.

Czuje, że już nieodwołalnie opuściłaś mnie.

I choćbym ci niebo przyciągnąć pragnął, wiem, że nie wrócisz do mnie.

Dumną zawsze byłaś.

...A może, może kiedy ci te ostatnie słowa poświęcam, ty giniesz, giniesz na zawsze.

Anno usłysz moje ostatnie słowo.

Anno — żyj!

W imię życia twego poświęcam i szczęście i jasność swoich dni.

Tylko... tylko słuchaj i wyteż słuch.

Ostatni raz wzywam cię!

Anno — żyj!

MGŁY I UROCZYSKA.

Anna została sama.

Siedziała na pniu zrąbanego dębu i czekała, aż Jan wróci.

Poszedł do najbliższej chałupy zamówić konie, lub wziąć chłopa, by drogę wskazał.

Zabłądzili.

Byli między dziewiczą knieją, otoczeni moczarami, z których wydostać się nie mogli.

Wszędzie, gdzie było spojrzeć, trzciny zwartą ścianą okalały kwitnące bagniska i odwieczne drzewa strzegły tajemnic puszczy.

Anna była ogromnie zmęczona. Nie chciała chodzić daremnie i brnąć w uroczyskach.

Była spragniona chwili odpoczynku.

Usiadła na trawą porośniętym wzniesieniu i czekała.

Chciała czekać i o niczem nie myśleć, nic nie podejmować.

Zgodziłaby się w bezczynności całą wieczność przetrwać.

Ale już wówczas, gdy patrzyła w ślad uchodzącego Jana, jakiś dreszcz ją straszny przejął.

Śledziła bacznie jego szczupłą postać i wreszcie usta jej wykrzywiły się w uśmiechu wzgardliwym.

Sama kazała mu iść szukać wybawienia, sama kategorycznie zaprzeczyła, gdy chciał z nią razem szukać wyjścia z matni, a teraz gdy się oddalał, czuła, że z każdym krokiem jego dalszym, nienawidzi go silniej za to, że ją opuścił, że ją samą zgodził się, choćby na chwilę, zostawić.

Myśl ohydna błysnęła w jej mózgu i rozpałała za-
stępy podejrzeń.

-- On nie wróci — pomyślała i oczy jej się zamglily.

I mimo, że starała się zagłuszyć w sobie tę myśl kłamliwą, ciągle nawiedzała ją ona z coraz większą siłą.

A gdy wspomniała chudą sylwetę niknącą z oczu, zdawało jej się, że postać owa była śmieszna, komiczną, że prócz litości nie wzbudza niczego.

Napróżno starała się wskrzesić najwyższy stan ducha Jana, jego najmędrsze słowa, najgorętsze zapewnienia.

Z nich wszystkich, jak z gruzów ruiny, wyłaniała się zmęczona istota uchodząca, niknąca w oddali.

— „Trzeba postępować świadomie, trzeba wiedzieć, co się bierze i co się oddaje“ — wspominała Anna swe słowa z tajonym spazmem w piersi.

I czyż ona była tą, która tak na zimno wybierała, która wiedziała, że bierze więcej, niżeli oddaje?

Czyż ona była zdolną nawet do takiego osądzania sprawy.

A może, działała tylko pod wpływem chwili, pod wpływem wielkiego współczucia.

Anna odpychała te myśli zdradliwe, wmawiała sobie, że już od dłuższego czasu zdecydowała się na czyn stanowczy, że nie uczyniwszy go, byłaby ginęła z tęsknoty, tak jak teraz ginie z rozpaczy wielkiej.

A najgorszym, najbardziej niemiłosiernym był uśmiech losu, który kpiąc, powtarzał słowa mądre, powściągliwe, a tak sprzeczne z temperamentem Anny.

— A więc nie wolno pozwalać sobie na wszystko, choćby ono miało być szczęściem i koniecznością.

A więc te kobiety, które kłamią w miłości, okazują się przykładnymi?!... Co za wstręt, co za wyrażona obłuda rządzi światem zmysłów — powtarzała szeptem, patrząc beznadziejnym wzrokiem przed siebie.

I nagle spostrzegła pustkę słów swoich, nagle zrozumiała, że prawdziwe jej silne uczucie, było gdzieś indziej.

Piotr wyłonił się z myśli mglistych, w które ometał ją Jan.

Piotr rozdzierał tajemniczość chmurną i beznamiętną.

On to wreszcie włamał się znowu w piersi i dosięgnął serca.

Krwawa łuna rozlila się na twarzy Anny, straszny, wstrząsający dreszcz zatrząsał jej ciałem.

Pojęła omyłkę. Zrozumiała błąd, za który drogo płacić należało, a którego wymazać nie można.

Choćby nawet miała mieć wszystko wybaczone, choćby nigdy jej nikt nie napomknął o tem,—wszystko to było niczem, albowiem we krwi Anny płynął niepewny pierwiastek Jana.

Już rozpanoszył się tragizm zawikłany i zmagał się zajadle z silnym Piotra duchem.

Dwoje ludzi walczyło w jednej kobiecie.

Dwa bieguny wypowiadały sobie walkę na śmierć, lub życie.

Ale silniejszym był ten, który ostatni wtargnął — kochanym zaś ów, który dał podwalinę bytu nowego.

Słabszy człowiek pętał teraz każdy poryw nowy, wypijał zeń krew, odbierał mu życie.

Zdawało się Annie, że mogłaby zdobyć się jeszcze na coś, gdyby nie to, że ją mgłą jakąś otoczyli, że była między uroczyskami, bez wyjścia!.. bez wyjścia.

I naraz drgnęła cała i uśmiechnęła się najcudniejszym duszy uśmiechem.

Zdawało jej się, że ją Piotr wzywa.

Wyteżyła słuch, wstrzymała dech.

Z falami ożywczego wiatru płynęły słowa.

Głos dzielny, śmiały, złamany bólem, wzywał ją.

Szarpał się duch kochany i rwał się ku niej jak burza, a w bezradności swojej konał, trapiiony grozą tęsknoty.

Anna wyciągnęła szyję i głowę naprzód podała, jakoby zasłuchana w słów najdroższych drganie, jakoby zakochana w cierpieniu miłości.

— Słucham cię, słucham spragniona — powtarzała miękkiem, aksamitnym głosem — słyszę twoje ostatnie wezwanie!

I naraz potem ktoś jej uszy zatknąć kazał, ktoś jej owego rzekomego głosu słyszeć nie dawał.

Ktoś stanął w poprzek drogi szerokiej, ginącej w otchłani.

Anna porwała się z miejsca. Dumnie odrzuciła głowę i ruszyła naprzód.

Dokąd? wszystko było jedno, wszędzie widziała drogę szeroką, nieskończenie długą, „a wstecz gdy spojrzeć, palą się dwie iskry ogniste i śledzą, lśnią się czyjeś źrenice, patrzą na to, co się stało, aż w końcu mrużą się zmęczone cierpieniem powolnie, strasznie powolnie“.

Zgasły.

I umarło już coś w duszy kobiecej Anny, coś ważnego, bez czego żyć trudno — wiara w prawdę swoją.

Szła teraz Anna brnąc w bagnisku, upstrzonym tysiącem kwiecica, wyczerpana doszczętnie.

Bladość subtelna, delikatna, jak płatek róży herbacianej, pokryła jej twarz.

Usta piękne, ręką natury wyczelowane, rozwarły się, ukazując sznur wspaniałych zębów.

Oczy, te tylko zostały jeszcze płonące, nieco tragiczne, nieco zamyślane, a nadewszystko promienne.

Przeziębłe ciało tuliło się samo do siebie, a w łonie zdawało się drzeć przeczucie nowego życia, które z obcego człowieka początek swój wzięło.

Ale dla Anny wszystko było obojętne.

Po wzruszeniu, jakiego doznała, żegnając teraz Piotra, nic jej nastroju zmącić już nie mogło.

A zatem stało się. Może tak być musiało, może podstępna ręka zmieszała pojęcia, nikt o tem nie mógł wiedzieć.

Szła Anna teraz prosto przed siebie.

Szła z jakimś zapamiętaniem wytrwałem, nie bacząc na zimno, na brak sił zupełny.

Brnęła w moczarach nizinnych, dążąc do swego rzekomego celu.

Jak lunatyczka parła naprzód, ciągnięta nieznaną jej siłą.

Powoli traciła świadomość i rozwagę. Z każdą chwilą słabła jej wola, ongi mężna i stanowcza, a wiotkie ciało kobiece wędło, jak cudny kwiat.

To konał duch Anny.

Gaś jak wzrok żrenic twórczych, ciemniał jak płomień natchnienia, zduszony życiem, wreszcie przycichł, jak dziecko, zmęczone chorobą.

A milczenie jaźni było stokroć straszniejsze, niżli bunt beznadziejny, niżli żywioł rozpętany i chęć niszczycielska.

Umierał piękny duch — twór rąk inwencyjnych, płód własnej oryginalności, owoc szlachectwa i prawdy.

Niknął i schodził z ziemi, jak cień, pozostawiając tylko w trzech mózgach ślad niezatarty.

Krył się już w nicości niebytu bez historii, spisanej samodzielą ręką, bez testamentu, w którymby swoje ostatnie uczucia komuś zawierzył.

Nie skarżył się i nie oskarżał nikogo.

Znać wiele zaznał szczęścia i rozpaczy, znać dosięgnął szczytu, kiedy bez szeptu milknął na zawsze.

Cicho, jak mgła poranna, rozplýwał się, małał, topniał, kryjąc pustkę za sobą.

Pustkę i ból.

Anna szła, a nie czuła już ruchów swoich.

Wyczerpana, zmarznięta, przedzierała się przez mgły brzasku.

Kłębiły się one wokół niej, dotykały swą śli-

zga oponą powiek znużonych, muskały włosy ciemne, hebanowe i wilgocią przejmowały ciało.

A drodze nie było końca. Gdzie nawet widziała już niebo przez drzewa, myśląc, że to już kres dziewiczej kniei, okazywał się wyrąb, lub polanka leśna.

A las szarzał i siniał, jak nieprzebyta głębia i wciągał w siebie osłabłą ofiarę.

— Gdzie koniec, gdzie koniec — pytała siebie Anna, ale sił jej już zbrakło, by przemówić na głos.

— A może Jan mnie szuka i znaleźć nie może — pomyślała nagle.

— A może on się wrócił z bryką, by wywieźć mnie daleko stąd, daleko stąd!?

Wszędzie, wszędzie być pragnę, byle nie tu, w tem straszmem uroczysku, w tym przeraźliwym borze, który nie ma kresu, nie ma granicy.

I po tych myślach znowu wstąpiła Anna w stan odrętwienia.

Znowu zamajaczyły czarne plamy, a w sercu krwawić zaczęło cierpienie.

Anna płakała.

Ile lat, ile lat nikt łyzy nie widział w jej oczach, a teraz płynęły one obficie, rosząc policzki, chmurząc piękną głowę.

Słabość dziewicza rozchyliła wargi bezradnie.

Usta, które prędeziej zacięte być chciały, teraz były bezsilne, dziecinne.

Cała postać zwykle oporna, wzbudzająca zachwyty i pragnienie, teraz wyzbywała się życia, istoty wewnętrznej i była już bez sił, bez woli.

Anna, której pragnęły trzy dusze, tak różne i tak piękne, teraz ginąć miała przez siebie tylko.

I pomyślała o Piotrze, Janie i Orliczu w jednej chwili naraz.

Objęła ich istoty najsilniejszą myślą i pojęła wartość życia swego.

Głuche, powściągane łkanie wyrwało się z piersi.

Tyle, tyle chęci i pragnień na nic, tyle możliwości szczęścia niedostępnego teraz.

Koniec, koniec wszystkiemu i radościom, i bólow, tragizmom i losom.

— „Już czas“ — wyrzekł głos zimny, suchy, nie w Annie powstały.

„Już czas“ — powtórzył tonem strasznym, w spokoju swoim i nieubłaganu.

„Już czas“ — przemówił raz trzeci, gdy Anna stała nad urwistym brzegiem rzeki.

Anna czuła, że mu się nawet słowem sprzeciwić nie może, że rozkazywał on jej pod groźbą strasznej męczarni fałszu, gdy go nie usłucha.

Spojrzała w dół.

W oczach jej nie było już łez. Wyszły ich źródła z nadmiernej rozpacz.

A w dole między brzegami igrały fale z mgłami porannymi.

Przelewały się miękko i delikatnie, błyskając w pierwszych promieniach dnia.

Stalową była woda mroźna, parująca, a marszczyła się tylko, gdy sphywał na nią z lotu wiatr, w lasach zrodzony.

Pięściły się nurty, zataczając kręgi w głębiach niebezpiecznych.

Jeszcze nawet jaskółka, ani dzika kaczka, nie tknęły wodnej powierzchni.

Było wcześniej bardzo.

Ale zdala z kniei doniośle brzmiały dzwoneczki żorawi i pisk czapli samotnej.

Zanosił się pieśnią kos pospolity i trznadel cicho ozdabiał trylem melodyę.

Stukał już pstry dzieciół, takt wybijając w ogólnym zespole.

I Anna naraz usłyszała wszystko.

Odwróciła głowę i spojrzała raz jeszcze powłóczy-
stem spojrzaniem na świat, na dzień jasny, który z mgieł
rannych powstawał.

— Auroral—pomyślała z tęsknotą—i ty żegnaj ko-
chana. Miałaś wszak rację—nie ma w miłości swobodo-
dy. Chciałam je złączyć i ginę.

— Matko i ty bądź zdrowa i wybacz, droga, jeśli
ci życie chmurą oblekę do końca.

Tak stać się musi, pomyśl, że to los zrządził w ten
sposób, los, który ma nas za pionki bezmyślne i nikłe!

Anna ucichła. To były ostatnie jej słowa.

A kiedy padała z urwistego brzegu w nurty głę-
bokie, nagle pochodnia jasna i olśniewająca oświetliła
jej wszystko.

I odtąd nie było tajemnic już dla niej, tylko przed
samym końcem potężnego bytu, zdawało jej się, że
słyszy wezwanie do życia.

Ktoś kazał jej żyć.

CHMURY.

Kiedy się Piotr dowiedział o śmierci Anny, nie było to dla niego niespodzianką.

Zachował nawet zupełny spokój, gdy mu o tem opowiadali rybacy.

Zwłoki Anny wydobyto z rzeki w pobliżu majątku Piotra.

Były one podobno mało zmienione, co świadczyło, że topielica niedawno usiłowała samobójstwa dokonać.

Słuchał Piotr, jak mu umarłą szczegółowo określali i jak bez podejrzeń, że była mu ona najdroższą kobietą, mówili o niej swobodnie i szczerze.

Nie zdradzał go ani jeden muskuł na twarzy, nie wydało go ani jedno słowo, ani ukryta rozpacz w głębi duszy.

Stał strasznie blady z głową, do maski podobną, nieruchomą i martwą.

Ręce schował w kieszenie, gdyż nie chciał, by kto spostrzegł, że drżą niespokojnie, a całą wolę olbrzymią wyteżył, by wytrwać w równowadze.

Czuł, że czynił na sobie wiwisekcję, ale przywykły do wypełniania zamiarów, nie łamał postanowienia.

Siedział długo w chacie rybackiej, pojmując, jaki

eksperyment śmiały czyni nad sobą, jaki wysiłek zużył, by siedzieć, pomiędzy obcymi prostytutkami mówić i posłuch im dawać.

Zmuszał się jednak do tego i nie chciał wracać do domu.

Bał się pustki, która czekała na niego w wielkich komnatach. Bał się widoku pokoju Anny, bał się jej sukien i ubrań, które pozostawiła po sobie.

Nie chciał widzieć jej łoża, na którym spała, nie chciał dotknąć książek, które czytywała, nie chciał myśleć o niej.

Rozumiał, że musi zmuszać się do wszystkiego, że stawać się winien opornym i nie ulegać naturalnym chęciom.

Tylko jakiś gwałt uczyniony nad słabością, wyzierałą z całej istoty jego, mógł go przy zdrowych zmysłach utrzymać.

I o tem wiedział Piotr.

To też narażał się na katusze dobrowolnie, nie dając żadnego upustu rozpaczy.

Nie ulegał sobie w najmniejszych drobiazgach.

Szedł naprzekór wszystkiemu, co się na myśl nasuwało.

Czuł, że się w nim nowy człowiek budzi, nieco obcy mu jeszcze, ale niosący ratunek.

On to właśnie rozkazywał i szedł wpoprzek wszystkim myślom starej jaźni.

— „Uciekać... zgubić wątek własny w różnorodności wydarzeń, w wrażeniach podróży, w światłach południa — tak mówił tchórzliwy rozsądek.

Przeciw niemu właśnie toczyła się walka zacięta.

— Tu zostać, tu trwać w gniewie i bólu—mówił nowy duch—nie ruszać się z miejsca, póki nie pęknie słabość wielka serca.

Nie ugiąć się, nie uchodzić przed niczem.

Męczyć się ciągle i w męce ciągle być, tak mam czynić i tak mam chcieć.

— Przykuć się grubym łańcuchem do najgroźniejszej katuszy i stać spokojnie, jak trup, to wola moja niezłomna.

Myślą daleko nie odbiegać wstecz, a wciąż się karmić spragnioną tęsknotą—to daje tryumf mocy.

Odmawiać sobie wszelkiego wytchnienia, wchłaniać bez miary dalszy ostateczności ciąg.

Ujmować sobie ulgi wszelkiej.

To moja wola niezłomna.

I Piotr działał w myśl swoim nowym zamiarom.

Wiedział, że po największem napięciu musi nastąpić reakcja.

I czekał tego.

Cały dzień przesiadywał w pokoju Anny, nie wychodził zeń wcale.

Jadał tam, spał, próbował pracować.

Męczył sam siebie reminiscencyą, której pozwolił rozwijać się w sobie.

To też rosła ona spokojnie, jak pokrzywa i chwasty, dusząc świeże porywy.

To też wchodziła w stan niby chroniczny, równy i ciągły.

Ani praca, ani chęć zupełnej nieświadomości, ani zmęczenie bez granic nie były w stanie nic zmienić, niczego choćby na jotę złagodzić.

Ostry przebieg szarpiącej męczarni duchowej był, jak bieg długiej choroby, nieustrudzony i uparty.

Wyniszczył on ciało Piotra, a na czole jego pomiędzy brwiami wyrznął szczelinę głęboką.

Była ona już teraz stałą wyrazicielką charakteru głowy.

W kątach ust zarysowały się cieniutkie ostre linie, ku dołowi dążące, które nadawały zmysłowemu wargom śmiały wyraz pogardliwy.

Tylko w oczach Piotra był jeszcze ów płomień młodzieńczy, tylko one mówiły jeszcze o jego dawnym życiu szczęśliwym.

Chociaż czasami nawet źrenice, zmęczone głuchym, powściąganym bólem, gasły zupełnie.

Wówczas twarz męska zdawała się być sztucznie spokojną i zimną.

Ale jeśliby mógł kto przeniknąć, poprzez zewnętrzny pancerz chłodu w głębię duszy ludzkiej, wówczas widziałby, że były to chwile, w których następowała powolna śmierć starej treści.

I jeśliby teraz kochające oczy zobaczyć mogły cały wewnętrzny świat Piotra, z gorzkim uśmiechem przekonałyby się, że mdleją ich płomienie ogniste w męskiej pamięci.

Piotr sam o tem nie wiedział jeszcze.

Zdawało mu się, że strata jaką poniósł, nadwątlila żelazne życia ogniwa.

Myślał, że zapomnieć o Annie było równie niemożliwym, jak chcieć ją wskrzesić.

Jej istota subtelna, porywczą, śmiała i dumna rozpanoszyła się w myślach i wspomnieniach i stała się wyłączną władzą despotyczną.

Wydawała rozkazy, stawiała na próby, a była zawsze niezadowolona z wysiłków wszystkich.

Były dla niej one zbyt nikłe, zbyt słabe!

Wówczas zdobywał się Piotr na próby nowego czynu.

Chciał powstać przeciw męczącej tyranii.

Lecz pierwsze próby były nieudane.

Przegrywał ciągle, a po zgnębionem powstaniu musiał się więcej jeszcze płaszczyć i poniżać.

Tak mijały miesiące, a Piotr wciąż nadal trwał w postanowieniu, by nie uchodzić—dotrzymać do końca.

Nie chciał opuszczać samotnej siedziby, choć różne wydarzenia już go do miasta wzywały.

Nowe dzieło jego już się ukazało i głuchy, groźny, podziemny huk przeciwników — dobrego nie zwiastował.

Ale nie czas było, by się wyłonić i walczyć.

Zbyt nagle następowały ponure wypadki, jedno po drugim, by móżdż wszędzie wygrać.

Trzeba było się otrząsnąć z jednego, by z drugim zacząć.

Należało zrzucić jarzmo wszelkiej niewoli, by ze swobodą mierzyć się z innymi.

Nie wolno było myśleć o swojej słabości, chcąc mężnie znosić ciosy.

Ale nie zawsze działać można według swoich planów. Nieraz należy je zmieniać nagle i gwałtownie pod wpływem dorywczej decyzji.

Tak też uczynił Piotr.

Pewnego poranku, w ostatnich dniach grudnia, spakował swoje rzeczy i ruszył do miasta.

Myśl o Annie głęboko tkwiła w jego mózgu, a cała

jej postać, żywo stojąca ciągle przed oczyma wywoływała głucho, niemilknące odgłosy skargi.

Piotr opuszczał litewską siedzibę w grudniowym, słonecznym dniu.

Patrzył, jak nikał dworek ukochany za ścianą lasu, jak klony i kasztany jego ogrodu mieniły się resztkami swoich ubiorów.

Rdza i złoto w tysiącach odcieni drgały w promieniach słońca.

Piotr opuszczał lasy i łąki, rzeki i strumienie, mgły i uroczyska, ale wiozł ze sobą jeszcze jedno, z czym się nie rozstawał, jedno, co kochał jeszcze.

Tem była Anna.

Ze smutkiem żegnał się ze znajomem ustroniem, z owym kątem zapadłym, gdzie można było kochać i być niewidocznym, gdzie można było tworzyć i być wszędzie bronnym, gdzie trzeba było cierpieć bez granic i być samotnym.

A przecież to wszystko łączyło się z imieniem drogiej kobiety, to wszystko, oprócz twórczości, było tłem jej duszy.

Piotr myślał, wspominał i objął wreszcie cały okres życia w dniu grudniowym, słonecznym, gdy opuszczał samotne ukrycie na długo.

Nie czuł, co go czeka jeszcze, jak wielkiem przejściem będzie, gdy Anna umrze w jego duszy i pozostanie z niej tylko wspomnienie.

Pełen dziwnego uczucia jechał Piotr i patrzył uważnie wstecz.

Już znikła jego siedziba. Skryła się za ścianą odwiecznego lasu.

Już nie lśnił się tynk biały domostwa w świetle

radosnem i nie witało czerwone, dzikie wino upragnionych gości.

Teraz tylko bór szumiał złowieszczo, siał liśćmi szcudrze wokoło, syczał i szeptał wymownie.

Chłodny podmuch zrywał się nagle od strony rzeki, wznosił się jak ptak wielki i w szybkim locie spadał u podnóża lasu.

Tam zajęczał, zapłakał, zaśmiał się i zamarł w głębiach uroczyska.

Tam szukał kogoś wraz z myślą Piotra i wraz z nią nic już nie znajdował.

„Za późno“ — mówił — „za późno“.

I Piotr to samo powtarzał, to samo czuł.

Okrył się płaszczem ciepłym, ręce włożył w kieszenie i patrzył daleko, tam gdzie się wszystkie kresy łączą rzekomo, a pozostają sobie obce i niedościgłe.

Ocknął się dopiero, gdy wyjechał z lasu nad rzekę.

Odtąd droga wiła się nad jej urwistym i spadzistym brzegiem.

Piotr odwrócił głowę. Nie chciał widzieć nurtów zimnych i obojętnych, które pochłoneły spokój i szczęście jego.

Opuścił głowę i przymknął powieki.

A szum fal mu opowiadał i wyjaśnić pragnął wszystko niewiadome.

Gdy przejechał przez most i minął lasek nadbrzeżny, nie chciał Piotr żegnać się z rzeką i spojrzeć na jej wstęgę wspaniałą, ginącą gdzieś na zakręcie wśród łąk i moczarów.

Nie chciał spoglądać wstecz.

Patrzył przed siebie...

...A tam na horyzoncie zbierały się chmury, kłębiły się, jak szare cielska potworne i chciwe.

Czuł, że groziły mu one.

Jechał teraz właśnie, by rozbić wrogą mu burzę, by rozpedzić obłoki i dać się promiennemu słońcu wypowiedzieć.

Nie otrząsnąwszy się jeszcze z brzemienia jednego bólu, musiał wystawić samego siebie na nowe niepowodzenia.

Niepokojące myśli kazały przypuszczać, że niełatwo przyjdzie mu ostać się wielkiej nawale.

Teraz dopiero zaczął sobie wrogów swoich przypominać.

A był ich długi szereg, a nazwiska niektórych obnosiły gazety brukowe od szeregu lat i ustaliły im zaufanie większości.

Ona to z niedowierzaniem patrzyła na Piotra, z oburzeniem myślała o jego chęciach silnych i despotycznych i o najniebezpieczniejszym zadaniu — reformacji wszelkich pojęć.

Szli ci ludzie (poszczególne bezpieczni) całą zwartą ścianą, pod przewodem reporterów, płatnych sprawozdawców, a nadewszystko ludzi, którzy rozumiejąc doniosłość talentów, bali się ich konkurencyi.

Między ostatnimi byli nawet poważni i sędziwi, mądrzy, lecz nietwórczy i sprytni, ale nikczemni.

A wszyscy byli obłudnikami.

Piotr teraz czynił rewię jeneralną wrogiej gromady i uczuł naraz, że zadanie jego jest trudne i wymaga spokoju i wytrwałości.

A ani jednym, ani drugą teraz nie władał.

Anna zabrała ze sobą najelementarniejsze pierwiastki, konieczne do walki.

Na samą myśl o niej umierały wszystkie podłości i tajemne spiski i wzrastała do nieprawdopodobnych rozmiarów chęć zupełnej izolacji.

Bał się, że nie przeprowadzi do końca swoich zamiarów, że utkwi na środku drogi i rzuci, rzuci wszystko — tę plugawość, nikłość i nędzę ludzką.

A nie powinien uciekać, uchylać się przed niczem.

Należało wyjść bez szwanku z tej najpodlejszej walki z zawiścią, chytrą i kłamstwem.

Już przed tygodniem przysłano mu, z jego mieszkania w mieście, list od Rafała Orlicza, który go zwywał do stolicy.

Przyczyny, jak pisał dawny przyjaciel, były poważnej natury i należało przedsięwziąć najenergiczniejsze kroki, by ostatecznie zgotować koniec felietonom oszczerczym i cynicznym żartom miejskich pism humorystycznych.

— „Wogóle — pisał dalej Orlicz — miasto bardzo wiele krzyczy o panu i nie ma słów na wypowiedzenie swego oburzenia w związku z ostatniem jego dziełem“.

Piotr uśmiechnął się, przeczytawszy te słów pare.

Nie bał się tego hałasu szumowin, miał już za sobą dosyć doświadczenia w taktyce działania.

Wszak każda jego praca była witana w podobny sposób.

Ale nie doświadczenie dawało mu spokój i powściągało oburzenie, lecz wiara w swoją wyłączność

prawdy i w jej jedyną rację bytu pozwalała na pobłażanie lichym masowym objawom.

Wspomniał Piotr jakiej się broni chwyтали ci przedstawiciele opinii publicznej, jak niewiadomo skąd wyciągali jego osobiste sprawy i obrzucali błotem najszlachetniejsze porowy.

— „Ale naszym dziełem jest piękno tworzyć — ich zaś je brukać“ — przypomniał sobie dawne swoje słowa, które mówił Annie jeszcze z samego zarania ich związku.

Wówczas była ona jedynym- źródłem, w którym mógł przejrzeć się Piotr z całym zasobem swojego zapachu i wiary.

Teraz był zupełnie sam.

Teraz w sobie musiał stworzyć zwierciadło ducha i tylko w sobie znajdować ostoję.

To był pierwszy krok nowej ery jego życia.

Tkwiła już w nim moc siły wieku nieugięta i krnąbrna.

Ale nim osiągnąć miała ona swego szczytu, miał padać cios za ciosem, miał rąbać miecz losu spokój i szczęście i grozić ciągłą chęcią niszczycielską.

I teraz Piotr wszystko mimo uszu swoich radby przepuścić, gdyby nie to, że czuł, iż zawierucha, która nad nim obecnie szalała, przewyższała dotychczasowe i mogła mu grozić zupełnem odcięciem od świata.

Sam chciał samotności, ale przyjąć ją z nakazu innych było poniżającym.

Musiał sobie zatem wywalczyć stanowisko i zdobyć placówkę, na której nawet wobec wszystkich razem czułby się bezpiecznym.

Zrodziła się w nim dumna chęć—zmusić do ule-

głości zdolnych blagierów, czyli felietonistów i ludzi zupełnie pozbawionych czci, którzy w sobie pustkę mając, widzą ją wszędzie.

Piotr zatem postanowił zejść ze swego stanowiska, zniżyć się do zwykłości i wypróbować siebie, by po udanej walce, rzucić to całe piekło fałszu i prawdziwie samemu pozostać.

To jest droga, którą zresztą każda jednostka silna i twórcza przejść musi.

W takim nastroju przybył Piotr do miasta.

Niczego dobrego się nie spodziewał i tak, jak przypuszczał, rodzinny gród nie przyjął go gościnnie.

W pierwszych dniach spotykały go same niepowodzenia, ale nie bacząc na to, Piotr nie upadł na duchu.

Konflikt wyłonił się z jednostkami, z którymi trzeba było zerwać stosunki.

Ale z „przyjaciółmi“, jak i bez nich, było równie dobrze.

To też Piotr rozumiał, że nie to jest dla niego ciosem ostatecznym, na który później złożyły się naraz wszystkie nieszczęścia.

Drugiego dnia Piotr złożył wizytę swemu wydawcy.

Dobroduszny mężczyzna, lat pięćdziesięciu, zwykle serdeczny i jowialny, przyjął go tym razem oschle i sztywnie.

Wspominał z goryczą i zjadliwością, że mimo wielkiego hałasu, książka Piotra nie może liczyć na najmniejsze powodzenie, że możnaby było uczynić wydanie „drugie poprawione“.

Oczywiście, chodziło o wypuszczenie najenergicz-

niejszych miejsc i pominięcie najśmielszych pomysłów.

Dwa razy nie należało powtarzać i napomyskać autorowi, by pojął, co się święci.

Uśmiechnął się i smutne myśli przebiegły mu przed oczyma.

Mimowoli zwrócił się do Anny, chcąc jakoby jej wskazać na to, co czuje obecnie, gdy mu się ośmielają proponować zmiany w twórczej pracy, gdy dobroduszne, ale puste głowy radzą mu, co ma czynić!

Mimowoli powtarzał w duszy — „Widzisz, widzisz Anno, jak się wszystko zmieniło od tego czasu, kiedyś zniszczyła mą radość, mój spokój wielki.

Tymczasem wydawca nerwowo chodził po pokoju i bełkotał pod nosem:

— Widzisz pan, pańska dobra sława jest już zdyskredytowana na zawsze.

...Chyba, chyba... jakiś wielki krok z pańskiej strony mógłby ją uratować.

Trzeba się gwałtownie ratować mój panie, inaczej wszystko przepadło.

Piotr słuchał. Słowa przedsiębiorcy były dla niego uderzeniem w twarz.

To charakterystyczne „widzisz pan“ i familiarność w obejściu zdziwiły go niezmiernie.

Dotychczas zwracali się bowiem do niego z uprzedzającą grzecznością i wersalizmem.

Piotr nie znosił poufałości, nie cierpiał owej pseudo-przyjacielskiej komitywy, którą podeszli wiekiem nieraz wykazują.

Wzdrygała się jego dumna jaźń na samą myśl, że

stosunki z ludźmi, choćby na jeden dzień w ten się sposób ułożą.

— Pan jesteś autorem herezyi, kochany panie — ciągnął dalej jowialny kupiec — pan jesteś twórcą niedozwolonych przestępstw. Ludzie dzisiejsi nie znoszą, gdy im się o bezwzględnościach prawi, jak im się daje to, co im apetyt odebrać jest w stanie.

Ludzie dzisiejsi, mój panie, odwykli od despotyzmu i chcą sami ulepić autorów, a nie — żeby ostatni ich ulepiali.

— Więc poco pan wydajesz moje prace—przerwał Piotr gwałtownie. — Po jakiego licha chce się starej głowie znosić do spółki ze mną głupotę większości.

I kiedyś się pan tak przejął prądami współczesnymi. Kiedyś się pan zdążył nalykać tyle zdawkowych frazesów o „ludziach“ i „autorach“.

Gdzieś pan wyczytał to wszystko?!

Dawniej nie miałeś słów na zachwyty, a teraz stajesz się śmiałym przedstawicielem opinii publicznej?!

Pilnuj pan swego języka.

A choćbyś jeszcze z tysiącem innych krakał nademną, wiedz, że ja przeciw wam wszystkim stanąć potrafię.

— Ale przecież pana nazywają — przerwał wydawca — apologetą kłamstwa i siły pięści.

Pytasz mnie pan dlaczego wydawałem twą pracę.

Oto sądziłem, że książka zdobędzie sobie przednie miejsce, jak i dawniejsze, że wywoła ferment, ale panie... nie bunt istotny.

Mówiąc szczerze można krok nierozważny poprowadzić, wydać książkę raz jeszcze z małymi zmianami i opatrzyć ją drobnym „wstępem słówkiem“.

— „Boże, jak ten dureń nic nie pojmuje. I to jest człowiek, który czytał moje wszystkie dzieła—pomyślał Piotr z goryczą i rzekł wzburzonym głosem:

— Mam wrażenie, że zupełnie zasnął mózg pański.

Czy nie pojmujesz pan, że ani jednej literki nie cofnę ze swojej pracy, że nietylko „wstępne słówka“ z uniżoną grzecznością nie napiszę, ale dodałbym jeszcze silniejszy wstęp, niż ten, który jest w książce mojej umieszczony.

Czy nie rozumiesz pan, że ja w oczach swoich nie jestem winny i że nie czuję potrzeby swego „przestępstwa“ usprawiedliwiać?

Sam wiem, jak mam czynić i o rady nikogo nie pytam.

Żał mi jednak tych głupców, którzy chcąc na mnie zrobić dobry interes, muszą pospołu ze mną narażać się ludziom.

A teraz niechaj nie łudzą się moi „przyjaciele“, że da się naprawić to, co jest najszczerzym wyrazem mojej twórczej jaźni.

Po ostatnich słowach Piotr wyszedł z pokoju.

Na ulicy uczuł, że ogarnia go pewna duszność przytłaczająca.

Dusił się w atmosferze obcego mu miasta, gdzie tchórzliwi przeciwnicy, ukrywszy się pod maską pseudonimów, zadawali mu ciosy.

Szedł teraz dziwnie zmęczony i sam nie wiedział, gdzie się myślą zwrócić.

Pracować — to było teraz niemożliwe.

Brakło do pracy spokoju i równości.

Nadszarpane nerwy pragnęły wytchnienia, a nigdzie go znaleźć nie mogły.

Po obecnej wizycie jeszcze bardziej spochmurniały barwy nadziei.

Rozumiał Piotr, że postąpił nierozważnie, ale cieszył się z tego.

Stracił swego wydawcę na zawsze, a o innym nawet myśleć nie było można.

Jasnym się stało, że trzeba będzie teraz działać szybko i zdecydowanie względem wszystkich, by nie czekać, aż ludzie pierwsi zerwać z nim zapragną.

Należało teraz na ślepo niszczyć wszelką nić przyjaźni i trzymać miecz w pogotowiu.

Piotr był rad, że brutalnie postąpił obecnie, ale mimowoli myślał, że zamknął sobie już jedną drogę, nasuwała przykre refleksje.

Dopiero u siebie w pokoju zdołał się otrząsnąć nieco z niewesołego nastroju.

Podparł głowę rękami i począł rozmyślać.

Ale rozmyślanie niewielką ulgę dać mogło.

Wszędzie wokoło otaczała mgła duszna — tuman ukrytego fałszu i obłudy.

Nie było jaśniejszego promienia, a dalszy ciąg istotnego dążenia dawał znać o sobie ledwo dosłyszalnym dźwiękiem

Rozumiał Piotr, że trzeba przetrwać czas największych katuszy, by wypłynąć znowu swobodnie i pojął, że odwrót z obecnego stanowiska byłby równie bezcelowy, jak chęć wszelka uchylenia się od groźnych dni życia.

To też w chwilach obecnych, by wytchnąć i zaczerpnąć świeżych sił żywotnych, trzeba było się cofnąć pamięcią wstecz.

Trzeba było się zwrócić ku Annie i z nią się „nadarzyć“, odgadując jej słowa w swoim własnym mózgu.

Nigdy dotąd Piotr nie czuł możności podtrzymywania się reminiscencyą tak silnie, jak w chwili obecnej, w dniu rzekomej klęski.

Ale gdy sięgnął pamięcią w najpełniejsze dni szczęścia, spostrzegł natychmiast w sobie pewną przemianę.

Anna nie powstawała już w duchu jego.

Anna nie dawała żadnych nowych odpowiedzi.

Wreszcie ona mogła jedynie być wskrzeszoną w dawnym swym stanie, nigdy zaś w nowym, w którym nie żyła sama.

Ale mimo to, że nie była rozwiązaniem nowych zagadnień, jej obraz plastyczny w wyobraźni Piotra dawał mu chwile pięknego zachwyty w czasie beznaziejnym.

On odrywał zresztą myśl wojującą i dał jej możność potem z większą jeszcze siłą chwycić za oręż.

Ale nawet u siebie w domu Piotr spokoju nie miał.

Ciągłe listy, anonimy, paszkwile jedno za drugim sypały się do jego pokoju.

Zdawało mu się, że jakaś ręka niestrudzona rzucała świstki, by go pod nimi zagrzebać.

Szczególny sprawił mu ból wyraz opinii młodzieży tutejszej.

Przypomniawszy sobie o tem—wyjął kartę z biurka i jął ją czytać półgłosem:

— „Nie mając słów na wyjawienie pogardy i oburzenia największym porywom egoizmu i silnym instynktom zaborczym, składamy *vo tu m nie ufności* byłemu naszemu przyjacielowi“.

Potem następowały długie szeregi nazwisk.

Piotr patrzył na słowa, które w młodych piersiach powstały.

Długo i przenikliwie spoglądał w całą pustkę efekciarstwa płytkiego — nieodłącznego towarzysza niedoświadczonych dusz.

I mimo to, że kpił sobie z niedorzeczności młodzińskich, że wiedział jak łatwo je zawojować, jednak myślał, że pokolenie (jego przeżyć mające) nosiło w sobie już zarodki stereotypu i banalności, ból mu sprawiała.

Śmiał się z wyrazu oburzenia dla wielkich porywów egoizmu, zbyt dobrze znał bowiem ich wartość i celowość, zbyt jasno pojmował konieczność ich bytu w twórczej jednostce, a nadewszystko one to właśnie wznosiły go do szczytów idealnego pojmowania istoty rzeczy, do którego sobkostwo zwykle ma dostęp wzbroniony.

— „Nie mając słów dla wyjawienia pogardy i oburzenia największym porywom egoizmu—ironicznie powtarzał Piotr —...i to piszą młodzi, którzy nie mieli nawet czasu przesiąknąć obłudą i zachowawczą chęcią?

To piszą mi dwudziestoletnie dusze, dwudziestoletnie powierzchowne mózgi.

Brak zupełny jakiegokolwiek inwencyjności, pomijając już całkowite ograniczenie umysłowe, może stworzyć podobne *vo t u m n i e u f n o ś c i*.

Absolutny brak zrozumienia zreformowanych pojęć.

Żadna chęć wyzwolenicza zrzucenia ze siebie więzów krępujących—czy to do wiary?!

Zupełne poddanie się usytuowanym pojęciom i niechęć narażania się karyerze i opinii publicznej u młodych, u tych, którzy winni byli chłonąć i chwytac każdą

iskrę nową! — To doprawdy smutne, to doprawdy niepojęte.

I wszakże przypominam sobie zbyt dobrze, że nieraz w myślach swoich tworzył nowokształtującą się duszę, która wreszcie da podwalinę nowym pomysłom jednostki.

Ja przecież, a nikt inny, byłem wówczas tym, co daje z własnego egoizmu, z własnej chęci, by być reformatorem, byłem tym, co rozdaje własne bogactwo, pchany przez pragnienie, by dzieło moje samo żyć poczęło, by przeradzało się ono w żywe posągi, by stało się nowym kierunkiem.

Sam się wydzwignąć pragnę i tem innym lekcyę daję.

I oto ci, na których w pewnej chwili liczyłem, wyjawiają mi swoje oburzenie. Ci okazują się pustemi głowami, do których twórcze słowo nie dochodzi.

...To doprawdy niepojęte.

Czyż tak trudno pojąć, że tylko ten, kto chce — dąży, że tylko ten, kto siebie pragnie nad innych wznosić — rozwija się, że tylko ten wreszcie, który innych z m ó d z pragnie — tworzy!

Te elementarne pojęcia są widocznie niedostępne przez swoją lapidarną prostotę.

Długo jeszcze wiły się przed oczyma Piotra niewesołe myśli, wywołane pospolitym zjawiskiem zwykłego niezrozumienia.

Ale było to dla niego więcej znaczące, niżli pozornie wydawać się mogło.

Był to jego pierwszy konflikt z młodzieżą, z zastępem duchów świeżych, którego bronił zajadle przed

nawałą starczych rad ojców i przed oschłemi słowy doktrynerów.

Piotr był zwolennikiem bezwzględnej swobody jaźni, która, przeszedłszy przez szkołę wydarzeń, hartu nabiera.

Przypomnił sobie ilu uczniów jego wyszło z ram akademickiego wierszoklectwa i stało się ludźmi dużej miary.

I uderzyło go niemile, że znalazł dwóch z pomiędzy nich w podpisach podanych.

Nie chciał wierzyć w pierwszej chwili, by ci najbardziej zdolni uczniowie byli w szeregach zwykłych snobów, pomiędzy ograniczonymi obrońcami starego „regime’u“.

Nie chciał przypuszczać, by zazdrość skłoniła ich do kroku zdradnego, a cenił ich zdolności zbyt wielce, by zmieszać ich z pospółstwem.

Był sprawiedliwym i dlatego właśnie nie mógł osądzić uczniów należycie.

WSKRZESZONE ECHO.

Mijały dni.

Ciężka, dusząca chmura ciągle jeszcze wisiała nad czołem Piotra.

Nie uśmierzała się zawierucha, nie uspakajała się burzliwa obrona większości.

Kipiało miasto, a nie czując należytego oporu, wrzało zazdrością i niskim podstępem.

Cios padał za ciosem.

Poczynając od największych powag, a skończywszy na „związku kobiet postępowych“, wszystko było wrogie w postawie zaczepnej.

Wszystko, jak tylko mogło, starało się pokazać przed oczyma Piotra i dać mu znać o sobie.

Czy to na koncertach, czy na ulicy, samo pojawienie się jego wywoływało ferment.

Szepty, lub bodaj szpetne wymysły, ironiczna zjadliwość i cynizm dojrzały, podały sobie dłonie i zawarły sojusz, broniący ustalonej treści.

Ale, mimo to wszystko, Piotr czuł się coraz zdolniejszy do odrodzenia.

Wewnątrz jego duszy zaczął świtać brzask pracy. Pękły łańcuchy wspomnień, ogniwa cierpienia, a miast nich wyłaniał się tragizm zrozumiały.

A był on teraz dopiero dojrzały i pragnął stać się twórczym.

Czekał nań Piotr, jak na gościa z zamorza, który zawitał kiedyś w progi jego litewskiej siedziby.

I pewnego wieczoru, podczas gdy czytał ostatnie oceny, zjawił się ów istotny przybysz upragniony i kazał się zamyśleć.

Rzucił Piotr wówczas wszystkie pisma i gazety, wszystkie listy i adresy do pieca.

Pozostawił tylko sobie votum nieufności ci.

Patrzył jak spalały się brednie, fałsz i piana niewiści i myślał, że wraz z tymi popiołami spaliło się wszystko brudne, co się jego dotknąć chciało — a nie dosięgło.

Patrzył się na czyn, którym wykazał swoją non-szalancję z cierpkim, obojętnym uśmiechem.

Aż naraz jakaś moc żelazna w pierś wstąpiła i zalamiała jego jaźń pierwotną.

Anna teraz dopiero płonęła w pamięci.

Anna i wszystko, co się z nią razem łączyło, kołała w duszy Piotra.

A jej śmierć niechybna w istocie uczuć była tak silna, jak uścisk namiętny.

Piotr poczuł, że raz ostatni zdobywa się teraz na najsilniejsze uwielbienie dla niej.

To też zebrał cały bieg dni spokojnych i sens uniesienia w skupionej formie.

Wyteżył pamięć i sięgnął nią wstecz.

A wszędzie widział piękno Anny szlachetne, jej wzrok i gest wymarzony.

Złamał go ból ogromny ostatecznych przeżyć już raz ostatni.

Zgiął dumę los chmurny i burzliwy, a piętno pozostawił wielkie i potężne — piętno mocne, nieugięte, twórcze i bogate.

Owem piętnem był mus tragiczny istnienia.

Na to giął, by hartować, na to łamał, by wznosić, na to gnębił, by niezależnością przejąć!

Był koniecznym, choć bezwzględny.

Wreszcie on skłonił Piotra, by zasiadł do pracy.

On w pocie czoła tworzyć rozkazywał i wyłonił z ducha treść szczęścia i szkołę bólu.

Piotr od dawna już nie czuł tak olbrzymiej siły.

Rosła ona w piersi jego, olbrzymiała w mózgu, a znajdując kryterium w istnieniu człowieczem, mogła już powstać i chcieć pokonywać.

Nie była ona młodzieńczą, lecz męską.

Nic w niej nie tkwiło z entuzjazmu, lub zapału— była potężną i monumentalną.

Wzbiła się nad więzienne mury zwykłych chęci, wzniosła się na popiołach broni nieprzyjaciół, zapomniała o zdradach, o skrytych zamiarach i była najszcześliwszą w swej płodności twórczej.

A język jej był prosty, pełen głębi i znaczenia.

Zbyt wiele już leżało doświadczenia, zbyt groźny ogień rodził nowe Piotra dzieło, by mógł się zdobyć na fałsz, lub obłudę.

Wszystko było świadome, wszystko było nowe.

Teraz błysły dopiero chwile przeminięte, teraz

wybuchł płomień wielki. Stos radości rozświetlił wszech-
istotę bytu.

A z ognia, który płonął w sztuce wyzwolonej,
wyłoniła się postać wielka, niebywała.

Wszystko wokół służyło za pokarm płomieniom,
a ona nie płonęła.

Widział w niej Piotr dokładnie wszystkie swoje
czyny w najprostszej formie, a oczy jej mu były kie-
dyś dobrze znane: nieco tragiczne, nieco tajemnicze,
a jednak zawsze promienne.

Jej właśnie Piotr poświęcał swoje chwile twórcze,
dla niej po raz ostatni związał myśl tęsknotą i w formę
związtą zamykał.

Ona wreszcie była tłem, na którym powstała syn-
teza przeszłości.

Wiedział Piotr, że objąć ją swym wzrokiem musi,
by dalej naprzód dążyć.

Zresztą na raz już zdobytej podstawie miał nowy
dzień zaświtać.

Duch pragnął odrodzenia i łaknął inwencji.

Kończył się długi szereg godzin umęczenia, chwil
porywu, tęsknoty i silnej rozpacz.

Następował przednówek istotnego bytu.

A kiedy Piotr już zrzucał brzemie swojej męki, no-
wy cios silny i ogłuszający w duszę ugodził.

Jęknął duch wyzwolony, lecz mus mu nakazywał
jeszcze oglądać ból i walkę życia.

Stanął i, wytężywszy wszystkie siły swoje, miał
krzywdę pojąć i winę przebaczyć.

Tak stać się musiało w chwili, gdy mu służący
przyniósł list od brata.

Piotr patrzył na kopertę, jakby rażony przecuciem.

Długo jej nie rozdzierał, dopiero gdy pismo mu się znajomem wydało, wyjął arkusik.

Czytał:

— „W chwili obecnej, gdy piszę do ciebie, jestem bardzo chory.

Leżę w łóżku i ręka drży mi z osłabienia.

Choroba powaliła mnie od dwóch miesięcy i nie chce kresu bezwoli postawić.

Wczoraj w pismach czytałem o twoim powrocie i dziś już daję ci o sobie znać.

Tyle ważnych kwestyi, tyle najpierwszej wagi rzeczy każe mi wezwać ciebie.

Zresztą nie jestem już sobą. Przez przeszło cztery tygodnie (a może i więcej) zmieniłem się niesłychanie.

Jestem żywym szkieletem, cieniem schorowanym i wynędzniałym.

A więc jeślibyś się zawahał (wiedząc o wszystkim), pomyśl, że idziesz teraz do obcego ci człowieka, któremu możesz ostatnią nadzieję w pamięci wskrzesić.

Widzisz, ja umieram i wiem o tem.

Choroba moja jest przewlekła i nieubłagana.

Nikt z niej nie wychodzi, a ja nie chciałbym zresztą być tutaj wyjątkiem.

Płuca moje są strasznie zmęczone.

Przytomny jestem prawie ciągle, a tylko w nocy męczą mnie straszne widziadła, okropne przypuszczenia.

Wspominając je nawet, wierzyć w wizję poczy-

nam, w niemiłosierny fakt, któryby mnie dobił, a ciebie by złamał, gdyby się ziścił.

O, gdybyś wiedział, jak ja cierpię wielce w ciągłych wahaniach między snem, a jawą, jak bezwzględnie wpił pazury we mnie sęp bólu, zapomniałbyś na chwilę o wszystkim i zaszedłbyś do mnie.

Tak stać się powinno.

Umrzeć spokojnie to moje dążenie.

Zaznać chwil ostatnich cichych i łagodnych, choć na okamgnienie — to chęci moje.

Słuchaj, ja pragnę złagodzić mą winę przez świadomość, że przecież nie wieczną krzywdę komuś wyrządziłem.

Rozumiesz... nie wieczną?!

Zresztą nie czas teraz na sentymenty, teraz, kiedy mi godzin niewiele zostało.

Chcę tylko spokoju, a dać mi go może tylko jedno słowo, jeden twój wyraz.

Nie ukryję nic i szczerze mówić z tobą będę, gdy przyjdiesz do mnie—do innego już człowieka, do jaźni, która swą większością jest już w niebycie.

Zauważ bowiem, że myśl już we mnie słabnie, że wszystko, co czynię, zda mi się tylko odbiciem mego istotnego czynu.

Spaliłem się „w moim ostatnim płomieniu“, byłem u szczytu i jestem u końca.

U końca wszystkiego.

Ale jeśli nawet ów epilog życia nic już za sobą nie kryje, to, przez co konam, warte było śmierci.

Zapomnij Piotrze, że ja mówię do ciebie, że to o czem napomknę, nas dwóch związało i pomyśl, że tu chodzi o innych i obcych.

Sądź tak przez chwilę, by lżej było myśleć.

I ja naprawdę już nie jestem sobą i ginę, niosąc w sobie wszystko niespłodzone, prócz przeczuć życia, którem dać był w stanie.

Ale to, dzięki czemu gaśnie ma istota, warte było cierpienia.

Pamiętasz pewno słowa, którem głosił „ostatniej“ nocy.

Pamiętasz o dniu „jutra“, który miał nastąpić i o okresie największej przemiany.

Dziś wszystko jest już „wczoraj“, a wielka reforma wstrząsnęła mną i wzięła ze mnie jądro wszechistnienia.

Przez nią umrzeć muszę.

Nie mam już nic przed sobą, oprócz jednej myśli, jednej rozpacz—czy jam wiecznego kresu nie postawił ludzkim porywom?

Nie zwlekaj proszę, gdyż za późno być może.

Chwila każda jest droga, bowiem po ostatniej może już nie przyjść następna.

Jakże to dziwne zaiste i nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

To, że nie nastąpi następne drgnienie sekundy po pewnym wypadku jest więcej zagadkowe, jak straszne.

Agonia moja nastąpi spokojnie, stopniowo (tak sądzić mogę ze słów mojego lekarza).

Nie masz się więc co lękać gwałtownych wstrząśnień, lub nagłych wydarzeń.

Świadomość moja podziw budzi, a trzeźwy umysł i myśl, niezmaconą obłędem końca, pragnę zachować do twojej wizyty.

Będziesz doktorem mojej duszy.

...Słuchaj, ja teraz pamiętam o wszystkim, wszystkie pytania tkwią w wytycznej myśli, ale jeślibym osłabł przez wrażenie i zapomniał, w jakim porządku i o czym mam mówić, przypomnij mi o jednym...

Wiesz o czym?

Podpowiedz mi wówczas jedno słowo, a ja chwyciwszy wątek, będę już wiedział, co jest moim odwiecznym spokojem, moją myślą ukochaną, moją rzetelną wiarą!

Wyzbędę się przed czasem ostatecznej próby wszystkiego wstydu.

Nie zdziw się, że w tej pierwszej i ostatniej chwili będę bezwzględnie szczerym.

To mi da ulgę wielką i skróci cierpienia.

Są, widzisz, zjawiska tak silne, tak nieuniknione, a tak łaknące wyjaśnień, że mimo swej mocy, mimo swej uporczywości, ulegają jednym, jasnym odpowiedziom, które ty właśnie masz dla mnie.

Są tak niezmiernie ważne przejawy, tak bezwzględnie męczące ducha, że jeśliby nawet powstały przez grzech, lub winę, nie są karygodne.

Konieczność nieraz idzie na wspak rzeczywistości i to jest bodaj najsilniejszą walką dwóch sił ostatecznych.

Zresztą sam fakt, który ujawnia dążenia, nie może być wszechwinnym, bez niego byłoby to samo tylko utkwione głębiej i nieprzenikliwiej.

Fakty kres tylko stawiają męczarniom i są dobrodziejami tych, których silne wzloty łamią, jak niewola.

Wszelkie najistotniejsze porywy, najpotężniejsze czyny w plusie i minusie, skutek mają jeden.

To też wiedz, że zdobywszy sobie szczęście bez

granic, nie odsądzając go od czci i wiary, teraz kończę życie z myślą zwróconą wstecz.

Ale zabrać ze sobą treść najpoważniejszą w obszar niebytu, to zbyt wielkie żądanie, zbyt nieludzkie chęć!

Oto więc chcę słów kilka pozostawić, które mnie w oczach przyszłości wyświetlą.

Wiedz bowiem, że całkowita wina moja mieści się tylko w złem skojarzeniu szeregu zjawisk.

Każdy z nas ma prawo żyć i nie dać się złamać przez życie, a jeśli źle się składają wypadki, jeśli więzy tworzą tamy, cóż wówczas zrobić ze sobą należy?

— Co?!

Nie czynię sobie gorzkiego wyrzutu, bo wierzę, że jeśli czas mnie już szczęścia nie zwróci, zładodzi innych ból i odda im dni drogie.

Ja znikam już. Z każdym dniem staję się więcej niewidocznym, bardziej zapomnianym.

Nie dbam o pamięć innych i nie ona cierpieć mi każe.

Uchodzę, pozostawiając swoje skąpe prace współczesnym siłom.

Niech więc one wchłoną moje najszczerze wysiłki i niech wprowadzą wszystko nieskończone w dziedzinę czynu.

Byłem przejściowym człowiekiem i aczkolwiek smutną jest świadomość owa, jednak sprawia mi ulgę w obecnych godzinach.

Pamiętasz com powiedział ostatniego dnia?

I tak się stało wszystko, jakem mówił.

...Słuchaj, kto po mnie nastąpi, kto za mną kroczy?

Kto po nas wejdzie na widownię bytu?!

Co?...

Ręka mi dalej pisać nie pozwala.

Przyjdź jaknajprędzej“.

„Twój Jan“.

* * *

Kiedy Piotr skończył czytanie listu, znalazł się wobec dwóch sił krańcowych i mocnych.

Cała burza wspomnień w jednej chwili błysła oślepiającym ogniem i to, co umrzeć miało, znowu otrzymało istotę życiową.

Teraz dopiero czuł, jak silnie Anna tkwi w jego umyśle. Nieskłonny do burzliwych i gwałtownych przemian, poczuł się teraz w pewnej zależności od nich.

Usiadł przy stole i począł rozważać.

Ale chęci, z góry przewidywane, przysły z łatwością, jak bańki mydlane.

Szczere i niczem niezwiązane myśli berło trzymały.

Jakże mógł więc wybaczyć czyn, którego żadna siła okupić nie może, jakże mógł iść i rękę podać temu, który znał tajemnice jego największych rozkoszy, a który w naiwności swojej sądził, że zdrada mogła zatrzeć swoje ślady.

Jakże mógł, choćby na chwilę, zapomnieć, że Annę stracił tylko z winy brata.

A iść bez przebaczenia — znaczyło zacząć i nie skończyć czynu.

A jednak tylko Jan i nikt więcej przecież mógł

wyłowić Anny ostatnie wyrazy, jej słowa mądre, zwiedzione instynktem.

— I cóż ci mogę powiedzieć, cóż ci mogę rzec wreszcie Janie — myślał Piotr — jak to tylko, żeś zawładnął na chwilę mem szczęściem, żeś zerwał i podeptał w kobiecej istocie relikwie moje, żeś wreszcie wtargnął wpuszczony i słaby w treść ukochaną.

Anna cię wzniosła do dziedzin rozkoszy, ona wskazała ci szczyt, po za którym nic nie istnieje, prócz jednej twórczości.

W imię twego bólu i cierpienia dała ci życie, którem ja kształtowałam.

Tyś szedł do gotowego piękna skończonego, którem ja stworzyłam.

Tyś wziął w przeciągu chwili to, co ja przez lata kochałam.

Tyś włamał się szybko i chwilowo, gdzieś ja tkwiłam zawsze.

Tyś wreszcie tylko ośmielił się zaćmić myśl moją w mózgu kobiety.

Tyżeś się targnął na fundament życia i śmierć stworzyłeś.

Kto ci przebaczy tyle, tyle bólu, ileś ty spłodził?

Tak mówił Piotr pod wpływem nagłego wspomnienia z rozkazu męki, jaką uczuł w sobie.

Ale zapamiętany fragment z listu brata kazał mu czytać jeszcze słowa Jana.

Czytał je raz drugi.

I wówczas pojął myśl szeroką, koncepcję wielką i dziwną zagadkę.

— „Każdy ma prawo żyć i nie dać się złamać przez życie“ — cytował na głos.

I to było prawdą.

— Każdy kto chce—dążyć winien, a więc jaka siła mogła powstrzymać owe prainstynkty dwóch dusz pokrewnych.

— To że byłem pierwszy — mówił do siebie — nie daje mi władzy, skorom ją mógł, choćby na chwilę utracić. To, że los wybrał mnie wprzód — nie tworzy tryumfu i byłoby śmiesznem, by to w moc prawa rzetelnego ubrać.

Nie w tem tkwi sens.

Ale po chwili znowu nie mógł wstrzymać gorącej niechęci.

Był sprzecznym, gdyż rozumiał i czuł w jednej chwili.

— Lecz to, co Anna odnalazła w sobie—zaczynał znowu — to, dzięki czemu chciała zrzucić me pojęcia, było bardziej litością, niżeli... niżeli jakimś cieniem namiętej istoty.

Jan ją wzruszył, a nie uszczęśliwił, on cień rzucił na jej serce gorące i przygniół je tyranią słabości.

Dałaś się Anno skrępować łatwiej nitką, niż konieczności łańcuchem.

Dałaś łatwiej odjąć sobie życie, niżeli swobodę.

A ileż grozy w tem się mieścić musi, o tem ja wiem tylko, ja, który jedną siebie tylko czułem w sobie ze wszystkich kobiet.

Powoli jednak uśmierzał się ból, wywołany impulsem.

Słowa mądre konającego człowieka nakazywały spokój i wyrzeczenie się dziedziny uczuć.

To też, gdy Piotr głębiej wniknął w te wyrazy

pełne świadomych myśli, pojął ile się mieści w nich najszczęśliwszej prawdy.

Skromność prosta i zupełny brak powierzchowności w tak ważnym przełomie już sobie swoich przyjaciół zyskały.

Nie czas było mścić się na jednostce, która na zawsze opuścić świat miała.

Kto wie, może i ona pozostawi ślady w umyśle Piotra, może i ona, jak Johann Hoff niegdyś, da szkołę twórczą.

I Piotr sięgnął teraz pamięcią wstecz.

...Jakieś dawne obrazy piękne i świetliste zajaśniały w umyśle.

Dzieciństwo słodkie, pełne wesołości i lekkiej, płoczej myśli promienistej, błysło jak dzień wczorajszy w złocie i szmaragdach.

Okres miniony i związany z Janem — okres przebrzmiały, a jednak żyjący w zakątku ducha—okres zamierzchły, źle zapamiętany, a jednak ważny i pełen znaczenia..

Dziwne wzruszenie wywołał Jan teraz.

To, że jedyny świadek dawnego zarania ginął bezwzględnie, trapiiony chorobą, było symbolem w dalszym życiu Piotra.

To, że zniknął wraz z łańcuchem czasu ostatni świadek odległych radości, stało się bodźcem wskrzeszenia braterstwa.

Powstało ono silnie i gwałtownie, jak pierwsza miłość w uczuciu dojrzałym.

POJEDNANIE.

Jan patrzył przygasłym wzrokiem przez okno.

Była czwarta godzina zimowa i szara.

Śnieg styczniowy tkał lekkie rysunki w przestrzeni. Zdawało się choremu, że go męczy bardzo ta nieprzerwana ciągłość monotonii, że owe płatki, w tak olbrzymiej masie, grzebią już jego.

Był wielce wyczerpany, a na tyle silny, żeby żyć jeszcze.

Z głębokich jam, pod brwiami, śledziły źrenice.

Zapatrzyły się w szyby zamarzniętych okien.

I długo spoglądały.

Dopiero dwie łyzy wielkiej mgłą zaćmiły oczy.

Chory bredził.

Ręce przywarł do czoła i szeptał do siebie:

— Długi, długi szereg dni, nieskończenie wielki sznur.

Ciągnie go moja dłoń tyle godzin, tyle lat, bez końca.

Przerywa mi ktoś sploty, a ja wężły płaczę.

Każdy supeł — to jakiś wypadek istnienia.

Wciąż powracam do dobrze znanego mi miejsca i znowu widzę bagniska bez granic.

I znowu lasy odwieczne; w uroczysku groźna noc.
I nic więcej.
Kiedy koniec temu będzie?
Coś zagasło i cichym zabrzmiało dźwiękiem.
Uważnie wycężam słuch.
Skąd ów jęk płynie głęboki?
Tam iść z pomocą muszę.
Jeszcze chwila i zapóźno, jeszcze chwila i wszystko dla mnie stracone.
...I ta straszna noc i chłód i te jęki z wszystkich stron!
Dokąd dążyć?
Tyle lasów naokoło, tyle łąk, tyle pól, a szczęście blisko ukryte...
...Wóz chłopski czeka na drodze.
Burka ciepła do okrycia...
Tylko prędko. Brak mi sił...
Młoda Elżbieta Brandt stała nad łóżkiem.
W rękę trzymała zwiędłą dłoń chorego.
Jan spojrział na nią nieruchomym wzrokiem.
— Jesteś — rzekł — myślałem, że już mnie wszyscy opuścili. ...Gdzie Anna? Miała przecież przyjść.
— Jaka Anna — spytała — nic o niej nie wiem. Nie ma jej tu.
— Ach męczysz mnie swoim pytaniem. Ukrywasz przedemną prawdę. Niech wejdzie.
— To są wszystko tylko sny.
— Sny, że błędzę pośród błot i szukam, szukam bez wytchnienia swego celu?!
Jęk mi drogę ku niemu wskazuje. Nie traćmy czasu...
Po ostatnich wyrazach chory osłabł nieco.

Zadrzemał.

Elżbieta wówczas spojrzała na Jana.

Jej oczy dzielne, o połysku lśniącym, śmiało chłonęły widok żółtej twarzy.

Jakże zmieniły się zwierciadła ducha od czasu, kiedy tak lękliwie patrzyły w życie.

Nie było bojaźni, znikła niepewność.

Duch młodej kobiety nabrał odwagi.

Kiedyś pragnęła iść naprzeciw ludziom o smutnych jaźniach, dzisiaj, gdy siebie dojrzałej pojęła, chciała najszerzej objąć swoje życie.

A teraz kiedy odchodził ten, który się wydał ongi wybranym, czuła, że nie jest z nim swą myślą całą treści kobiecej.

Rzekła więc do siebie:

— Zgadłeś, gdyś mówił, że cię wskrzesić chciałam.

Zgadłeś, że byłeś bliższy mym dążeniom — niżeli sercu.

Lecz skądże wówczas o tem wiedzieć miałam?

Dzisiaj znam ciebie, dzisiaj widzę jasno, że to, co mi się złożonem wydało, było najprostszem.

Dziś, kiedy trzydziesty dzień siedzę przy tobie, jako siostra, albo powiernica cicha, widzę, żeś obcym był mi i żeś nie miał tego, o czem myślałam.

Ciężkim był wstęp mój do własnego życia i ty nim byłeś.

Tyś rozwiął moje subtelne pytania swoją osobą.

Tyś mnie nauczył wyciągać ramiona po chleb dla uczuć.

Tyś był mem zwątpieniem, które umiera.

A ile myśli unosisz ze sobą, o, tego nie wiem. A ile rzeczy tkwi niedokończonych w twoim umyśle?!

To jest tragiczne i to kocham w tobie.

Kocham pomysły, które żyją jeszcze, a które świątła nigdy nie zaznają, kocham zduszoną wolność prąoty i dźwięk wewnętrzny rozkrwawionej duszy.

* * *

Kiedy Piotr wchodził do pokoju Jana, chory wzniosł głowę i przywitał gościa radosnym, dobrym uśmiechem

— Dziękuję — rzekł zdławionym głosem, wyciągając drżącą, suchą rękę.

Piotr zbliżył się do brata i ujął dłoń jego, spojrział przytem uważnie na kościstą głowę.

Zimny dreszcz przebiegł przez plecy.

Przed oczyma jego leżał szkielec złowieszczy, który zatracił już człowiecze kształty

Oczy się tylko zatliły gwałtownie w głębokich dołach i blade wargi skurcz chwycił raptowny.

Nos orli werznął się ostro, jakoby w głąb czaszki.

Czoło ogromne, pożółkłe, wyniosłe, skażone było wielką masą zmarszczek.

Dłonie, złożone spokojnie na kołdrze, trzęsły się w drgawkach, szukając spokoju.

Zmęczone serce silnie pracowało, a piersi suche, spłaszczone, bezsilne, podrzuciał kaszel ostry, niszczyielski.

Patrząc na ów widok istoty końca, pełnej grozy i milczącego wszechbólu, Piotr przypomniał sobie śmierć Johanna Hoffa.

— W tych ludziach — pomyślał z dławiącym bólem — umiera tragizm, nie ciało.

Słowa Jana przerwały nić myśli.

— Czy nikogo niema w naszym pokoju? — spytał.

— Nikogo prócz mnie — odrzekł Piotr cicho ze sztucznym spokojem.

— Prócz ciebie i Anny—poprawił chory z łagodnym uśmiechem na ustach.

Piotr przymknął powieki. Imię to w chwili obecnej zabrzmiało groźnie i niepokojąco.

Jan znowu zaczął:

— Jestem zupełnie przytomny. Po krótkim śnie czuję się lepiej, to znaczy jestem bliższy końca. Rozumiesz?

Powiedz Annie, żeby weszła. Przecież w takich chwilach niema już skruchy, lub uporcu. Sam nie wiem, co ją może powstrzymać?..

— Co ją może powstrzymać— inercyjnie pochwycił Piotr — nie wiem. Niema jej tutaj.

— Co znaczy „tutaj“, określ to dobitnie?

— To znaczy — na ziemi — wyszeptał Piotr, jakoby niechęcący, bez woli.

— Na ziemi?—powtórzył chory z obłądnym wzrokiem.

Na ziemi? — mówił, tracąc związek myśli. — Więc gdzie być może?

Piotr milczał.

Chory na chwilę stracił swą świadomość.

Po kilku minutach rzekł znowu:

— Już nie wiele czasu pozostało. Skorzystam z tego, że z tobą sam jestem. Słuchaj.

— Słucham.

— Czy wiesz, po com cię wezwał, dziś w tak ważnej chwili? .

— Wiem.

— I czyś wybaczył szczerze z ręką na sercu, pod słowem honoru?!

— Tak!

Piotr stał sztywno, nieruchomo.

Czyżby to było możliwe?

— Tak — powtórzył raz jeszcze.

Obaj mężczyźni mieli łzy na rękach.

Jakiś ciężar olbrzymi oswobodził piersi.

Jakieś wzniosłe natchnienie, ani egzaltowane, ani pełne gestu, lecz skromne i proste nad wyraz zapłonęło w duszach.

— Zbliź się do mnie—prosił Jan, obejmując z wysiłkiem głowę Piotra.

Obaj bracia objęli się i żegnali bez słów, bez wyrazów.

A jakaś groza, pełna niewysłowionej rozpacz, skuwła ich razem, jakaś moc, która łączy uchodzących z pełnymi życia.

Jan stygł w objęciach brata, a śmierć się wkra-
dała cicho, powolnie.

— To mus, widzisz, to konieczność — szeptał Jan bezdźwięcznie — nie złudzenie, lub wypadek.

To przeznaczenie tak chce.

— Czego chce?

— Byś ty został, bym ja znikł.

Ale nie o tem chcę mówić. Trzeba się skupić w jednym słowie, póki czas.

— Słuchaj.

— Słucham.

— Piotrze, czy wiesz, że tam — Jan wskazał oczy-
ma wzwyż — że tam nie ma nic!

— Wiem.

— Tak, tam jest wieczna pustka. To jedno, a drugie — czy rozumiesz, że to, co się wówczas stało, było początkiem niebytu? Że to, com wziął, com wyrwał z objęć świadomości, kryło za sobą nicość.

O, bo to, com czuł, com miał, było szczytem i ekstazą potężną i wieczną.

Ja — Jan nikły, mały człowiek, który bóstwa spychał z gór, ja byłem wówczas w wieczności, byłem całym szczęścia panem.

A dzisiaj jestem nędzarzem.

Dziś wszystkimu nastał kres.

Pustka.

Kaszel przerwał gwałtownie ostatnie słowa.

A gdy się uciszył, nie mógł już głosu chory powtórnie wydobyć.

Konał.

Umierał teraz w silnych rękach Piotra, z dzwicznym grymasem nieco wzdurliwym, nieco ironicznym i gasł stopniowo, jak gwiazda poranna przy blasku słońca.

Słaniał się szkielet ludzki i drgał odruchowo w uściskach śmierci.

Trwało to chwil kilka.

Wyniszczone ciało mały stawiało opór.

A kiedy już martwe na poduszkach legło, Piotr złożył wówczas na czole zmarłego swój pocałunek.

Ale nie odrzekł mu nic duch utrudzony, duch, który jednak tem był niebywały, że był u celu i przez cel swój ginął.

Leżał Jan teraz z martwemi oczyma, wpatrzony w górę, dziwnie zamyślony.

Zdawało się, że spał.

Rysa wyrazista pomiędzy brwiami, znaczyła ślad życia.

Tylko pierś uschła leżała bez ruchu.

Piotr patrzył się.

Dłoń przyłożył ku ustom, głowę spuścił nieco, zdało się słuchał.

A głos wewnętrzny brzmiał, niby organy w wielkiej świątyni.

— Żegnaj — przemówił — żegnaj ostatni blizki człowieka.

Tyś jeden widział moje wielkie szczęście i silną rozpacz ducha.

Ciebie i mnie związała jedna ostateczność — jedna kobieta.

Ciebie i mnie zgnębiła jedna moc okrutna — pragnienie szczerze.

Ciebie już nie ma, a ja wytrwać muszę.

Ja pozostałem.

Jak silnym być muszę, że znoszę wszystko i dalej żyć pragnę.

Do moich cierpień dziś przybywa nowe.

Wciąż spada na mnie, jak miecz Damoklesa, nowy cios losu.

A ja wciąż wracam do swego siedliska i znów wychodzę, by zwalczać wypadki.

I jakże trudnem jest moje zwycięstwo, które zdobywam w pocie i udręce.

Jak bardzo wielką przejść należy próbę, by pojąć tragizm.

Jak wielkie echo budzi w duchu moim studzińskich przeżyć!

Piotr stał i patrzył.

Oczy, utkwione w postać nieboszczyka, zgasły na chwilę.

Jakieś wspomnienie przykre, wstrząsające — jaźń skrępowano.

Daleka przeszłość zbliżała się teraz.

Odzwierciadliła, jak w kalejdoskopie, minione dni.

Burzliwość pierzchła, pogoda zagasła i ból ustąpił, a z nich, jak z rumowiska olbrzymiego gmachu tragizm powstawał.

Nowe wzywał ku sobie przejawy i chęci.

Łączył je woli ogniwem, skuwał hartu siłą, spalał w ogniu skupienia i na świat wyłaniał moc tytaniczną, moc wieczną — twórcę jutra.

Zgiął się duch mocny, dumny, nieugięty pod przeznaczenia ciosem.

A kiedy nadszedł czas wielce doniosły, wyparł się losu i według swej miary budował życie.

Jak stal hartowana rozprężył się, zajaśniał, iskrę z rdzy wyrzesał, płomieniał i sam giął, sam łamał sam zdobywał sobie cechy przyszłości.

Jak chciał, tak się stało.

K O N I E C.

Omyłki w druku.

<i>Str.</i>	<i>wiersz</i>	<i>zamiast</i>	<i>ma być</i>
7	17 od góry	siłą	siłę
12	1 " "	mu	dlań
22	9 " "	ida	chcą
40	15 " dołu	jażn	jażń
47	14 " góry	jąką	jąkaś
51	7 " dołu	innemi	inne
51	11 " "	niewidziałem	nie widziałem
59	5 " góry	pewne	pewnej
63	5 " "	potrafiła stać się	stała się
90	1 " "	ja	jak
97	12 " dołu	leśnych	leśnych
122	1 " "	rozbiegał	rozbiegł
130	11 " "	ej	jej
175	12 " "	zmrożone	zmrożone

SPIS RZECZY.

	str.
Nowy tryb życia	5
Dwaj bracia	24
Elżbieta Brandt	32
Anna Sten	42
Zwrot	57
Nowe plany	62
Świat uczuć	70
Powrót	74
W domu	84
Chęci i pragnienia	92
Wynurzenia	101
Aurora	112
Upał	122
Pierwsze ziarno	134
Zdrada	148
Mgły i uroczyska	178
Chmury	187
Wskrzeszone echo	206
Pojednanie	219

WYKONANIE PRZEZ

500
400
300
200
100
0
100
200
300
400
500



Dhc 80/sak

10-982/V

1003

II
4031

**DRUKARNIA
NAUKOWA
w WARSZAWIE**